MIESIĘCZNIK
Kurjera Polskiego

Zeszyt I.

za

STYCZEŃ

1900.

TREŚĆ:

I. Praca społeczna a politykowanie *Ludwik Straszewicz.*
II. Ilu nas jest? *Ludwik Straszewicz.*
III. Spowiedź cygana.
IV. Warszawa. *W. Gomulicki.*
V. Wizerunki literackie.
VI. Z dziedziny nauki. *C. K.*
VII. Z dziedziny politycznej. *K. P.*
VIII. Przegląd teatralny.
IX. Przegląd rolniczy. *Tantum.*
X. Na tle spraw bieżących. *Lach.*
XI. W ojców ślady... *K. Laskowski.*
XII. Dusiciele w Bengalu. *L. Boussenard.*
XIII. Ze świata kobiecego. *L. Ćwierciakiewiczowa, E. Żmijewska.*
XIV. Rozmaitości.

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego

Marszałkowska № 141

Warszawska Fabryka Wieńców i Roślin Metalowych

Aleja Jerozolimska №. 129

A. MAKOWSKI i E. RAUER

Skład Fabryczny

Senatorska 22. na piętrze.

czas. 2922/1900/1/2.

TOWARZSTWO

„L'Urbaine".

Każdy człowiek, nawet najuboższy, powinien oszczędzać ze swego zarobku, aby złożyć sobie kapitalik na starość, zaś na wypadek swojej śmierci uchronić rodzinę od nędzy. Jestto najświętszy jego obowiązek wobec rodziny, ludzi i Boga. Lecz człowiek umrzeć może każdej chwili, nie zebrawszy dla rodziny dość pieniędzy, a wtedy najbliższe dlań osoby zostają w ubóstwie.

Nikt śmierci nie ujdzie, lecz każdy może ochronić rodzinę przed nędzą, jeżeli zabezpieczy swe życie w Towarzystwie „L'UBRAINE".

Niech płaci do tego Towarzystwa małą składkę, a choćby umarł nazajutrz po ubezpieczeniu, to rodzina jego otrzyma natychmiast umówiony kapitał. Jeżeli zaś dożyje do oznaczonego wieku, to może otrzymać sam cały kapitał na starość. W razie dłuższej choroby lub nieszczęśliwego wypadku w terminie płacenia składek, ma prawo nie płacić ich, aż będzie mógł znów pracować. Jeżeli stanie się na zawsze niezdolny do pracy, to natychmtast otrzyma $^3/_4$ kapitału, a $^1/_4$ w terminie.

Składki płacą się kwartalnie, półrocznie albo rocznie. Od większego kapitału płaci się większa składka. Starsi płacą trochę drożej, niż młodsi.

Oto przykłady:

Człowiek 50-letni może składać co rok po 23 rub. 30 kop. za 500 rubli, które będą natychmiast wypłacone po jego śmierci. Od 1,000 rubli składa co rok po 46 rub. 60 kop.

Człowiek 30-letni może składać co rok po 19 rub. 50 kop., jeżeli chce, aby 500 rubli wypłacono natychmiast rodzinie po jego śmierci, albo jemu samemu, gdy żyć będzie po upływie 25 lat. Od 1,000 rubli składa co rok po 39 rub.

Wogóle każdy może umówić się z Towarzystwem, jak chce, i dawać składki stosownie do swego wieku, zarobków i położenia rodzinnego. Sposobów umowy jest bardzo wiele, na różne sumy i różne terminy.

Ubezpieczenie na życie jest korzystniejsze od składania pieniędzy na procent, bo zapewnia spokój o los rodziny. Każdy rzemieślnik, oficjalista, robotnik winien się ubezpieczyć.

W celu zapewnienia kapitału dla ubezpieczonych, Towarzystwo „Urbaine" złożyło do Banku Państwa pół miljona rubli kaucji i składa tamże swoje fundusze zapasowe pod kontrolą Rządu, Ubezpieczeni otrzymują kwity z pieczęcią Ministerjum Spraw Wewnętrznych.

Dla zawarcia umowy przychodzić lub pisać do Tow. „L'URBAINE" w Warszawie, ul. Nowo-Zielna № 51.

K.472/56/6

PRACA SPOŁECZNA
a
politykowanie.

Narody trwają, rosną, do pomyślności dochodzą pracą.

Jedynie praca nad zaspokojeniem potrzeb społecznych daje narodom cnoty, mądrość i siłę, zdobywa poważanie oraz wpływ wśród narodów innych.

Potrzeb społecznych nikt przeliczyć niezdoła—jest ich tyle, ile objawów życia, a więc tyle, ile liści w lesie. Aby wydążyć je zaspakajać, trzeba pośpiechu i gorliwości wielkiej; niewolno w pracy ustawać na chwilę. Kto się zaniedba, kto wzrok tylko w inną stronę zwróci, pozostaje w tyle za innymi, osłabiony, upośledzony, skazany nieraz na długie i bolesne kalectwo.

Do rozległego obszaru pracy społecznej należy między innymi: dźwiganie kultury kraju i moralności ludzi, krzewienie wiedzy, wznoszenie kościołów i budowanie szkół, pamięć o czystości języka, troska o zdrowotność wszystkich warstw narodu, troska o sku-

teczną działalność miłosierdzia, doskonalenie pracy zawodowej, opieka nad rolnictwem i rzemiosłami, budowanie i utrzymywanie dróg i spichrzów publicznych, zapewnienie pracy łatwego i taniego kredytu i t. d., i t. d., i t. d....

* * *

Praca społeczna dużo ma wrogów. Dużo pokus odciąga od niej zarówno ludzi pojedyńczych jak narody całe.

Pracę społeczną utrudniają żywioły: złe powietrze, rozhukana woda, niszczący ogień, zbyt twarda ziemia, gorąco i zimno,—ale to są wrogi najmniej groźne. Mądrość i siła ludzka pęta je coraz bardziej i władzy swojej poddaje.

Najwięcej wrogów pracy społecznej tkwi w niedoskonałości natury ludzkiej. I te są najgroźniejsze: lenistwo, fałszywe ambicje, samolubstwo, złe namiętności, ciemnota, zaślepienie, tchórzostwo, nieudolność.

Z ułomności i grzechów ludzkich wyrosło, i w czasach ostatnich spotężniało, jak nigdy, wielkie niebezpieczeństwo dla pracy społecznej. Miano jego p o l i t y k o m a n j a. Na wybujanie jej złożyły się wszystkie prawie wymienione wyżej skazy i plamy duszy ludzkiej: ambicja, i lenistwo, i namiętności, i zaślepienie.

Zadaniem polityki być winno stworzenie w kraju najodpowiedniejszych warunków dla owocnej pracy społecznej. Jest więc polityka lub być winna środkiem jedynie, drogą, do celu wiodącą, nie zaś celem samym. Ale ułomny człowiek snadnie w błędy wpada, a do błędów najpospolitszych należy stracenie z oczu wśród

zabiegów zadania głównego, wzięcie środka za cel. Człowiek nietylko błądzi, ale się do błędów swoich chętnie przywiązuje. Bo błąd jest zazwyczaj dzieckiem popędu, skłonności.

Niehamowane popędy szybko przechodzą w namiętność, w manję.

Wszędzie niemal machinacje polityczne stanęły jako współzawodniczki, a nieraz nawet jako nieprzyjaciółki pracy społecznej.

* * *

Aby uwydatnić różnicę pomiędzy polityczną machinacją a czynem społecznym, przytoczymy jeden przykład.

W czerwcu roku 1869 znaleziono niespodzianie w Krakowie przy restauracyi Wawelu grób Kazimierza Wielkiego. Trzeba było zwłoki królewskie przenieść naprzód do tymczasowego schronienia, a później, po restauracyi, złożyć napowrót w grobie.

Ludzie, dotknięci manją politykowania, narobili zaraz z tego powodu wielkiej wrzawy. Przedewszystkiem skorzystali ze sposobności, aby mężów z niemiłego sobie stronnictwa umazać błotem. Oskarżono więc osoby najszanowniejsze, prezesa akademii Majera, Matejkę i innych, naprzód o brak uczuć narodowych, a potem o rozdrapanie grobu. Dalej rzucono pomysł zbierania składki na trumnę srebrną i zapowiedziano, że pogrzeb kości przed wiekami zmarłego Króla Kmiotków ma stać się wielką, szumną manifestacją polityczną, aby siebie samych zbudować, dokuczyć Austryjakom, a zaimponować Europie.

Wtedy zabrał głos wielki historyk i wielki patryota,

Józef Szujski; z pod potężnego jego pióra wyszedł wonczas najwspanialszy może artykuł.

„Nie daj Boże — pisał — aby ten akt uroczysty miał wejść do programu tej lekkomyślnej, płytkiej, bezdusznej, fuszerskiej polityki, która budzi i posługuje się demonstracjomanją!...“ „Demonstracja to ostatni, najmniej pożyteczny, najwięcej śliski i niebezpieczny rodzaj objawu życia publicznego...“ Nic on zbudować nie jest w stanie, denerwuje tylko i bałamuci. „Nic zaś boleśniejszego i przeciwniejszego zdrowemu pojmowaniu spraw, postaci, dziejów narodowych, jak wyzyskiwanie znakomitych ludzi, pamiętnych faktów przez domostracjomanję i fabrykowanie demonstracyj — bo nic płytszego, kłamliwszego i mniej wchodzącego w treść owych ludzi, faktów i dziejów...“ „Naród zdrowy nie powinien znosić wód mętnych. Czego masy nie nauczyły się w szkole, w kościele, w życiu prawidłowem publicznem, tego nie nauczą się przy demonstracjach — ale nauczą się tam lekceważenia szkoły i kościoła, nauczą się chęci panowania i imponowania naturalnemu porządkowi społecznemu, a wystąpiwszy z koryta, rozleją się zniszczeniem na społeczeństwo...“ Nic zaś biedniejszego jak demonstracja siły, pokrywająca słabość...“

Szujski odrzucił myśl kupowania trumny srebrnej. Pogrzeb popiołów Króla Kmiotków odbyć się winien bez bałamutnego zgiełku, bez pustej chełpliwości, bez jałowego popisu. Pamięny ten wypadek uczcić należy czynem użytecznym, zasługą. Niech składki płyną, niech dają wszyscy, ale nie na trumnę bogatą, dla zaspokojenia próżności, lecz na stypendja dla dzieci ubogich. Wtedy świat i potomnośc powiedzą, że w gro-

bie Kaźmierzowym naleziono nietylko kości królewskie, lecz także ducha, który tworzy, godzi, oświeca.

Tak myślą, tak przemawiają ludzie pracy społecznej.

* * *

Aby poznać następstwa politykomanji, rzućmy okiem na bieg spraw w Europie.

Narody poszarpane na stronictwa. Stronictwa zużywają się w walce zażartej, toczonej wszędzie, a więc nieraz na polach najmniej odpowiednich: w szkole, w sądzie. Zacięta walka stronictw nie o kierunek pracy, lecz o barwy polityczne, o ambicje i stanowisko ludzkie, jest dla oświaty i sprawiedliwości nie bodźcem, lecz trucizną, paraliżem.

Stronictwa polityczne to wcale nie gromady pracowników, używające różnych narzędzi, różnych metod, chcące pracować na różnych zagonach dla wspólnego celu ogólnego dobra. Nie! Linje graniczne między stronictwami żłobi najczęściej uniesienie samolubnej namiętności, a nieraz też zwyczajne zaślepienie, nawet zwyczajna zawiść. Walka toczy się z pianą na ustach, a orężem są obelgi, oszczerstwa, potwarze. Walka pochłania ludzi, czas, pieniądze, zdolności, siły—wszystko. Kto się w wir tej walki dostanie, kto się jej wyziewami odurzy—o pracy zapomina, przestaje być do niej zdolnym, przestaje ją rozumieć.

Przyjrzyjmy się tylko wyborom do sejmów i parlamentów. W ilu to krajach, w ilu okręgach nie chodzi o uzdolnienie kandydatów do pracy, lecz o widoki osobiste, osłonięte hasłami stronictw, o te fusy, które wytworzyła walka, a które z pożytkiem ogólnym nie pozostają w żadnym związku.

Weźmy same parlamenty. Są one lub być powinny organizatorami, kierownikami i wykonawcami pracy społecznej; decydować mają o sprawach oświaty, handlu, opieki nad pracą i t. d.. Zamiast tego na korytarzach Izb wrą intrygi, z trybun sypią się oskarżenia i grubjaństwa, a wszystko ma na celu wyłącznie dostanie do rąk swoich władzy, a więc utrzymanie lub obalenie ministerjum. Do tego niemal sprowadzają się wszystkie zabiegi wszystkich stronictw.

Polityka i politykowanie ma w sobie urok, ma blask, nasyca ambicją, daje tryumfy hałaśliwe, rozgłos, wreszcie stanowisko i władzę, to też odrywa ludzi od najważniejszych warsztatów i tem wyrządza społeczeństwu wielką krzywdę. W każdym kraju profesorowie uniwersytetów, i to nieraz najwybitniejsi, rzucają katedry, aby zbierać laury na zebraniach publicznych i w Izbach. Rzecz prosta, iż traci na tem oświata, traci wiedza. Politykomanja porywa też coraz częściej przemysłowców, a rezultatem tego bywa ruina, zubożenie kraju, nędza setek i tysięcy rodzin robotniczych. Do politycznych zapasów garnie się młodzież najzdolniejsza i nazawsze przepada dla pracy.

Politykomanja grasuje nietylko w parlamentach i przy wyborach. Trafi ona wszędzie, przy wszelkich stosunkach. Z politykomanji, nie z czego innego, zrodził się ów szowinizm, zakażający dziś stosunki międzynarodowe, zabijający najpiękniejsze zdobycze duszy ludzkiej — uczucia miłości bliźniego; ów hakatyzm, którego hasłem nienawiść, tępienie, zagłada wszystkiego, co obce, co inne.

* * *

W społeczeństwach silniejszych—gdzie zdrowe tradycje przemagają nad obłędem politycznym chwili obecnej, a patrjotyzm od samolubstwa większy—rozsądek ogółu i jednostek osłabia oraz naprawia szkody, wyrządzane narodowi przez rozpolitykowanie. We Francji, w Belgii praca poważna, karmiąca i krzepiąca odbywa się po za sferami, dotkniętemi politykomanją, w biurach ministerjalnych bez politykujących ministrów, w stowarzyszeniach, w piśmiennictwie i t. d.

Dobitnym przykładem społeczeństwa, dotkniętego niemocą wskutek rozpolitykowania, są Włochy. Choroba ta trapi je już oddawna. Wszystko i wszystkich przez długie lat dziesiątki pochłaniały tam programy i walki stronicze; wszystkie talenty, wszystkie ambicje, wszystkie siły były tam przyciągane i porywane przez machinacje polityczne, i te je mełły na nicość.

Włochy są dziś zupełnie bezsilne, niezdolne do stworzenia rządu, do przeprowadzenia jakiejś reformy, do wykonania jakiejś pracy społecznej. Ludność coraz ciemniejsza i coraz biedniejsza, a złowrogie widmo walk bratobójczych coraz częściej wychyla swe ohydne oblicze i groźne ręce. Włochy posiadają liczne wojska, doskonałe karabiny i armaty, olbrzymie opancerzone statki wojenne, pozawierały przymierza świetne, zasiadały na kongresach z tytułem mocarstwa pierwszorzędnego. I cóż? Bezsilne, chore społecznie przy pierwszej sposobności zdradziły zupełną niemoc i polityczną i bojową — uległy w walce z nielicznem plemieniem afrykańskiem!

To też dzisiaj Włochy są w Europie lekceważone i jako naród i jako państwo. Uzdrowić je i ocalić może jedynie praca wewnętrzna nad podniesieniem własnej

wartości moralnej i umysłowej, oraz materjalnego dobrobytu; o ile naturalnie będą o tyle mądrzy, aby prawdę tę dość prędko spotrzedz i w niej szukać ratunku.

Tak samo, mniej więcej, dzieje się w Hiszpanii— stąd jej klęski wojenne, stąd jej nicość w stosunkach międzynarodowych.

Odwrotnie w Szwajcarji. W polityce o niej głucho. Do żadnych sojuszów nie należy. Armji stałej nie posiada.

Wieści o jej parlamentach, gabinetach, stronictwach nie obiegają świata, nie dostarczają treści do artykułów w gazetach i do depesz. Wielu czytelników, pilnie studjujących dzienniki, nie wie może napewno, czy w Szwajcarji istnieją Izby i ministerja? Istnieją, lecz nie politykują — pracują dla narodu i z narodem na polu potrzeb społecznych. O Szwajcarach wtedy tylko słychać, gdy pokażą zdumionemu światu swoje zdobycze w nauce i w przemyśle.

Maleńki narodek ten nie ma pól urodzajnych, nie ma wielkich bogactw kopalnych, nie ma portów morskich, a przoduje innym zamożnością, światłem, czystością obyczajów, prawością. Do szkół szwajcarskich zjeżdża się młodzież świata całego.

Niepochłonięci przez politykowanie, Szwajcarzy mają czas pracować dla pomyślności ogólnej. Nieobałamuceni, nieznarowieni żadną manją, widzą jasno, rozumują trafnie, posiadają energję do pracy.

Co więcej, i co może na pozór dziwne, Szwajcarja ma powagę, ma siłę nawet w dziedzinie politycznej. Jestto proste i konieczne następstwo zasobów społecznych. Fakt ten ujawnił się wyraźnie np. w roku 1858 w sporze z Prusami o Neuf-Châtel.

Nikt niedba więcej od Szwajcarów o swą godność narodową. Szwajcarja nie jest wcale pokorną wobec otaczających ją czterech olbrzymów militarnych. Nie utrzymuje licznych wojsk stałych, milicja jej pod względem wyćwiczenia porównać się nie da z żołnierzem pruskim ani francuzkim, ale że rasa zdrowa, ludność mądra i zasobna, kultura wysoka, więc się z nią liczą.

Stwierdzenie prawd tych nastręcza nam świeżo wojna Anglji z Boerami. Spokojni ci rolnicy nie znają rzemiosła żołnierskiego, a jednak zwyciężają. Są silni, bo byt swój i pomyślność oparli na pracy społecznej— ta im dała zdrowie moralne i fizyczne, dała im tęgość, dała im środki do obrony.

Praca społeczna jest więc jedynem źródłem wszelkiej pomyślności narodów. Bez niej przyjść musi upadek, ona nie zawodzi nigdy.

* * *

Przykładem bliskim a smutnym następstw polityk-komanji jest też, niestety, Galicja. Od roku 1867, t. j. od nadania nowej konstytucji politykowano tam więcej niż pracowano. Błąd ten, grzech ten mści się dzisiaj.

W polityce osiągnięto rezultaty napozór świetne— wpływ w Wiedniu, szeroki udział w rządzie. Biedna zasobami i kulturą prowincja poczęła dostarczać państwu ministrów. Dunajewski, Madejski, Biliński, Rittner rzucili katedry uniwersyteckie i poszli na kierowników państwa rakuskiego. W ślady ich wstąpili Piniński, Milewski, Piętak i inni. Szczepanowski opuścił kopalnie, fabryki, a układał budżety dla Austrji.

Jednocześnie taż sama prowincja nie miała ludzi, odpowiednich na stanowisku dyrektorów w towarzystwach ubezpieczeń, w bankach, w kasach oszczędności. Rządziły figury liche, a nie kontrolował nikt. Więc, naturalnie, działy się nadużycia, instytucje publiczne zamiast pożytku przyniosły szkodę. Twórca budżetów państwowych nie potrafił ułożyć budżetu dla przedsiębiorstwa własnego i... zbankrutował.

Instytucje samorządu miejskiego, a szczególniej wiejskiego, Rady powiatowe, przestały wystarczać rozbujanym ambicjom politycznym — lepsze jednostki je opuściły. Niezasilane zaś dostatecznie przez zdolności i gorliwość ludzką owe tak ważne organy pracy społecznej zmartwiały i dziś w życiu publicznem nie grają żadnej niemal roli.

Nieszczęścia społeczne mają tę dobrą stronę, że obnażają stosunki, pozwalają dojrzeć ukryte dotychczas czynniki, skutki — słowem wewnętrzny mechanizm społeczny, Trzeba z takich chwil korzystać, wyciągać naukę i zachować ją w pamięci.

Klęski, które się teraz posypały na Galicję, niewątpliwie mają za przyczynę p r z e p o l i t y k o w a n i e. Są przyczyny inne, ale ta najgłówniejsza.

Bóg wie od jakiego już czasu patrzano tam na wszystko przez opary nieporozumień politycznych, z punktu stronniczych interesów, często uprzedzeń. Gdy chodziło np. o wybranie miejsca na pomnik Mickiewicza w Krakowie, ludzie na sprawę tę patrzyli z punktu... programów politycznych. Konserwatyści chcieli jednego rynku, postępowcy innego. Przytem nawymyślano sobie, co niemiara. Odsądzano się od uczuć obywatelskich, pomawiano o zaprzaństwo. Może

ktoś temu nie zechce uwierzyć, bo to istotnie nie do wiary — a jednak tak było, ściśle tak było.

Do spraw innych, do instytucji tem więcej nasączyło się rozkładowego jadu polityki. Wszak najpoważniejsi ludzie w Krakowie oskarżają Szczepanowskiego i jego przyjaciół, że brali z Kasy Oszczędności pieniądze na polityczne cele stronictwa, że za nie założyli organ swój partyjny „Słowo Polskie“. Czy to prawda? — a kto to dojdzie, kiedy w kraju chorym na rozpolitykowanie nie ma nawet w chwili niebezpieczeństwa ludzi zdolnych inaczej patrzeć, inaczej myśleć, inaczej mówić jak z punktu uprzedzeń stronniczych i dla swoich celów stronniczych.

Czy wobec tego można myśleć o poprawie, o gojeniu ran i o nabieraniu sił?

Politykomanja to nietylko choroba, to zaraza, epidemja, której ustrzedz się niepodobna. Ludzie, wczoraj jeszcze zdrowi, dziś zapadają niespodziewanie na gorączkę politykomanji w postaci najzłośliwszej. Nawet lekarze społeczni, którzy tylko co wskazywali ogółowi niebezpieczeństwo, wyświetlali złe skutki politycznego zacietrzewienia, sami nagle dostają paroksyzmu. Tak się stało np. ze Szczepanowskim.

Zdolny ten człowiek napisał ciekawą książkę „Nędza w Galicji.“ Jak na dłoni wywiódł, że Galicja krąży po błędnych drogach, że się wycieńcza polityką, że ratunek w pracy społecznej, we wzroście cnót publicznych i wiedzy, w powiększeniu zamożności. Między innymi pisał: „Nasze krowy sto razy tyle wpływu wywrzeć mogą na losy gospodarki krajowej, jak minister Dunajewski i cała Rada Państwa. Kwestja mleka ważniejszą jest dla nas od całej wysokiej polityki.“

I ten sam człowiek przy pierwszej sposobności rzucił swoje kopalnie i fabryki, rzucił pięknie zaczętą pracę obywatelską, aby się rzucić w odmęt „wielkiej polityki“ w Wiedniu. Tam stracił wszystko: majątek, dobre imię, zasługi, nawet życie, bo go zgryzoty zmarnowały też i fizycznie.

Ze wszystkiego najgorsze to, że ludzie, dotknięci manją politykowania, zanieśli chorobę, zanieśli niespokojnego, bałamucącego ducha polityki do cichych przedtem chałup chłopskich, do skromnych warsztatów małomiejskiego rzemieślnika. Z politylki wylęgły się natychmiast: zawiść, ambicje, namiętności.

Ludzie, urodzeni i wychowani w zakątkach, bez wiedzy i rozleglejszej znajomości stosunków, mogli by doskonale pracować na niwie społecznej w małym światku, w gminie, w powiecie; tu nabierali by pojęć i uczuć obywatelskich, tu by się obznajmiali z obowiązkami i sprawami publicznemi. Zamiast tego ciemni włościanie galicyjscy rezonują o rzeczach, o których pojęcia jasnego mieć nie mogą, pchają się na stanowiska, do których nie dorośli.

Podobno już w wioskach krakowskich ludzie dzielą się na chcących wojny i chcących przymierza z Niemcami; podobno już nadzieje swoje i rachuby opierają na tej wojnie. Czyż z tego może co innego wyrosnąć, jak wielka szkoda narodowa, jak zarośnięcie chwastem trującym tych zagonów, na których rość winien pokarm dla społeczności?

Najsmutniejsze przewidywania nasuwa do głowy to, że nieszczęścia nikomu tam dotychczas oczu całkowicie nie otworzyły, że nikt choroby głośno po imieniu nie nazwał. Przeciwnie wszyscy dalej brną, w zgu-

bę. Ks. Stojałowski jest przeciwnikiem stronictwa ludowego; stronictwo ludowe wyklina ks. Stojałowskiego,—a on i ono robią zupełnie, ale to zupełnie toż samo. Co więcej i co gorzej, ludzie spokojni, zachowawcy, chcąc położyć tamę szkodliwemu bałamuctwu, nie zdobyli się na nic innego jak na nową agitację polityczną, wśród ludu — zwołują wiece, wciągają włościan do coraz nowych stronictw.

To złego nie usunie, lecz go rozszerzy i rozogni, zamęt spotęguje.

W całej działalności stronictwa ludowego, to jest głównie szkodliwe, że ono wniosło namiętności polityczne w świat włościański, to zaś za rzecz podrzędną uważać należy, jakiej barwy są te namiętności, jaki tytuł i program stronictwa. W ciemnych głowach ludzi niskiej kultury wszelka treść myśli politycznej zmienić się musi na chaos bałamutny, odciągający od pracy, a wiodący na pole szkodnictwa i zepsucia. Całkiem jest rzeczą obojętną, przez jaką bramę chłop galicyjski na to pole wejdzie.

* * *

Niech nikt z wywodów powyższych nie wyciągnie wniosku, iż rzucamy potępienie na wszelką politykę i chcielibyśmy ją wykarczować do szczętu z życia ludzkiego. Nie, tego nie chcemy już dla tego samego, że to niemożliwe. Polityka również zaspokaja potrzeby narodów, też jest ważną gałęzią życia społecznego.

Ale przedewszystkiem ścieżki polityki strome są i śliskie. Zadania jej mieszczą się wysoko, jak owe księżniczki zaklęte; po drodze straszą mary ułudne, manią ogniki błędne. Kto nie ma głowy mocnej i mo-

cnego charakteru, niech nie idzie, bo zbłądzi i kark skręci.

Powtóre, polityka środkiem jedynie być winna; celem — zawsze praca społeczna, podnoszenie, doskonalenie narodu. Kto o tem zapomni, kogo opanują oślepiające namiętności i ambicje, staje się szkodnikiem.

Słowa nasze nie są żadną nowością. Dawno już, dawno wszystko to ludzie mówili. Wszystko to są twierdzenia dowiedzione rozumem i sprawdzone. Ale, niestety, pamięć ludzka zawodna, a grzeszne podniety, a ułomności natury człowieczej nie zasypiają. Więc prawdę, więc naukę zbawczą powtarzać należy.

* * *

Przez cały niemal ciąg pisarskiej działalności mojej nie robiłem nic innego, jenom wzywał rodaków do pracy; wskazywałem jej miejsce, jej zadania, jej środki i skutki. Rozpoczynając nowe wydawnictwo, pragnął bym uczynić je choć w cząstce jakiejś doradcą w pracy, przewodnikiem na drodze mozolnej i nieraz przykrej, ale niezawodnie wiodącej do pomyślności ogólnej.

Gdybym tego dokonać potrafił, czułbym się szczęśliwym, bo by się ziściły marzenia życia mego.

Ludwik Straszewicz.

Ilu nas jest?

Wstęp.

Każdą pracę społeczną poprzedzać powinien obrachunek. Bez obrachunku niepodobna zdać sobie sprawy z doniosłości potrzeb, ze stanu sił i zasobów społeczności. Bez obrachunku niema jasnego widzenia rzeczy, nie ma dokładnego wnioskowania.

Ponieważ pragnieniem naszem jest, aby „Miesięcznik“ stał się, jeśli nie czynnikiem pracy, to przynajmniej pomocnikiem ludzi dobrej woli przy pracy społecznej, więc na samym początku postaramy się odpowiedzieć na pytanie, postawione w nagłówku, gdyż ono oczywiście stanowić musi punkt pierwszy.

Ilu nas jest i gdzie jesteśmy?

Przez czas długi kwestją tą nie zajmowano się prawie wcale. Im człowiek ciemniejszy, tem bardziej pewny jest swojej wiedzy. Pytania wyminąć nie było podobna, narzucało się ono samo i trzeba było koniecznie odpowiadać na nie. Wtedy nie kłopotano się wiele, rzucano śmiało liczby, bez wahania, niemal bez namysłu, a w każdym razie bez rachuby: *dwadzieścia miljonów! trzydzieści miljonów!* Cyfry te były od prawdy bardzo dalekie. A tymczasem jest pewnikiem, niezawodzącym nigdy, iż w sprawach społecznych wszelki błąd, wszelkie złudzenie, wszelki fałsz, *musi* przynieść szkodę, a nieraz i sprowadzić nieszczęście.

Jednym z najpierwszych obowiązków człowieka: prawdy szukać, z prawdą się godzić, z prawdą żyć. Po za tym obowiązkiem nie ma pomyślności.

Ale obrachowanie narodu łatwe nie jest. Bo przedewszystkiem: co stanowi istotę narodowości, jakie są cechy do rozróżniania jednej narodowości od drugiej? Odpowiedź na pytanie to trudniejsza jest niż się wydawać może na pierwszy rzut oka. Dano odpowiedzi dużo, ale żadna nie jest prostą i jasną, żadna zadowalniającą.

Nie chcemy się tu zagłębiać bardzo w to zagadnienie. Zwrócimy tylko uwagę, że o narodowości decyduje dużo czynników: i historja, i wolna wola jednostki, i obyczaje, i nieraz wyznanie, przedewszystkiem zaś *język*.

Gdy chodzi o statystykę miljonów ludzi, tam naturalnie wszystkich czynników, wszystkich cech pod uwagę brać nie podobna, trzeba wybrać cechę jedną, najgłówniejszą. Tą zaś być może albo c h ę ć, w y b ó r jednostki (francuzem jest każdy ten, kto się za francuza uważa), albo język, używany w rodzinie (francuzem jest każdy, kto w domu własnym mówi po francusku). Nie jest to jedno i toż samo, bo np. znaleść można w Alzacji ludzi, którzy nie umieją mówić po francusku, a z kultury, z uczuć, z chęci własnych należą do narodu francuskiego. W każdym kraju, w każdym narodzie wypadki podobne zachodzą. Przytem są narody, nie mające osobnego języka. Takim jest naród szwajcarski; mówi on trzema językami (francuski, niemiecki, włoski), niemniej przeto wskutek odrębności kultury, wskutek własnych obyczajów i silnego poczucia swej narodowej odrębności, szwajcarzy niewątpliwie tworzą naród różny i od niemców, i od francuzów, i od włochów.

Wobec tego oparcie statystyki narodowości na poczuciu jednostek dało by rezultaty ściślejsze, gdyby można było doskonale, bez braków i błędów, przeprowadzić spisy jednodniowe: każdy powiedziałby, kim jest.

Ale doskonałość spisu wymaga wielu bardzo czynników, w tej liczbie wyrobionej świadomości wśród mas, oraz usunięcia z życia warunków, które by skłaniać mogły ludzi do maskowania swej właściwej treści. Tej doskonałości osiągnąć

niepodobna ani w Prusach ani w Austrji. W Rosji zaś rezultaty spisu jednodniowego w r. 1897 nie są jeszcze wiadome.

Dla tego też dotychczasowe obrachunki Polaków opierały się przeważnie na języku, czyli obliczano ludzi, *mówiących w domu po polsku.*

Pierwszy zajął się tem w sposób właściwy Filip Sulimierski, zasłużony bardzo pracownik, twórca „Słownika gieograficznego". Podał on w r. 1882 liczbę Polaków na 12 miljonów z górą". „Ognisko", książka zbiorowa dla Jeża. Warszawa 1882 r.).

W tak trudnej pracy, przy braku źródeł, odrazu niepodobna osiągnąć rezultatu całkiem zadawalniającego. Chociaż więc cyfry Sulimierskiego stanowiły bardzo ważny punkt wytyczny i znacznie już rozjaśniły rzecz, ale bynajmniej za zadawalniające uważać ich nie podobna.

W kilka lat potem Edward Czyński, naprzód w czasopiśmie „Wisła", a potem w oddzielnej broszurze (Warszawa 1887 r.) ogłosił „Etnograficzno — Statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej". Jestto do dziś praca w tym przedmiocie najważniejsza. Bo chociaż od tego czasu przybyły o wiele ściślejsze opracowania pojedyńczych części, ale dokładniejszego obrachunku ogólnego nie zrobił nikt. Otrzymał on z mozolnych wyliczeń rezultat następujący:

Polaków w państwie Pruskiem		2,672,000
„ „ „ Austryjackiem		2,930,000
„ w Kraju Zachodnim	1,500,000	
„ w Królestwie Polskiem	5,400,000	
Razem Polaków w innych gub. Cesarstwa .		6,900,000
Suma ogólna Polaków w tych krajach		12,500,000

Do sumy tej nie weszła, jak widzimy, spora cyfra Polaków, przebywających w głębi Cesarstwa rosyjskiego, w innych krajach europejskich i w Ameryce.

W roku 1898 dokonał nowego obrachunku p. Franciszek Olszewski w „Kurjerze Warszawskim". Nie są to jednak badania nowe. Za podstawę wziął p. Olszewski liczby Czyńskiego, uwzględnił tylko cyfry ogólne z nowej statystyki

rosyjskiej i dodał przyrost (1% rocznie): wypadło mu 15,600,000 głów*).

Dziś jednak można oprzeć obrachunek na cyfrach pewniejszych, gdyż są daty świeższe. Mamy mianowicie rezultaty austrjackiego spisu jednodniowego z 1890 roku w opracowaniu Tadeusza Rutowskiego (Rocznik Statystyki Galicji, Lwów 1893). Mamy rezultaty spisu jednodniowego w Prusach z tegoż samego 1890 r.; mamy obrachunki p. Stefana Komornickiego w dziele „Polska na Zachodzie", (Lwów 1894), w którem oświetlił i uzupełnił statystykę rządową pruską. Nadmorski dał w „Pamiętniku Fizjograficznym" wyborny i niesłychanie szczegółowy obrachunek Polaków w Prusach Zachodnich z doskonałą mapą. Wreszcie p. Tadeusz Smarzewski w artykule „Kraju". „Trochę statystyki" rzucił ciekawe światło na rozwój narodowości polskiej w Prusach, (nr. 18 r. 1898). Mamy też dane Warszawskiego Komitetu Statystycznego za r. 1893. Gdy się tylko ukażą liczby spisu jednodniowego w Rosji co do podziału na narodowości, będziemy już mogli zrobić obrachunek niemal dokładny. Tymczasem jednak istniejące dane pozwalają zbliżyć się do prawdy bardziej, niż to zrobić mógł Sulimierski i Czyński.

Liczby ogólne.

Zaczniemy od liczb ogólnych. Pokażmy je przedewszystkiem nago, bez poprawek, omówień i wniosków, tak jak znajdujemy je w statystykach.

Spis jednodniowy w grudniu r. 1890 znalazł *w Austrji* całej (bez Węgier) 3,719,232 Polaków.

W ciągu poprzedzającego dziesięciolecia liczba Polaków wzrosła o 14,84 proc. czyli roczny przyrost wynosił prawie 1½ proc. Nie popełnimy więc napewno przesady, jeśli dla

*) Statystycy niemieccy liczbę Polaków na świecie podają na 16,7 miljonów (Atlas prof. Hickmana r. 1897).

okresu 1890—1900 weźmiemy jako cyfrę wzrastania ludności 1 proc. rocznie. Otrzymamy w takim razie dla początku r. 1901, czyli dla początku 20-go stulecia, liczbę Polaków w Austrji *co najmniej 4,091,155.*

Spis jednodniowy *w Prusach,* dokonany również w grudniu tegoż samego 1890 roku, dał liczbę Polaków 2,997,951 głów. Pomimo, iż statystycy nasi, Nadmorski i Komornicki, wykazują niedokładność tej liczby, a ostatni uważa ją przynajmniej o 200 tysięcy niższą od prawdy, to jednak tymczasem nie chcemy odstępować, gdzie można, od danych statystyki urzędowej.

Ogólny przyrost ludności w prowincjach pruskich z zaludnieniem polskiem wynosił rocznie w okresie 1871—90.

W Prusach wschodnich	$0,_4$ proc.
„ zachodnich	$0,_5$ „
w Księstwie poznańskiem prawie .	$0,_6$ „
na Szląsku	$0,_7$ „

Ponieważ ludność polska wzrasta wszędzie (prócz może Prus wschodnich) prędzej znacznie niż niemiecka, więc można by zapewne liczyć 1 proc. rocznego przyrostu, aby jednak znowu nie było żadnego prawdopodobieństwa przesady, do powyższej sumy ludności doliczm tylko 150,000, t. j. około $^1/_2$ proc. na rok, a wtedy wypadnie, że w końcu r. b. cyfra Polaków w cesarstwie niemieckiem wyniesie *3.147,951* głów.

Ponieważ tymczasem nie ma jeszcze liczby urzędowej Polaków w państwie *Rosyjskiem,* weźmiemy więc cyfrę p. F. Olszewskiego, która z pewnością nie jest za wysoką, jak to wykażemy później. Wynosiła ona w początku r. 1897 dla Królestwa Polskiego i 9-ciu gub. Kraju Zachodniego 9,051,829. Tu znowu można wziąć (co najmniej) 1 proc. rocznego przyrostu *), co za cztery lata uczyni z górą 362,000. Razem więc conajmniej 9,413,829 głów.

*) W Kalendarzu Suworyna na rok bieżący znajdujemy następujące w skazówki (oparte na cyfrach urzędowych) co do wzrostu ludności w okresie 1858/9—1897 t. j. w ciągu lat 38: „Trzy gubernie południowo zachodnie, pomimo znacznej ludności, dały przyrost znaczny: Podolska 32 proc. (więc rocznie nieco mniej niż 1 proc.), Wołyńska 104 proc. (rocznie 2 proc.), Kijowska 118% (rocznie prawie 3 proc.)". „W gub. litewskich i biało-

Ale to nie wszystko. Sporo Polaków przebywa w innych gubernjach cesarstwa, bądź na jakichś stanowiskach, bądź w wojsku. Pominąć ich oczywiście nie podobna. W „Kalendarzu Katolickim" (Petersburg 1896 r.) p. Ludomir Grendyszyński liczbę katolików po za Królestwem Polskiem i Krajem Zachodnim obliczył na podstawie rubrycelli kościelnych na 697,890 głów (z tego w wojsku blisko 182 tysiące). Nie może ulegać wątpliwości najmniejszej, iż przynajmniej połowa tej liczby należy do narodowości polskiej — dla zupełnego bezpieczeństwa weźmy tylko 300 tysięcy (nie bierzemy też pod uwagę prawdopodobnego przyrostu).

Otrzymamy liczbę Polaków w całem państwie Rosyjskiem na 1901 rok *9,714,829* głów.

W innych państwach europejskich i po za europejskich też nie brak rodaków naszych. Przedewszystkiem zapominać nie należy, iż na Węgrzech jest kawał ziemi, który wyszedł z granic Rzeczypospolitej w 1772 i posiada na znacznej części swego terytorjum zwartą chłopską ludność polską (30 — 40 tysięcy*) to dawniejsze starostwo, dziś komitet spiski (Spiż).

Cyfr pewnych nie mamy, ale razem, na Spiżu w Europie zachodniej, północnej i w państwach bałkańskich, w Azji, Afryce i Australii przebywa w tej chwili przynajmniej 50 tysięcy Polaków.

W roku zeszłym Towarzystwo Kolonizacyjno-Handlowe we Lwowie wydało broszurę p. t. „*Polska Kolonizacja Zamorska*". Znajdujemy tam liczbę Polaków *w Stanach Zjednoczonych* obrachowaną na $1^1/_2$ miljona, a w jednej prowincji brazylijskiej, *w Paranie*, na sto tysięcy głów. Dla zupełnej pewności, weźmy *na całą Amerykę* północną i południową liczbę $1^1/_2$ miljona.

---

ruskich przyrost ludności był bardzo wielki, w jednej tylko gub. Kowieńskiej wynosił 77 proc. (rocznie 2 proc.), w innych przeszło 100 proc. (rocznie $2^1/_2$) a w Mińskiej 130 proc. (rocznie $3^1/_2$ proc.). W gub. polskich, pomimo znacznej gęstości zaludnienia, przyrost wyraża się liczbą 94 proc. (rocznie blisko $2^1/_2$ proc.) i dalej się powiększa". A więc wzięty przez nas 1 proc. jako cyfra przyrostu dla wszystkich tych prowincji może być uważany za przesadnie mały, nigdy zaś za zbyt wielki.

*) Słownik gieograficzny.

Razem otrzymamy liczbę, obrachowaną na koniec r. b., czy na początek wieku 20-go w cyfrach okrągłych (odrzuciwszy setki):

W państwie Rosyjskiem	9715000
„ „ Austryjackiem	4091000
„ „ Niemieckiem	3148000
W Ameryce.	1500000
Na Spiżu i w Krajach pozostałych .	50000
Razem .	18504000

Wobec tego, cośmy powiedzieli wyżej, sumę tę może ktoś bez obawy pomyłki podnieść, ale obniżać jej niepodobna. Czyli jest nas na całym świecie **18 — 19 milionów**.

Obok tego musimy postawić najogólniejszą statystykę niektórych narodów, lub raczej innych języków (według obliczeń prof. A. L. Hickmana):

Anglików	100 milion.
Wielkorusów, Małorusów i Białorusów	88 „
Niemców	70 „
Hiszpanów i Portugalczyków	63 „
Francuzów	44 „
Włochów	33 „
Rumunów	9,5 „
Skandynawów (Duńczyków, Szwedów, Norwegczyków)	9,3 „
Irlandczyków	9 „
Czechów, Morawian i Słowaków	8,1 „
Serbów, Kroatów, z Bośniakami, Czarnogórcami i t. d.	7 „
Węgrów	6,7 „
Holendrów	6 „
Bułgarów	4,5 „
Litwinów (tylko w państwie Rosyjskiem bez Litwinów pruskich)	3 mil.
Serbów łużyckich	0,2 „

Naturalnie są to wszystko liczby przybliżone; w każdej możliwą jest omyłka na miljon, dwa miljony, a nawet więcej.

Obliczenia szczegółowe.

Austrja.

Zaczynamy znowu od Austrji, a to dla tego, że tu istnieją cyfry najpewniejsze i najpełniejsze. Możemy też z nich dowiedzieć się takich okoliczności, które ułatwią orjentowanie się gdzieindziej, gdy liczb zabraknie, a trzeba je będzie zastępować lub poprawiać domysłami i kombinacją.

Ludność cała Austrji wynosiła:

w r. 1880. . . . . 21,794,231 głów
w r. 1890. . . . . 23,473,056 „

przyrost, 1,678,825, co w stosunku do ludności z r. 1880 tworzy $7,_{70}$ proc. ($0,_{77}$ proc. rocznie).

Ludność polska w Austrji wynosiła:

w r. 1880. . . . . 3,238,534 głów
w r. 1890. . . . . 3,719,232 „

przyrost, 480,698, daje $14,_{84}$ proc. ($1,_{48}$ proc. rocznie). Czyli ludność polska wzrastała prawie dwa razy tak szybko jak ogół ludności w państwie, wskutek tego w r. 1880 na 1000 ludzi w Austrji było polaków $148,_{6}$ a w 1890 już $158,_{4}$; przyczyną zaś tego jest nietylko większa płodność Polaków, lecz i względy inne, o których powiemy niżej.

Z ogółu Polaków, znajdujących się w chwili spisu w granicach Austrji, przemieszkiwało:

w Galicji 3,509,183
na Szląsku. 178,114
„ Bukowinie. 23,604
„ Morawach. 5,039
w Niższej Austrji. 2,280

Reszta w niewielkich setkach przebywała w prowincjach innych.

Nas interesują głównie dwa pierwsze kraje, pozostałe liczby są rzeczą przypadku i nie mają znaczenia społecznego. Pomimo nieco większej liczby na Bukowinie, Polacy stanowią tam trochę zaledwie więcej niż 3½ proc. ogółu mieszkańców.

Szląsk austrjacki składa się z dwu części, nieprzylegających do siebie bezpośrednio, lecz rozdzielonych wązkim klinem morawskiego okręgu Mistek. Do pierwszej części (obwód cieszyński) należą powiaty: Bilsk, Frysztadt, Cieszyn i Frydek, do drugiego (obwód opawski): Opawa, Karniów (Jägerndorf), Freudenthal, Frywałd (Freiwaldau). Nas obchodzi tylko okręg cieszyński, gdyż w okręgu opawskim znajduje się nieznaczny jedynie procent Polaków i to przeważnie przybyszów, czasowo tam zamieszkałych.

O Szląsku zarówno austrjackim jak pruskim ogół nasz nie posiada zbyt rozległych i zbyt pewnych wiadomości, dla tego też musimy tu udzielić niektórych wyjaśnień, zbytecznych przy statystyce ludności ziem innych.

Nad Szląskiem książęta z rodu Piasta panowali dłużej niż w dzielnicach innych. Ale dobrze się tam nie działo, ani im, ani ich poddanym. Wiecznie bracia i krewni dalsi wojowali z sobą o dziedzictwo i o władzę, więżąc, zabijając, szukając wszędzie pomocy. A niemczyzna wdzierała się wszelkiemi szparami bezustanku już w pierwszych latach, przez historję zapisanych. Wdzierała się tam, bo jej było najbliżej, i dla tego, że książęta wzywali obcych sąsiadów na pomoc jeden przeciwko drugiemu. Po każdem wstrząśnieniu politycznem, po każdej klęsce zalew germański się wznosi. Po opustoszeniu Szląska przez Tatarów na zniszczonych polach, na zgliszczach, osiada przybysz z zachodu.

Niemczyzna gościnny przytułek znajduje przedewszystkiem w zamkach i na dworach książąt piastowiczów. W r. 1163 Bolesław Kędzierzawy za sprawą cesarza Fryderyka odstępuje Szląsk trzem synowcom swoim, wychowanym na dworze niemieckim. To jest moment zwrotny, od niego coraz bardziej Szląsk odrywa się od pnia polskiego i zatapia się w morzu niemczyzny. Sławny z awantur Bolesław Rogatka, syn Henryka Pobożnego i Przemysławówny, królewny czeskiej (ur. 1217 um. 1278), książę naprzód wrocławski, a potem lignicko-głogowski, nie umie już mówić po polsku (może nawet nie on pierwszy). Rodzony brat jego, Henryk III wrocławski, jest głównym germanizatorem Szląska, spro-

wadza bowiem tłumy osadników niemieckich do wsi i miast, ostatnim nadaje też prawa niemieckie.

W tym czasie germanizacja sięga aż do Krakowa, który dostaje w r. 1257 prawo niemieckie, staje się miastem całkowicie niemieckiem i „stanowczo lgnie do zniemczałego Szląska i jego książąt“ (Szujski).

Gdy na scenie dziejowej ukazało się „chrobre łokciowe książątko“, Władysław Łokietek, i zaczyna się walka słowiańszczyzny z Niemcami na śmierć i życie, piastowicze szląscy stanęli po stronie niemczyzny, a mieszczaństwo krakowskie trzymało z nimi. Na pobojowisku grunwaldskiem pomiędzy poległymi Niemcami znalazł się też książę szląski Konrad Oleśnicki.

Tym sposobem już w wieku XIII dwory książęce, domy pańskie, duchowieństwo, szlachta, mieszczanie jest zniemczone do gruntu i na zawsze. Chłop tylko trzyma się mocno obyczajów słowiańskich i mowy polskiej.

Kazimierz Wielki widział konieczność zrzeczenia się praw do Szląska, to też wskutek umów 1335 i 1339 Szląsk odrywa się politycznie całkowicie od organizmu ziem polskich, dostaje się Czechom, a potem Niemcom. Jako oddzielne księstwo Szląsk istnieć przestaje przy końcu wieku piętnastego, gdy gaśnie sagańska linja piastowiczów. Ostatni potomek Piastów szląskich, Fryderyk Wilhelm, ks. cieszyński zmarł w 1675 roku.

Od roku 1741 panowanie nad Szląskiem jest celem długoletnich wojen pomiędzy Austrją a Prusami. Ostatecznie mocą traktatu w r. 1763 Szląsk staje się prowincją pruską, a tylko południowa niewielka część jego (Cieszyńskie i Opawskie) pozostaje przy Austrji.

Pomimo wielu wieków niemieckiego panowania Szląsk nie zgermanizował się do szczętu. Wschodnia część jego na południu i na północy ocalała. Około połowy naszego wieku budzi się w chłopie szląskim poczucie odrębności wobec Niemców. Zjawiają się pracownicy, którzy iskrę narodową rozdmuchali i zabezpieczyli. Ciekawe to dzieje, pełne nadzwyczajności i otuchy. My tutaj możemy o tem wspomnieć tylko, aby zaznaczyć, że się fala niemczyzny po kilkowieko-

MAPA ETNOGRAFICZNA
Szlązka
austryjackiego i pruskiego,
ułożona w r. 1869
przez prof. Ł. Malinowskiego.

Miejsca zaczernione należą do obszaru etnograficznego polskiego (przeszło 50%); miejsca zakreślone zamieszkują Czesi.

wym postępie wstrzymała. Ci więc Polacy szląscy, których tu liczbę podamy, to nie są szczątki ginącego plemienia, skazane na wymarcie, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa przy mowie swojej rodzinnej będą trwać i wytrwają.

O stanie Szląska w czasach naszych mamy wyczerpującą pracę niedawno zmarłego profesora uniwersytetu krakowskiego, Lucjana Malinowskiego *). Badał on stan rzeczy gruntownie na miejscu. Wprawdzie opisy jego i twierdzenia stosują się do roku 1869, ale zasadnicze rysy ludzi i stosunków przez lat 30 zmianie wielkiej uledz nie mogły, a w każdym razie posunęły się ku lepszemu. Świeższe wiadomości, kto ciekaw, znaleźć może w korespondencjach ze Szląska (lud miejscowy mówi *Śląsko*) do pism warszawskich, przedewszystkiem zaś do „Kraju".

Przytoczymy z pracy Malinowskiego te ustępy, które mogą być potrzebne do należytego zrozumienia i ocenienia liczb. Podajemy też mapę jego etnograficzną Szląska. Jest ona dokładną, gdyż uczony profesor zbadał sam cały pas pograniczny.

„Szlązaki w obwodzie Cieszyńskiem—pisze Malinowski,— to lud zamożny, i uczciwy nadzwyczajnie, i trzeźwy, i światły. A jedną z ważnych przyczyn takiego stanu rzeczy jest stanowisko, jakie zajęło duchowieństwo i nauczyciele względem ludności wiejskiej. Tutejsi nauczyciele wychodzą z pośród ludności wiejskiej i nie stronią od ludu, nie panoszą się, nie wstydzą się swego języka, przeciwnie, wśród nich znaleźć można najgorliwszych obrońców interesów ludowych. W życiu rodzinnem zachowują swojskie zwyczaje i obyczaje, żenią się zawsze z córkami gazdów (gospodarzy); żony i córki ich zachowują strój wiejski i niczem się nie różnią od innych kobiet i dziewcząt wiejskich."

„Winienem tu zaprotestować — pisze profesor języka polskiego w uniwersytecie jagielońskim — jakoby mowa szląskich Polaków (w Austrji i w Prusach) przepełniona była germanizmami: *lud szląski mówi czysto jak i w innych okolicach*

*) „Zarysy życia ludowego na Szląsku" (Ateneum 1877 r.).

naszego etnograficznego obszaru i obce wtręty nie są tu liczniejsze, aniżeli w słowniku ogólnym.“

„Większa część miejscowej ludności jest wyznania ewangielickiego i trzeba wyznać, że nierównie więcej wykazuje energji, żywotności i miłości wszystkiego, co swojskie, aniżeli tamtejsza ludność katolicka. Zadziwia to tem więcej, że na Szląsku pruskim widzimy zjawisko wprost przeciwne: polscy ewangelicy tameczni daleko chętniej poddają się germanizacyi aniżeli katolicy. Zresztą między katolikami a ewangielikami w Cieszyńskiem niema ani nienawiści religijnej ani wyłączności.“

„Zamiłowanie swojskości wśród tutejszych ewangielików wyraża się między innemi w tem, że już dawno wprowadzono do obrzędów kościelnych i do wykładu po szkołach język polski na miejsce wiekami uświęconej, czeszczyzny“.

„Niemcy mieszkają tu tylko w Cieszynie i w okolicy miasta Bilsko-Biała na granicy galicyjskiej. W Cieszynie należą przeważnie do stanu kupieckiego. Są to po większej części zniemczeni słowianie, jak tego ich nazwy rodowe dowodzą (Lewiński, Kamprat i t. d.), lub też żydzi. Lecz tutejsi Niemcy nie są wcale niebezpieczni dla żywiołu słowiańskiego; brak im tej żywotności i energii, która charakteryzuje to plemię, zwłaszcza, na kresach etnograficznych na wschodzie i północy. Gdyby nie sztuczne z zewnątrz podtrzymywanie żywiołu niemieckiego, jużby dawno zlał się on z ludnością miejscową... Języka niemieckiego ludność po miastach używa więcej dla mody, dla zwyczaju, niż z koniecznej potrzeby. Godna uwagi, że nawet po wsiach ludzie starzy, zacofani chętniej mówią po niemiecku, zwłaszcza z obcymi, niż młodsze pokolenie.“

Co do Niemców, to albo się Malinowski mylił, albo do tego czasu stosunki się zmieniły. Zaciętość germańska w Cieszynie w niejednem nie ustępuje hakatyzmowi poznańskiemu. Zaraz zobaczymy, iż liczebnie również niemczyzna się nie cofa.

W r. 1880 cała ludność Szląska austrjackiego wynosiła. . . . . 565,475 głów

W r. 1890 cała ludność Szląska austrjackiego wynosiła . . . . . 605,649 głów
przyrost roczny 40,174, stanowi 0,7 proc. rocznie.
W r. 1880 ludność polska na Szląsku austrjackim wynosiła . . . . . 154,887 „
W r. 1890 ludność polska na Szląsku austrjackim wynosiła . . . . . 178,114 „
przyrost roczny 23,227, stanowi 1,5 proc., czyli ludność polska wzrasta tam stosunkowo dwa razy prędzej, niż ogół ludności. To też, kiedy na całym Szląsku austrjackim na 1000 ludności w r. 1880 Polaków było 281, w r. 1890 — 302.

Stosunki językowe w cieszyńskiej części Szląska są następujące:

POWIATY	W roku 1880 na stu ludzi było:			W roku 1890 na stu ludzi było:		
	Polaków	Czechów	Niemców	Polaków	Czechów	Niemców
Bilsk (powiat) . .	83,151	0,140	16,709	83,110	0,137	16,753
Frystadt	56,183	35,107	8,705	60,93	32,145	6,758
Cieszyn	52,186	39,108	8,106	55,142	35,144	9,114
Bilsk (miasto) . .	12,100	1,146	86,154	16,31	3,101	80,68
Frydek (miasto) .	1,193	80,107	18,108	4,101	59,170	36,129

Cyfry te mówią toż samo, co mapa: ogromna większość Szląska Cieszyńskiego od wschodu jest polska, zachodni pasek (głównie Frydek)—czeski. Niemcy mają większość jedynie w mieście Bilsku, co nie znaczy wiele, gdyż to miasto nie jest duże, liczy jakieś 20 tysięcy mieszkańców. Przytem z tablicy widzimy, że w okresie lat 1880—90 Niemcy w Bil-

sku stracili blisko 6 proc., Polacy zaś zyskali z górą 4 proc. Natomiast Niemcy wyparli Czechów z Frydka.

Wogóle całe dziesięciolecie owo było dla Polaków w Cieszyńskiem pomyślne. W jednym tylko powiecie bilskim znajdujemy maleńki ubytek, wynoszący 4 ludzi na tysiąc, natomiast we Frystacie było Polaków w r. 1890 w tysiącu ludności ogólnej o 41 więcej niż w r. 1880, w Cieszynie przeszło o 25, w mieście Bilsku o 43, we Frydku o 21. Czyli wszędzie odgrywali rolę większą.

W całym Szląsku (razem w obwodach cieszyńskim i opawskim) z każdego 1000 ludności w ciągu lat 1880—90 *Niemców ubyło* 11,$_{5}$, *Czechów ubyło* 9, *Polaków przybyło* 20,$_{8}$.

Z tego wnosić można, że w tym punkcie naszego obszaru etnograficznego nie grozi niebezpieczeństwo żadne, bo postęp widoczny. Znakomity przyrost jest prawdopodobnie następstwem coraz to większego uświadamiania się stosunków narodowych: ludność, która dawniej podawała się za czeską i niemiecką, teraz czuje się polską i tak się przy spisie podaje.

Wobec tego liczb wyżej podanych nie ma co zmniejszać. Gdyby wzrost ludności polskiej odbywał się dalej z tąż samą szybkością, ilość Polaków na Szląsku austryjackim w r. 1901 wynosiła by **204,830**. Licząc zaś 1 procent rocznego przyrostu, otrzymamy około 196,000 głów.

W Galicji obrachunek musi być robiony inaczej. Niema żadnego powodu obawiać się na Szląsk przesady, rzucać wątpliwości na polskość kogokolwiek, kto się tam za Polaka podał. Raczej przypuszczać można odwrotny wypadek, że się ludzie wobec materjalnej, umysłowej i urzędowej przewagi Niemców ukrywają z polskością. W Galicji zaś narodowością dominującą są Polacy; zazwyczaj, pomimo wszelkich ostrożności, spisy wypadają na korzyść tej narodowości. Z tą okolicznością należy się przy wnioskach rachować.

Cała ludność Galicji wynosiła:

w r. 1880 . . . . . 5,958,907 głów
„ „ 1890 . . . . . 6,607,816 „

przyrost 648,909 głów stanowi 1,$_{08}$ proc. rocznie.

Ludność polska w Galicji wynosiła:

w r. 1880 . . . . . 3,058,400 głów
„ „ 1890 . . . . . 3,509,183 „

przyrost 450,783 głów stanowi $1,_{47}$ proc. rocznie. Znowu widzimy, że i tu liczba Polaków szybciej przyrasta niż ogółu, więc też oczywiście więcej niż innych narodowości. Zjawisko to trwa stale od lat już wielu. Według źródeł urzędowych na 1000 mieszkańców Galicji przypadało Polaków:

w r. 1850 . . . . . $409,_{2}$
„ „ 1857 . . . . . $427,_{6}$
„ „ 1880 . . . . . $515,_{1}$
„ „ 1890 . . . . . $533,_{4}$

Ażeby rzecz tą należycie objąć i zrozumieć, trzeba mieć odpowiedź na pytania następujące: z kogo się składa powyższa liczba Polaków w Galicji? Jakie są przyczyny coraz większego liczebnego znaczenia polaków w Galicji? Jakie jest tam rozsiedlenie Polaków?

Ażeby otrzymać odpowiedź na dwa pierwsze pytania, musimy się rozejrzeć w dwu tabliczkach następujących:

W roku 1890 było:

katolików	2,997,430	co stanowi	$45,_{36}$	proc.	ogółu
greko-katolików (unitów)	2,790,449	„ „	$42,_{26}$	proc.	ogółu
protestantów	43,279	„ „	$0,_{70}$	„	„
wyznania mojżeszowego	772,213	„ „	$11,_{68}$	„	„
wyznań innych	4,445	„ „	$0,_{0}$	„	„
			100%		

W tymże 1890 roku było ludzi, używających języka:

polskiego	3,509,183	co stanowi	$53,_{34}$	proc.	ogółu
ruskiego	2,835,674	„ „	$43,_{10}$	„	„
niemieckiego . . .	227,600	„ „	$3,_{46}$	„	„
czeskiego, moraw. słowac. słoweńsk . serbsk i. t. d.	6,127	„ „	$0,_{10}$	„	„
włoskiego i rumuńsk.	341	„ „	$0,_{00}$	„	„
			100%		

Widzimy więc, że Polaków w Galicji jest o 511,753 głów czyli blisko o 8 proc. więcej niż katolików. Ponieważ Rusinów jest również więcej niż greko-katolików, więc rzecz pro

sta, iż w owej półmiljonowej zwyżce główną część tworzą żydzi.

Protestantów jest wszystkiego $43^1/_4$ tysiące, zaś język niemiecki za rodowity podało $227^1/_2$ tysięcy, prawdopodobnie więc $184^1/_4$ tys. żydów uważa się za Niemców, ogromna większość podała się za Polaków i kilkadziesiąt tysięcy za Rusinów.

Ciekawe zmiany przechodziła w Galicji ludność, używająca w domu języka niemieckiego. W r. 1850 tworzy ona wśród ogółu blisko 9 proc., żydzi zaś stanowią $7^1/_3$ proc, W r. 1857 niemców jest $12,_2$ proc., żydów $9,_7$ proc. Widzimy z tego po pierwsze, iż w czasach owych żywioł obcy, niemiecki, wzrastał szybko w liczbę—gdy dziś z roku na rok topnieje. Powtóre, ponieważ osób, mówiących w domu po niemiecku, było więcej niż osób wyznania mojżeszowego, więc prawdopodobnie wszyscy żydzi podawali się wtedy za Niemców, resztę tworzyła biurokracja i część zniemczonego mieszczaństwa. W r. 1857 było w Galicji 120 tysięcy nie żydów z językiem macierzystym niemieckim.

W r. 1880 już przeszło połowa żydów, a w r. 1890 blisko $^3/_4$ uznało język krajowy za swój rodowity.

Całkiem inaczej układają się w Galicji stosunki wyznaniowe. Kiedy w ostatniem dziesięcioleciu ogół ludności wzrastał o $1,_{08}$ proc. rocznie, przyrost żydów wynosił blisko $1,_{25}$. W latach dawnych różnice te były jeszcze większe. W okresie 1869—90 katolików przybywało rocznie $0,_{75}$ proc., unitów— $0,_{76}$, żydów—$1,_{73}$. To też w stosunku do ogółu liczba katolików i unitów ma dziś mniejsze znaczenie niż dawniej. Na 1000 mieszkańców było:

	rzyms.-kat.	grek.-kat.	mojżesz.	innych.
w r. 1869	$460,_0$	$426,_7$	$106,_3$	$7,_1$
„ 1880	$455,_6$	$421,_3$	$115,_2$	$7,_9$
„ 1890	$453,_6$	$422,_6$	$116,_8$	$7,_0$

Widzimy z tego, że w r. 1890 (chociaż liczba wyznawców wszystkich religji wzrosła), chrześcjanie znaczyli liczebnie mniej niż przez 20-u laty, gdyż w r. 1869 było rzymsko-katolików na tysiąc ludności o $6,_4$ więcej niż w r. 1890, greko-katolików zaś przesło o 4 więcej, natomiast żydzi odgrywają liczebnie rolę coraz większą.

Rezultaty te należy jednak traktować z pewną ostrożnością, szczególniej co do żydów. Spis 1869 r. był pierwszy, ludność w ogóle nierozumiała jego znaczenia i przeznaczenia, kto tylko mógł, to prawdę krzywił; żydzi zaś i więcej się bali i więcej mogli skrzywić — poprostu dużo ich w r. 1869 uchyliło się zupełnie od spisu, wskutek tego spisy następne wykazały prawdopodobnie przyrost większy niż był w istocie. To też, jeżeli weźmiemy dziesięciolecie 1880—1890, okaże się, iż stosunek liczebny ludności różnych wyznań uległ bardzo zaledwie nieznacznym zmianom: *katolików* było na tysiąc o 2 *mniej*, *unitów* o $1_{,3}$ *więcej*, *żydów* o $1_{,6}$ *więcej*. W każdym razie dowodzi to, iż katolicy rozradzają się słabiej od unitów i słabiej od żydów.

Fakty te dają nam odpowiedź na dwa pierwsze pytania:

z $3^1/_2$ miljona Polaków w Galicji około 3 mil. stanowią chrześcjanie, i około $^1/_2$ miljona żydzi;

znaczny wzrost liczby ludzi, mówiących w domu po polsku, stąd pochodzi, że coraz więcej żydów zapisuje się do rubryki języka polskiego.*).

Nikt przeczyć nie zechce, iż te okoliczności wpływają znacznie na sens liczb ogólnych. Zalecaliśmy ostrożność, gdy chodziło o wzrost pierwiastku żydowskiego w Galicji; tak samo trzeba ostrożnie brać świadectwo statystyki o szerzeniu się języka polskiego w rodzinach żydowskich. Żargon panuje tam ciągle. Co innego jest całkiem oświadczenie na kartce spisowej, a co innego praktyka, wiekami zakorzeniona. Z owego $^1/_2$ miljona żydów-Polaków ogromna większość ledwie potrafi rozmówić się pokaleczoną polszczyzną. Niejeden z nich wyjechał już do Wiednia, założył sklep i zapomniał całkiem po polsku. Duża liczba żydów-Polaków jest właśnie jednym ze skutków owej przewagi narodowości polskiej, o czem wspomnieliśmy wyżej **).

---

*) W r. 1880 liczba niekatolików, podających się przy spisie za Polaków, wynosiła 352,245, w 1890 roku aż — 519,268 głów.

**) Że, niestety, podejrzenia nasze i obawy są słuszne, mamy dowód następujący: w roku szkolnym 1890 — 1891 było w uniwersytecie wiedeńskim 672 studentów z Galicji, zaś Polaków w tem naliczono 359, rusinów — 47, razem 406, reszta 266 nieprzyznała się do żadnej z dwu

Garnięcie się żydów w Galicji do polszczyzny uważamy za objaw pożądany, za pomyślną zapowiedź, za dobry początek, ale gdy chodzi o ścisłe i niezawodne cyfry statystyczne, o obrachunek pewny żywiołu polskiego, z okolicznościami zaznaczonemi liczyć się trzeba.

Wobec tego ilość polaków w r. 1890 zmniejszyć należy do jakich 3,100,000 najwyżej 3,200,000 głów. Zaś przyrostu rocznego niepodobna oszacować ponad $0,_7$ proc. rocznie, co da na początku 1901 roku liczbą **3,300,000** najwyżej **3,400,000** Polaków w Galicji.

Na tym ogólnym tle wielkich liczb znajdują się drobne szczegóły, które sensu obrachunków powyższych nie zmieniają, ale mają pewne znaczenie i są ciekawe. Ogromna większość ewangielików galicyjskich należy do narodowości niemieckiej, ogromna większość katolików rzymskich—do polskiej, ogromna większość greko-katolików—do rusińskiej. Niemniej są liczne wyjątki. Naprz. w pow. bilskim na granicy Szląskiej, gdzie rozwinięty przemysł i niemcy mają przewagę, katolików jest $83,_7$ tysięcy, polaków zaś tylko $77,_6$, czyli 6 tysięcy z górą katolików podało się za niemców, W mieście Lwowie greko-katolików jest $21,_9$ tysięcy, zaś rusinów wszystkiego 9 tysięcy, czyli 13 tysięcy greko-katolików we Lwowie uważa się za polaków (lub, w jakiejś drobnej cząstce, za niemców).

I do narodowości ruskiej przyznają się nie sami tylko unici i prawosławni, tak samo jak do polskiej, nie tylko sami katolicy wskutek tego rusinów jest w Galicji więcej niż unitów i prawosławnych. W r. 1880 przewyżka ta wynosiła przeszło 39 tysięcy, w r. 1890 przeszło $37^1/_2$ tysięcy.

Polacy-niekatolicy przemieszkują głównie w miastach.

---

narodowości krajowych. Nie można mieć żadnego podejrzenia, aby tak znaczną liczbę młodzieży mogli wysyłać do jednego uniwersytetu nieliczni w Galicji niemcy. Jest więcej niż prawdopodobne, że onych 266 Galicjan nie polaków i nie rusinów, to żydzi, którzy już na gruncie wiedeńskim do polskości się nie poczuwają. W innych semestrach i latach mamy liczby takież same.

19 pol.

We Lwowie ogólna liczba mieszkańców w 1890 roku wynosiła 127,943 głów; z tego było:

katolików-rzymsk	greko-katolików	ewangelików	wyz.-mojżeszowego
64,286 (52,6%)	21,876 (17,11%)	2.061 (1,6%)	36,130 (28,12%)
Polaków	Rusinów	Niemców	
103,999 (82,77%)	9,067 (7,12%)	12,162 (9,17%)	

W Krakowie ogólna liczba mieszkańców w r. 1890 wynosiła 74,593 głów, z tego było:

rzym.-katolików	greko-katolików	ewangelików	wyz.-mojżeszowego
52,459 (70,13%)	593, (0,18%)	540 (0,17%)	20,939 (28,11%)
Polaków	Rusinów	Niemców	
64,210 (91,13%)	184 (0,3)	4,766 (6,38%)	

Teraz przejdziemy do pytania drugiego: jak się grupują polacy w Galicji, gdzie przemieszkują?

Galicja zachodnia jest polska, wschodnia—rusinska. Linja granicy etnograficznej idzie *mniej więcej* przez miasteczka Piwniczną, Grybów, Gorlice, Biecz, Jasło, Duklę, Krośno, Brzozów, Dynów, Jarosław, Tarnogród.

Wszystkich powiatów w Galicji jest 74 oraz dwa miasta Lwów i Kraków, tworzące jednostki administracyjne. Z tego katolicy mają większość w 27 pow. w Krakowie i we Lwowie; polacy zaś znajdują się w większości w 29 pow. oraz również w Krakowie i we Lwowie.

Greko-katolicy i rusini mają większość w 44 powiatach (w pozostałych powiatach wskutek obecności żydów i niemców żadna narodowość i żadne wyznanie nie ma większości).

Oto statystyka ludności z r. 1890 w powiatach z większością polską.

Nazwa powiatu	Ludność ogólna	Katolicy	Na tysiąc mieszkańców przypada katolików	Polacy	Na tysiąc mieszkańców przypada Polaków
Dąbrowa . . .	63547	57069	898,1	63322	999,8
Brzesko . . .	90748	84899	935,5	90559	999,6
Pilzno	47685	44837	940,3	47629	999,4
do przeniesienia	201980	186805		201510	

Z przeniesienia	201980	186805		201510	
Limanowa . .	73239	70709	965,5	73115	999,3
Ropczyce . . .	76211	68760	902,2	75866	999,0
Tarnobrzeg . .	68081	58514	859,8	67485	998,6
Myślenice . .	85820	84163	980,7	85538	998,4
Wadowice . .	104722	100670	961,4	104265	997,7
Rzeszów . . .	145939	130262	892,6	144517	995,8
Bochnia . . .	101108	93249	922,3	100546	995,6
Tarnów . . .	98543	84070	853,2	97368	993,7
Żywiec . . .	97810	95597	977,4	96626	991,7
Nisko	60270	53521	880,0	59547	991,5
Chrzanów . .	78026	71018	910,2	76177	991,0
Wieliczka . .	103451	94715	915,6	101346	988,6
Kraków (pow.).	73381	71189	970,1	71669	988,3
Kolbuszowa . .	70774	63057	891,0	69223	982,5
Mielec	71296	62155	871,8	69517	976,7
Nowy Targ . .	74900	70003	934,7	71880	965,5
Łańcut . . .	129531	110472	852,9	123148	953,0
Jasło	102507	87682	855,4	94139	920,1
Kraków (miasto)	74593	52459	703,3	64210	913,3
Brzozów . . .	73108	57493	786,5	65085	891,0
Krosno . . .	76832	58517	761,7	67205	878,7
Biała	92211	83687	907,6	77632	850,2
Lwów (miasto).	127943	67286	525,9	103999	827,5
Nowy Sącz . .	110249	81858	742,5	90257	822,5
Grybów . . .	48521	36561	753,6	38465	795,3
Gorlice . . .	79670	54189	680,2	58846	741,0
Jarosław . . .	119988	54795	456,7	76693	641,3
Skałat	84047	29603	352,3	41684	502,2
Razem w powiatach z przewagą polską .	2704751	2233059	825,6	2467558	912,3

Wymienione wyżej powiaty prócz miasta Lwowa i Skałatu (leży na samym wschodzie Galicji), przylegają do siebie, tworzą jednolitą całość, dotykającą bezpośrednio Szląska i Królestwa Polskiego. Jeżeli odliczymy od otrzymanej sumy liczbę mieszkańców Lwowa i Skałatu, otrzymamy, iż

w zachodniej, czysto polskiej Galicyi, przemieszkuje 2492761 głów, co stanowi $37_{,7}$ proc. ogółu. W tej części Galicyi było w r. 1890 Polaków 2321875, czyli na tysiąc ludzi przypada Polaków $931_{,4}$. Żydów było tu 201,333 czyli na tysiąc mieszkańców $80_{,8}$; ponieważ w całej Galicji było ich na tysiąc $116_{,4}$ więc wypada, iż skupiają się oni bardziej na wschodzie, na zachodzie zaś jest ich mniej (toż samo jest w Królestwie Polskiem).

Są jeszcze w Galicji powiaty z poważną mniejszością polską: w 7 powiatach liczba Polaków przenosi 40 proc. t. j. $^2/_5$ ogółu; w 16 powiatach Polacy przenoszą $^1/_4$ ogółu (od 25—40 proc.). A tylko w 5 powiatach (Turka, Kałusz, Śniatyń, Kossów i Bohorodczany) Polacy nie sięgają 10 proc.; najmniej jest w bohorodczańskim powiecie, tylko $35_{,5}$ na tysiąc ludności.

Rusinów najwięcej jest w Turce i w Bohorodczanach, po 88 proc. W zachodniej Galicji nie ma ich prawie zupełnie, w 19 powiatach nie tworzą nawet 1-go procentu.

Z tego cośmy powiedzieli wyżej wypada, że ludności polskiej w całej Austrji nie podobna bez obawy przesady, obliczają wyżej jak **3,600,000** głów.

Ludwik Straszewicz.

(D. n.).

Spowiedź cygana.

(Z opowiadań szląskich).

Autorem humoreski poniższej jest czech Fr. Slama. Mało wogóle znamy litcraturę pokrewnego narodu, o autorze takim mało pewnie kto słyszał nawet. Tymczasem blizki on nam bardzo. Przez długie lata był sędzią śledczym w Cieszynie i treść do swych powiastek, noszących ogólny tytuł: „Ze zapisku soudce“ (Z pamiętnika sędziego), brał z życia tamtejszego ludu — polskiego.

Teraz dajemy zabawny obrazek wykrętów cygańskich podczas śledztwa. Jeśli się czytelnikom naszym ta próbka spodoba, przetłomaczymy również powiastki inne.

— Oj, Janku, Janku! Zaledwie przed tygodniem puściliśmy cię i znowu tu jesteś, grzeszniku niepoprawny!

— Przecież ja nie chciałem, proszę pokornie. Ale żandarm mię złapał, więc muszę, proszę pokornie. Mówię mu, że to już wstyd być cyganem, że dopiero przed tygodniem mnie puścili. Ale przywlókł mię gwałtem, a bodajem się na tem miejscu w ziemię zapadł, że nic nie wiem, proszę pokornie...

— Słuchaj, chłopcze, przestań już raz, do licha, powtarzać to swoje „proszę pokornie“. Wiesz przecie, że my tu próżnej gadaniny nie lubimy. Przytem każde słowo, które z ust twoich wychodzi, jest wierutnem kłamstwem; kłamstwo zaś jest grzechem, a grzechów masz już chyba aż nadto...

Bądź więc cicho, stój spokojnie, słuchaj, co mówię do ciebie, odpowiadaj krótko, to dostaniesz potem resztę cygara na bago*).

Na wspomnienie bago, Janek aż ślinę łyka. Dla cygana żucie tytoniu jest najwyższą przyjemnością.

— Nazywasz się Janek Borowski, masz lat dwadzieścia. Panie pisarzu, pisz pan. Znam cię już od roku. Wiem, powiesz mi, żeś katolik — panie pisarzu, pisz pan: katolik — ale od czasu chrztu w kościele nie byłeś. Cicho bądź, bo cygara nie dostaniesz. Być może, że byłeś kiedy w kościele, ale, niech cię Bóg broni, gdybym chciał sprawdzać, po coś tam był i coś zbroił. Myśli swej nie zwracałeś ku Bogu, grzeszny chłopcze, gdyż ona zajęta była sakiewką bliźniego twego. Poczciwy wieśniak szeptał: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“, a tymczasem ty, polegając na tem, że modli się za twe grzechy, sięgałeś po jego sakiewkę. Czy ty wiesz, co cię czeka tu na ziemi, jeżeli będziesz prowadził dalej życie bezbożne? Dla czego nie pracujesz, dlaczego nie żyjesz, jak Pan Bóg przykazał?

— Milcz jeno, a ten kawałek cygara będzie na stole leżał. Mówisz, że pracujesz? Tak, ślicznie pracujesz. Przedtem zapewniałeś, żeś pracował cztery tygodnie u gospodarza w Izdebnie. Wezwaliśmy go tutaj. Miał dziesięć godzin drogi, ale przyszedł i potwierdził, żeś robił u niego całe dwie godziny i uciekłeś z jego motyką, którą ci dał do kopania ziemniaków. Milcz, dość już tych cygaństw. Włóczysz się tylko, kradniesz, łżesz, a po śmierci staniesz przed sądem Boga Najwyższego, który wyda na ciebie wyrok potępienia. Wieczny ogień trawić cię będzie. Nie ruszaj cygara! Powtarzam, w ogniu piekielnym gorzeć będziesz! Gdybyś był choć trochę porządnym człowiekiem, tobyś zadrżał! Panie pisarzu, pisz: nie wiadomo gdzie się urodził, nie mieszka nigdzie, jak zwykle cygan, do szkoły nie chodził i był karany wielokrotnie za kradzież i włóczęgostwo.

— Ile razy byłeś karany?

---

*) W Galicji zachodniej i na Szląsku rozpowszechnione jest wśród klas uboższych żucie tytuniu, najczęściej niedopałków cygar; to nazywa się tam *bago*.

— Wszak to jest pewnie zapisane. Wielmożni panowie mają tyle papierów...

— Sam powiedz, ile razy?

— Niech mnie powieszą, nie wiem, proszę pokornie. Ja cygan, biedny. Do szkoły nie chodziłem, i moja matka czytać nie umiała. Umiała rachować do pięciu, a ja tylko do trzech. A zawsze siedziałem w kozie niewinnie. Za wieprza siedziałem niewinnie dwa miesiące. Przecież wielmożni panowie znają Daniela! Daniel, też Borowski, ale nie mój brat — to wielki cygan, a jeszcze większy złodziej. Co tylko zobaczy, to już jego. On ukradł wieprza, a ja siedziałem dwa miesiące — hu, hu!

— Nie płacz, Janku, siedziałeś, boś był winien.

— Niewinnie siedziałem, proszę pokornie. A z nim chodzi młoda cyganka, taka zgrabna, ładna, a jaka złodziejka! Oboje powinni nie wychodzić z kryminału. Ona ukradła z Danielem wieprza, a ja siedziałem...

— Ej, Janku! mnie nie okłamiesz. Wiem dobrze, za co chcesz zemścić się nad Danielem. Odsiedziałeś swoje dwa miesiące sprawiedliwie, więc milcz. Chłopcze, pamiętaj o Bogu, o wieczności i zacznij inne życie. Czyś ty nie słyszał o piekle i o strasznych karach, jakie czekają grzeszników na tamtym świecie? Jesteś katolikiem, powinieneś kilka razy w roku iść do spowiedzi i oczyścić grzeszne sumienie. Co mówisz, że ci nikt nie wierzy? Że nawet ksiądz ci nie uwierzy? Jeżeli będziesz mówił prawdę, uwierzy ci. Tu w więzieniu będzie ksiądz częściej cię odwiedzał, może mu się uda poprawić cię. Wyspowiadasz się przed księdzem ze wszystkich grzechów, a ja cię tu zaraz przygotuję do pierwszej spowiedzi. Przypomnę ci twe grzechy z całego roku, o ile wiem o nich. Ale ty masz ich więcej, wiele więcej. Słuchaj uważnie, a grzechy, o których ja nie wiem, wyznasz sam sercem skruszonem. Uważaj więc!

— Czy żałujesz szczerze, że bez błogosławieństwa kościelnego żyłeś w nieprawym związku z cyganką Pauliną?

— Żałuję, proszę pokornie, żałuję bardzo, bo mnie ocyganiła i chodzi już z innym cyganem. Ale ją Pan Bóg skarze!

— Ach, ty łotrze! Wzywasz Pana Boga, aby drugich karał, a sam się kary Boskiej nie boisz. Czy poprawisz się i będziesz nadal unikał grzesznych związków? Co? Żebyśmy cię puścili, bo o Paulinę już nie dbasz?

— Nie dbam, proszę pokornie. Mam już inną cygankę.

— Ładna poprawa! Znowu grzeszysz.

— Prawda, że nie poprawiłem się. Paulina była ładniejsza, jakby wcale nie była cyganką. Ach, jaka ładna — hu, hu! Ale fałszywa, żeby ją licho! Uciekła mi z Danielem — hu, hu! Poczekaj, Danielu! Poznasz ty ją! Dobrze ci tak, będziesz miał piekło!

— Nie płacz, Janku! Masz rację, to fałszywa dziewczyna, ona i Danielowi ucieknie.

— A tego wieprza, co za niego dwa miesiące siedziałem, to Paulina ukradła z Danielem, a ja — ja, hu, hu siedziałem...

— Nie płacz, Janku! wiem, że to cygański płacz. Mnie nie okłamiesz. Jak tylko zacząłeś odgrzewać starą kradzież, którą już dawno odsiedziałeś, zaraz poznałem, że się chcesz zemścić nad Danielem za Paulinę, i że...

— Ii, co jabym się mścił, proszę pokornie, on i tak będzie miał z nią piekło. Ja zawsze prawdę mówię, ja już siedziałem, a teraz oni siedzieć będą.

— Dobrze, dobrze! Gdyby to była prawda, nie siedziałbyś, bo byłbyś winowajców wydał. Zresztą wtedy, kiedy wieprz był ukradziony, Paulina nie chodziła jeszcze z Danielem, tylko z tobą.

— To prawda, proszę pokornie. Ale Daniel był wtedy z nami, kiedyśmy wieprza ukradli.

— Przed chwilką byłeś zupełnie niewinny, a teraz przyznajesz się do kradzieży wieprza tylko dla tego, aby Daniela oskarżyć. Nic to niepomoże. Odsiedziałeś i basta.

— Ja lepszy cygan od niego, ja nie zdradzę. Ale kiedy on mi Paulinę...

— Masz rację, Daniel jest zdrajca, odmówił ci Paulinę, ale tyś mu za to zapłacił. On teraz na prawe ucho nie słyszy i omało oka nie postradał.

— Ja mu jeszcze drugie oko wybiję i lewe ucho urznę.

— Panie pisarzu, zapiszemy to.

— Niech wielmożny pan nic nie pisze. Szkoda papieru. Po co to pisać, jak cygan kocha cygana! Powiedziałem mu „będziesz miał ładną dziewczynę“ i pogłaskałem go po twarzy. Tylko pogłaskałem go — i pocóż pisać! My z Danielem i tak przyjaciele bez papierów i bez pisania, proszę pokornie.

— Przyjaciele! a chcesz mu drugie oko wybić!

— Niechcę, co mi potem! Nawet bym nie potrafił.

— Mówiłeś przecie, że mu drugie oko wybijesz.

— Gdybym wybił jedno, wybiłbym i drugie. Co by nieborak robił z jednem okiem? Proszę pokornie, jeszcze by się ludzie śmieli, że ma tylko jedno.

— Wierzę, więc z miłości chrześcijańskiej wybiłbyś mu drugie. Ale to pierwsze wybiłeś mu nie z miłości chyba... Uderzyłeś go w oko kamieniem.

— Ja? Ja go uderzyłem w oko? Hi, hi! To dopiero cygan, kiedy on z wielmożnych panów żarty sobie robi.

— Milcz! Na jedno ucho nie słyszy, a pod okiem ma siną plamę. Doktór go opatrywał.

— Nie dosłyszy? Gdybym ja mu coś szepnął do ucha, pewnieby usłyszał! To dopiero cygan! Oj, Danielu, gdybyś tu był, powiedziałbym ci...

— Co?

— Że powiem wszystko o tym wieprzu.

— Janku, przestań już raz o tym wieprzu. Pamiętaj, że się gotujesz do spowiedzi, a Pan Bóg przebacza tylko skruszonemu grzesznikowi. Czy ty chcesz i Pana Boga cyganić? Nie wiesz, że jest wszechwiedzącym?

— Proszę pokornie, Pan Bóg wie wszystko i ma lepszą pamięć, niźli głupi cygan. On wie, jak to było z tym wieprzem.

— Milcz! Dość już!

— Daniel ocygani wielmożnych panów, ale Pana Boga w niebie nie. Pan Bóg skarze i ciebie, Paulino, hu, hu!

— Nie drzyj się, Janku! Tu niema ani Daniela, ani Pauliny. Powiedz prawdę, czy darowałbyś Paulinie, gdyby do ciebie wróciła?

— Przecież ją kocham. Moja matka też kochała ojca.

— A kto był twoim ojcem?

— Gdyby matka żyła, to bym się zapytał.

— Kiedy matka twoja umarła?

— Kiedy się urodziłem, już było po niej, proszę pokornie.

— A skąd wiesz, że kochała twego ojca?

— Gdyby go nie kochała, to by mnie nie było na świecie, proszę pokornie. To już tak jest, że cygani się kochają.

— To z tej cygańskiej miłości pobiłeś Daniela i w tydzień później ukradłeś mu buty?

— Danielu, gdybyś tu był, jużby cię wielmożni panowie wsadzili do kozy za to, żeś ich ocyganił.

— Daniel spał w lesie, a tyś się podkradł ku niemu i...

— Och, Danielu! Musisz przysięgać, że widzisz wtedy, kiedy śpisz!

— Janku, nie wymyślaj mu, bo go tu niema. Daniel przysięgać nie potrzebuje, bo ludzie cię widzieli, gdyś z jego butami uciekał. Gonili cię, bo Daniel wołał, aby cię przytrzymać, a tyś buty rzucił.

— To prawda, proszę pokornie. Ale niech tu przyjdzie szewc z Skoczowa; on powie, kto mu ukradł buty na jarmarku.

— Szewc tu już był i to prawda, że mu Daniel na jarmarku skradł buty. A kiedy z butami uciekł i usnął w lesie, a buty leżały przy nim, tyś się podkradł, buty schwyciłeś i uciekałeś. Napróżno się zapierasz, przyznaj się. No, więc wziąłeś buty Danielowi?

— Wziąłem, proszę pokornie. Ja zawszę prawdę mówię, ja sprawiedliwy cygan. Do wszystkiego się przyznam, ale, panie pisarzu, niech mi to cygarko dadzą.

— Poczekaj, aż spiszemy protokół. Panie pisarzu, pisz: przyznał się, że skradł Danielowi buty.

— Tak, to święta prawda, że buty Danielowi wziąłem, ale ich nie ukradłem, ja je odebrałem temu złodziejowi i uciekałem z niemi do Cieszyna, aby je tu w kryminale złożyć i Daniela oskarżyć. Ja, sprawiedliwy cygan, proszę pokornie.

— Tak, tak! Niema sprawiedliwszego od ciebie człowieka. Ale to dziwna rzecz, że butów tu nie przyniosłeś i Daniela nie wydałeś.

— To było tak. Uciekam z lasu z butami i myślę sobie: za dwie godziny będą buty w kancelarji w Cieszynie. Ale Daniel widział, że ja mu buty wziąłem, krzyczał, leciał za mną. Przez las idzie droga, szło dużo ludzi. Więc myślę sobie: po co iść do kancelarji z butami, kiedy Daniel takie głupstwa krzyczy! Mówię więc babie, co szła drogą: Patrzajcie, matka! Te buty ukradł cygan szewcowi ze Skoczowa. Nie dawajcie ich temu cyganowi, co za mną goni, bo to złodziej. Trzeba je oddać panom w Cieszynie, aby tego cygana zamknęli. Tak mówiłem do baby.

— Dobrze, dobrze! Oddałeś babie buty, to prawda. Chłopi schwytali Daniela i oddali go żandarmom, a tyś uciekł. Daniel skradł buty szewcowi, a ty Danielowi. Pięknie się spowiadasz!

— Proszę pokornie, wielmożny panie! Spowiadam się i prawdę mówię, aby się Pan Bóg nie gniewał.

— Ale Pan Bóg gniewa się. Gniewa się, bo kłamiesz, Janku! Chciałeś Danielowi skraść buty, i uciec. Gdyby cię ludzie nie gonili, byłbyś buty sprzedał. Pan Bóg się gniewa i za to, żeś zaraz potem poszedł do Ustronia i tam ukradłeś chłopu konia. Tego się nie zaprzesz, że cię ludzie z koniem przytrzymali.

— Co bym się miał zapierać, proszę pokornie. Przecież się spowiadam. A to wielkie szczęście, że mię ludzie przytrzymali. Pan Bóg wie, co by ze mną ten koń był zrobił!

— A cóż miał ci zrobić?

— To był straszny koń. Nigdy jeszcze takiego konia nie widziałem. Uciekał tak ze mną, że o mało karku nie skręciłem, proszę pokornie.

— Szkoda, żeś nie skręcił, nie trzeba było kraść konia.

— Przecież ja go nie ukradłem, proszę pokornie.

— Rozumiem. To stał się cud i koń ciebie ukradł.

— Oj, że cud, to cud, proszę pokornie. Nikt by nie uwierzył.

— No, więc opowiadaj o tym cudzie.

— Więc, proszę pokornie, oddałem babie buty i uciekałem dalej. Myślałem, że mię Daniel goni jeszcze. Ani się odwróciłem. Leciałem tak pięć godzin aż do samych gór. Nie mogłem już tchu złapać, ale, żeby Danielowi zmylić drogę, zawróciłem i znowu pędziłem pięć godzin aż ku Ustroniu. Była już wtedy noc.

— Dobrze mówisz. Więc uciekałeś dziesięć godzin ze strachu przed Danielem, a przecież wiedziałeś, że go chłopi schwytali. Co otworzysz usta, to kłamiesz.

— Proszę pokornie, przecież Daniel to cygan, więc, myślę sobie, ucieknie chłopom i będzie mię gonił.

— Tak, gonił, potłuczony, z podbitem okiem.

— Ale nogi miał zdrowe, proszę pokornie.

— Dość już! Mów dalej o owym cudzie, tylko nie kłam i opowiadaj krótko.

— Mogę przysiądz, że prawdę mówię, i że już noc była, kiedy przyleciałem pod Ustronie. Myślę sobie: Daniel tam szuka mię w górach, a ja już tutaj! Hi, hi! Ale chciało mi się spać. Miałem położyć się w polu, ale taka była rosa.

— Krócej! Mnie się zdaje, że teraz dopiero chcesz wymyślić ów cud.

— Mogę przysiądz, proszę pokornie, że była rosa. Więc myślę sobie: po co leżeć na rosie; wlażę na drzewo, to mnie i Daniel nie znajdzie.

— Do djabła! Długo jeszcze będziesz opowiadał o rosie i o drzewach? Toć chyba konia na drzewie nie było?

— To prawda, proszę pokornie, że konia na drzewie nie było. Na drzewie ja spałem. Wtem słyszę: tup, tup, tup. Myślę sobie, co to? Oj, to zły znak, myślę, kiedy ziemia jęczy: tup, tup, tup! Zły znak! I znowu słyszę tup, tup, tup!

— Skończysz raz już? Krócej!

— To nie było krótko, długo słychać było: tup, tup, tup! Więc mówię: Panie Boże! ja biedny cygan, a Ty wszechmocny. Już nigdy nic złego nie zrobię! Zmiłuj się nademną. Ale Pan Bóg nie chciał wysłuchać biednego cygana i znów słyszę: tup, tup, tup! Ze strachu spadłem z drzewa na dół. Ale nie spadłem na ziemię.

— Pewnie, że nie na ziemię, bo na trawę.

— O, proszę pokornie, gdyby to była trawa, ale to był koń! Na konia spadłem z drzewa. To koń tak kopytami tłukł: tup, tup, tup! a ja ze strachu spadłem na konia.

— Rzeczywiście, że to cud.

— Oj, cud, proszę pokornie! A koń pędzi ze mną. Krzyczę: koniku drogi, złoty, puść mię! Ale koń nie słuchał, nie chciał mię puścić i pędził dalej. A ja siedzę na koniu i proszę go: koniku drogi, zmiłuj się nademną! koniku złoty, puść mię! A koń tylko ciągle: tup, tup, tup! i uciekał ze mną, że omało karku nie skręciłem. Rozgniewałem się i wołam: Ty gałganie! Tyś djabeł nie koń! Ja ciebie nie chcę, koniu djabelski! Stój, ja cię nie chcę! Ale koń stanąć nie chciał i pędził dalej! Więc krzyczę znowu: Ty koniu przeklęty! Co ja ci zrobiłem, że mię niesiesz do kryminału? Chyba cię pan żandarm podkupił. A koń pędzi dalej. Więc myślę, że chyba Pan Bóg pomoże biednemu cyganowi. Przecież ja katolik, dobrze chrzczony katolik. Więc robię nad koniem znak krzyża i wołam: Jezus, Marja, Józef! To pomogło—koń zaczął iść wolniej. Więc mówię: Panie Boże, Tyś mocny, Tyś djabła ukrócił. Ty wiesz, że ja dobry katolik, i do kościoła chodziłbym, gdybym miał czas. Ty wiesz, że djabeł albo żandarm przysłał tego konia pod drzewo, żebym ja spadł na konia i żeby mnie niewinnie zamknęli w kryminale, że konia ukradłem.

— Tylko koń ukradł ciebie, ty łgarzu cygański!

— Przecież Pan Bóg wie, proszę pokornie, że tak było. I mówię dalej: Panie Boże, Ty wiesz, co biedny cygan wycierpi, bo znasz tych panów w kancelarji. Ty wiesz, że oni nie dadzą wiary cyganowi, tylko żandarmom. Proszę Cię, Panie Boże, pomóż katolikowi, spraw cud, żeby mię żandarm nie spotkał. I już chciałem z konia zeskoczyć, ale Pan Bóg cudu nie zrobił i patrzę, a tu żandarm przy drodze. Koń znowu zaczął uciekać. Więc krzyczę na żandarma: „Panie żandarm, na pomoc! Gwałtu, ratunku! Ten koń nie do piekła zaniesie.“ A koń pędził tak, że żandarm nie mógł zdążyć. Takiego djabelskiego konia jeszcze nie widziałem. To szczęście, że ludzie drogę zastąpili i konia złapali. Niech im Pan Bóg wynagrodzi, że ocalili biednego cygana. Mówię im: „Dobrzy ludzie, gdybym miał pieniądze,

dałbym wam, ale ja biedny cygan.“ Ledwiem to wymówił, a żandarm tuż. Więc mówię: „Znam ja żandarmów! Założę się, że ten żandarm nie uwierzy mi, jak to było.“ I nie uwierzył. Opowiedziałem mu prawdę, jak to było z tem „tup, tup, tup,“ jak się modliłem, ale żandarm mię wcale słuchać nie chciał. Mówię mu: „Panie żandarmie, przecież wołałem na pomoc.“ A żandarm zaczął mię bić. Proszę pokornie, ja biedny cygan.

— Ślicznie, Janku, opowiadasz, ale twój cud to dla mnie nic nowego. Słyszałem już coś podobnego o cyganach.

— To prawda, proszę pokornie, że taki cud to nic nowego. Już mój ojciec opowiadał, że także siedział niewinnie za takiego djabelskiego konia.

— Chyba tobie nie opowiadał, boć przecie ojca swego nie znałeś.

— Prawda, proszę pokornie, ale opowiadał to mojej matce.

— A mówiłeś, że matka twoja umarła zaraz po twojem urodzeniu?

— Oj, szkoda, dobra to była cyganka. Hu, hu, hu! Ale, proszę pokornie, opowiadała to innym cyganom, aby mnie powiedzieli hu, hu, hu!...

— Janku, nie przymuszaj się do płaczu! Wszystko to kłamstwo. Koń został skradziony ze stajni w samo południe, a o pół do pierwszej już cię z koniem schwytano. Mówisz, żeś w nocy spadł z drzewa, a w nocy koń stał jeszcze w stajni. Same cygańskie kłamstwa!

— Nie cyganię, proszę pokornie. Tak się przelękłem tego tupania, że nie pamiętam. Ale to było straszne takie: tup, tup, tup.

— No, dobrze, to rzeczywiście był cud, że u ciebie była noc, kiedy u wszystkich było samo południe. Ale to jeszcze większy cud, że na tym koniu, który uciekał z tobą, była cygańska uzdeczka, skąd ona się tam wzięła?

— Proszę pokornie, wielmożni państwo są edukowane i nie wiedzą, skąd się wzięła cygańska uzdeczka na chłopskim koniu, a ja, biedny cygan, mam wiedzieć?

— Dobrze, dobrze, zapiszemy ten twój cud, a teraz wyjaśnij nam drugi cud. Dlaczego nosisz dwie pary spodni?

— Ja?

— Ty.

— Mam jedną, jedyną, proszę pokornie.

— Masz dwie, wiem o tem!

— Ja prawdę mówię, proszę pokornie! Skąd ja mógłbym mieć dwie pary spodni! Biedny cygan rad, że ma jedną.

— Rozbieraj się!

Cygan spełnił rozkaz.

— A co, proszę pokornie, nie mówiłem? Teraz wielmożni państwo przekonali się, że mam tylko jedne spodnie.

— Prawda, teraz masz tylko jedne. Ale wczoraj, kiedy żandarm przyprowadził cię z koniem, miałeś jeszcze drugie. Gdzie one są? Nie zapieraj się, żandarm dobrze widział, że miałeś pod spodem drugie spodnie.

— To prawda, proszę pokornie.

— Dlaczego odrazu tak nie mówiłeś?

— Nie wiedziałem, proszę pokornie, że wielmożni państwo pytają o wczorajsze spodnie. Dzisiaj mam naprawdę jedne, a wczoraj miałem pod niemi drugie.

— Gdzieżeś podział te wczorajsze?

— Moje były, proszę pokornie.

— Ale komu je oddałeś?

— Ja?

— Ty!

— Ja nic nie dawałem, proszę pokornie!

— Więc gdzież są te wczorajsze?

— Proszę pokornie, skąd ja głupi cygan, mogę wiedzieć, gdzie się podziewają dzisiaj moje wczorajsze spodnie?

— Nie kręć, chłopcze! Pytam się, komu dałeś drugie spodnie, a nie o to, gdzie są twoje spodnie.

— Ja ich nie dałem, proszę pokornie, tylko inny cygan je odniósł. Mówił, że ma dziurawe, a ja mu na to: „ja mam dwie pary i to dobrych.“ On mówi: „cyganisz!“ Ja mówię: „Nie cyganię. Patrz, jakie mam piękne spodnie.“ Popatrzał, powiedział, że prawda i zabrał moje piękne spodnie.

— Oj, chłopcze, chłopcze!

— Czy miałem się z nim bić, proszę pokornie? To chłop, jak dąb, więc się go bałem.

— Jak on się nazywa?

— Nie wiem, proszę pokornie! Nigdy go przedtem nie widziałem, tylko tu w areszcie.

— Pójdziesz ze mną. Pokażę ci wszystkich cyganów, którzy teraz siedzą i wskażesz mi palcem tego, któremu spodnie oddałeś.

— Po co mamy chodzić, proszę pokornie, kiedy ten cygan już rano wyszedł z aresztu?

— Ach, ty łotrze! Teraz rozumiem. Ze stajni, gdzie ukradłeś konia, zabrałeś też parobkowi spodnie. Te spodnie skradzione były by dowodem, że ukradłeś konia. Dla tego podarowałeś skradzione spodnie cyganowi i to takiemu, który rano już wyszedł z aresztu. Pewnie teraz już te spodnie schował dobrze, albo sprzedał.

— Proszę pokornie, te spodnie były sprawiedliwe, niekradzione. Kupiłem je od żyda.

— Od którego żyda?

— Panie Boże miłosierny! Czy biedny cygan może znać wszystkich żydów? Wszak wielmożni państwo też nie znają wszystkich cyganów!

— Nic ci twoje krętactwa nie pomogą! Właśnie dla tego, żeś spodnie oddał drugiemu cyganowi, widzę, żeś je ukradł ze stajni razem z koniem.

— Proszę pokornie, przecież żandarm może tego cygana znaleść, a wtedy parobek z Ustronia powie, czy to jego spodnie.

— Tak, jeżeli cygan ma jeszcze te spodnie. W każdym razie zapiszemy to, że chcesz, aby żandarm poszukał cygana. Zanim go znajdzie, posiedzisz u nas w areszcie.

— Proszę pokornie, niech żandarm już idzie! Tylko zaraz! Ten cygan—to wielki złodziej! Takiego złodzieja jeszcze w tym areszcie nie było! Pan Bóg wie, jakie spodnie może mieć za dwa dni, a ja bym potem niewinnie...

— Tak, mój bracie, niewinnie. Mówiłeś, że cygana tego nie znasz, że go tu w areszcie pierwszy raz widziałeś, a teraz już opowiadasz, że to pierwszy złodziej na cały świat! Panie pisarzu! Poproś pan dozorcy, niech każe zrewidować wszystkich cyganów w areszcie, czy który z nich ma dwie pary spodni.

— Po co to sprawdzać, proszę pokornie, kiedy je cygan już z aresztu wyniósł? To próżna robota!

— Dobrze, dobrze, ale ja ci, chłopcze, nie wierzę, żeś oddał spodnie temu cyganowi, co wyszedł z aresztu. Spodnie znajdą się z pewnością, a tymczasem pogadamy o czemś innem. Ja o tobie, Janku, jeszcze coś wiem.

— Wszak wielmożny pan uczony.

— Kilka tygodni temu dałeś się zamknąć w naszym areszcie pod cudzem nazwiskiem. Mówiłeś dozorcy, że nazywasz się Jan Kalita i że chcesz odsiedzieć karę 24 godzin, na którą skazany został gospodarz Jan Kalita za kradzież siekiery u sąsiada Molina. Chcąc, żeby dozorca uwierzył ci, przyszedłeś w ubraniu Kality. Dozorca uwierzył, widząc ubranie Kality i twoją białą, niecygańską twarz. Tego się nie zaprzesz. Wczoraj stawił się prawdziwy Kalita, by odsiedzieć karę, i tym sposobem wyszło na jaw, że ktoś inny za niego siedział. Dozorca poznał w tobie tego oszusta. Oszukałeś sąd i za to będziesz ukarany.

— Nie oszukałem, proszę pokornie!

— Jak to, nie oszukałeś? Siedziałeś przecież w areszcie, podając się za Kalitę!

— To prawda, że siedziałem za Kalitę, ale sprawiedliwie siedziałem. Tak sprawiedliwie nigdy jeszcze nie siedziałem.

— Ale to oszustwo! Kalita został skazany i on miał siedzieć nie ty!

— Kalita był niewinny, proszę pokornie! On nie ukradł siekiery, tylko ja. Ja prawdę mówię, wielmożni państwo! Kalita nawet nie wiedział, że to ja siekierę ukradłem. Byłby siedział niewinnie.

— Tego już wcale nie rozumiem.

— Kiedy żandarm cygani, wielmożni państwo rozumieją i wierzą. Ale, kiedy biedny cygan mówi prawdę, wielmożni państwo nie wierzą i rozumieć nie chcą.

— Wierzę już wierzę! No, mów, jak to było!

— Tu stoi chałupa Kality, a tu chałupa Molina. Kiedy cygan stoi tu, a tu cyganka, to się kochają, bo są cyganie, a cyganie zawsze się kochają. Ale Kalita i Molina — to nie cyganie, to panowie, mają chałupy, mają krowy, mają świnie,

mają wszystko, ale się nie kochają. Kalita utopiłby Molina w łyżce wody, a Molin zjadłby całego Kalitę. Więc mówię sobie: „Ty, Kalito i ty, Molinie, wy jesteście źli ludzie! Macie chałupy, macie grunt, a ciągle się kłócicie. Ja was za to ukarzę.

— Toś ty surowy, chłopcze!

— Proszę pokornie, kiedy oni tacy nie mądrzy, więc ja ich ukarałem.

— No, jak?

— Przed chałupą Kality leżała siekiera. Nikt mnie nie widział. Wziąłem siekierę i rzuciłem do stodoły Kality. I już zostali ukarani. Jeden drugiego karał. Najprzód się powadzili, potem pobili. Ja siekiery nie chciałem ukraść, tylko ich ukarać. Chłopak Molina znalazł siekierę w stodole u Kality. Molin poszedł do żandarmów, a żandarmi do sądu, do Cieszyna. Słyszę potem, że wielmożni państwo skazali Kalitę na 24 godziny aresztu za tę siekierę. Myślę więc: „Dobrze tak. Teraz już i inni ludzie dostają kary niewinnie.“ Ale potem myślę: „Wielmożni państwo w Cieszynie pomylili się. Osądzili niewinnie Kalitę. To byłby wstyd, gdyby się wielmożni państwo tak mylili. Więc ja muszę państwu pomódz, aby się stało po sprawiedliwości.“ Jestem dobry człowiek i dobry katolik, więc nie chcę, aby człowiek niewinny siedział. Mówię sobie: „Ja, cygan, dostałbym od wielmożnych państwa w Cieszynie za marną siekierkę tydzień, a może nawet miesiąc, a Kalita tylko 24 godziny. Taką sprawiedliwą karę warto odsiedzieć! Gdybym zawsze dostawał takie kary, jak Kalita, to by nie było żal nawet niewinnie siedzieć.

— Nie pleć tyle i kończ już. Ukradłeś Kalicie ubranie, w którem dałeś się zamknąć. Za to będziesz karany.

— Niech mnie Pan Bóg broni! Ja pożyczyłem tylko ubrania.

— Dobrze, dobrze! On był w polu, a ty wszedłeś do izby oknem i skradłeś ubranie.

— Chciałem go prosić, aby mi ubrania pożyczył, ale go w domu nie było. Przecież je dostanie, myślę sobie i poszedłem w jego ubraniu do Cieszyna. W cygańskiem ubraniu byliby mnie nie zamknęli. Nie wierzyliby mi, że to Kalita. Ale Pan Bóg słyszy, że prawdę mówię. A dobrze mi było

siedzieć, takiej czystej izby w domu nie mam. Niech wam Pan Bóg zapłaci! Tutaj dostanę i zupy i chleba i mięsa za darmo. W domu muszę sobie sam usłużyć, a tu mi państwo przynoszą! Teraz już jest dobrze na świecie! Chociaż raz wiem, za co siedzę!

— Ale ubrania Kalicie nie oddałeś!

— Już je mu oddałem, proszę pokornie!

— Nie prawda, nic nie dostał!

— Ale dostanie, coby mi przyszło z jego ubrania! Niech się nie boi, dostanie swoją kapotę i spodnie.

— Mów krótko, gdzieś podział ubranie?

— Mówię cygance: „Te kapotę, spodnie i kamizelkę oddasz gospodarzowi w tej drewnianej chałupie za mostem, tam, gdzie przed laty żandarmi strzelali do Adama Bongelaja. Dasz mu ubranie i powiesz: „Janek Borowski sprawiedliwy cygan. On ukradł siekierę i nie chciał, aby niewinny człowiek siedział za siekierę. Masz tu kapotę, masz tu kamizelkę. Janek ci tego nie ukradł, tylko poszedł w tem ubraniu do aresztu.

— Nie pleć, Janku, nie pleć! Dlaczego mu sam ubrania nie oddałeś?

— Proszę pokornie, ja?

— Tak, ty sam!

— To, prawda, niemiałem wtedy czasu, miałem robotę.

— Jaką robotę i gdzie?

— Już nie pamiętam. Proszę pokornie, on by nawet nie chciał przyjąć ubrania, które cygan miał na sobie.

— Dobrze, dobrze! A jak się nazywa ta cyganka?

— Nie znam jej, proszę pokornie. Ale ona mu ubranie odda, a może już je sprzedała! Jeżeli tak, jeżeli ubrania Kalicie nie odda, to ja jej oko wybiję. Żeby cygana oszukać!

Wszedł dozorca więzienny.

— Dobrze, Janku, dobrze. A czy wiesz, co mi właśnie mówi pan dozorca? Te spodnie, coś je razem z koniem ukradł w Ustroniu, już mamy!

— To bardzo dobrze, proszę pokornie! Ja wiedziałem, że wielmożni państwo znajdą tego cygana. Przecież go dopiero dziś rano wypuścili. To bardzo dobrze, że się ten cygan zna-

lazł. A te spodnie, com je dziś rano oddał, sprawiedliwie kupiłem od żyda.

— Dobrze, Janku, kręcisz, ale mnie nie okłamiesz. Cygana, który dziś wyszedł z aresztu, wcale nawet szukać nie kazałem. Tyś mu spodni wcale nie oddał i naprożno byśmy ich u niego szukali. Dałeś je w areszcie komu innemu. Nie kręć głową i powiedz prawdę. Dałeś spodnie Danielowi?

— Ja?

— Tak, ty!

— Nawet nie wiedziałem, proszę pokornie, że tu Daniel siedzi. Ja bym miał dać spodnie Danielowi, temu łajdakowi, co mi Paulinę odmówił? Temu nawet wielmożni państwo nie uwierzą. A za co on siedzi, proszę pokornie?

— Nie udawaj! Dobrześ to sobie ułożył, ale ci się nie udało. U Daniela znaleziono spodnie parobka z Ustronia.

— Ja też myślałem, że to Daniel ukradł i konia i spodnie, i że koń mu uciekł i przyszedł pod to drzewo, na którem ja spałem. Teraz państwo widzą, że wszystko prawda, co ja mówiłem. Już wielmożni państwo widzą! Oj, Danielu, Danielu! Ile ty teraz lat dostaniesz i będziesz siedział sprawiedliwie, boś ty wielki złodziej, proszę pokornie, straszny złodziej!

— A ty jeszcze większy! Słuchaj tylko, co mi pan dozorca powiedział. Daniela z Pauliną przyprowadzili wczoraj z pod Frydka, zatem nie z tej strony, gdzie leży Ustronie. Daniel skradł pod Frydkiem coś innego, niż konia i spodnie i wcale w Ustroniu nie był. Tyś jednak chciał rzucić na niego podejrzenie, że on skradł konia i dla tego oddałeś mu spodnie. Widzieli to dwaj strażnicy, naprożno zatem wykręcasz się. Teraz się nam nie wymkniesz. Skłamałeś, żeś oddał spodnie cyganowi, wypuszczonemu dzisiaj z aresztu, abyśmy ci uwierzyli, żeś miał inne spodnie, nie parobka z Ustronia i abyśmy o kradzież tę posądzali Daniela, którego nienawidzisz za Paulinę. Widzę teraz, że sto lat nie starczyłoby, aby ksiądz mógł zrobić z ciebie dobrego chrześcijanina. Tobie, chłopcze, nic już nie pomoże. Panie pisarzu, pisz pan!

Przełożył Michał R.

WARSZAWA.

Po roku 1815, który w dziejach naszego kraju i jego stolicy tak ważną stanowi datę, Warszawa zabudowywała się mnóstwem pięknych i kosztownych gmachów. Były to przeważnie gmachy rządowe. W tym czasie Kajetan Koźmian, przyszły autor „Stefana Czarnieckiego," spotkawszy się raz ze Staszicem, ubolewać począł gorzko nad tym, jak go nazywał, zbytkiem publicznym.

— Czy wiesz przyjacielu — rzekł — jak wyglądają te wszystkie wspaniałe budowle przy ogólnem ubóstwie miasta i kraju? Oto jak głowa pudrowana przy łachmanach.

Wielki patrjota, który wartość grosza i potrzeby kraju znał lepiej niż ktokolwiek inny, obruszył się na to porównanie.

— Jakto? — energicznie zapytał — alboż nie zgadujesz jak wielka przyszłość czeka Warszawę w tej nowej postaci, którą obecnie przyjęła? Do godnego spełnienia swej przyszłej roli musi być ona zawczasu przygotowana.

Staszic, który nie był bynajmniej „poetą" (stwierdził to dostatecznie swym rymowanym „Rodem ludzkim"), w marzeniach o przyszłości Warszawy sięgał bardzo daleko. Przyszłość nie ze wszystkiem marzenia jego ziściła — wpłynęło wszakże na to wiele okoliczności, przez Staszica nieprzewidzianych.

Dziś, skłonniejsi jesteśmy, niż kiedykolwiek, do podzielania nadziei znakomitego męża; owszem, zdaje nam się nawet, że patrzymy na początek obłóczenia się ich w ciało.

Warszawa w oczach naszych przetwarza się, rozrasta, potężnieje. Wstąpił w nią duch nowoczesności i czyni ją

WIDOK WARSZAWY

NA KOŃCU XVI WIEKU

coraz podobniejszą do wielkich, bogatych, oświeconych stolic Zachodu. Kto wie, jak świetna przyszłość ją czeka!

Już samo geograficzne położenie Warszawy jest godne uwagi. Gdy na czworokącie, zamykającym w sobie mapę Europy, przeprowadzimy dwie przekątne, to Warszawa znajdzie się bardzo blisko punktu ich przecięcia, czyli: prawie w samym środku Europy. Ten sam wynik otrzymamy, nakreśliwszy na mapie Europy dwie linje, przecinające się pod kątem prostym, z których pozioma będzie biegła od Brestu (we Francji, nad oceanem Atlantyckim) przez Warszawę, do rzeki Ural w punkcie, gdzie odgranicza ona Europę od Azji.

Nie przywiązujemy do tego faktu wielkiej wagi i nie chcemy wyprowadzać zeń żadnych wniosków. Cokolwiekbądź, nie może on pozostać bez wpływu na losy miasta.

Już to samo, że Warszawa z małej, rybackiej — jak twierdzi legenda — osady, potrafiła zostać stolicą najpierw prowincji, następnie całego kraju, dowodzi, że posiada w samej sobie trwałe warunki rozwoju. Ale ten rozwój nie może być w żaden sposób nazwany prawidłowym. Nie rozwija się Warszawa stopniowo i systematycznie, ale czyni to raczej skokami gwałtownymi, po których nierzadko i wstecz się cofa.

Prawdopodobnie, zawiązkiem Warszawy był zamek warowny czyli tak zwany „gród“ — jedna z tych drewnianych, dość niedbale skleconych, wałem i palisadą otoczonych warowni, których najskuteczniej broniły przyrodzone warunki miejscowości. Pod skrzydła opiekuńcze warowni śpieszyli okoliczni rolnicy, niepokojeni napadami band najezdczych, głównie Jadźwingów i Litwy. W ten sposób tworzyła się osada, a z osady powstawało powoli miasteczko.

Skupionym na małej przestrzeni rolnikom, którzy przekształcali się nieznacznie w „mieszczan rolnych,“ dostarczał posług i pociech religijnych kapelan zamkowy, książęta bowiem, w Zamku przemieszkujący, mieli własną kaplicę pod wezwaniem ś-go Jana.

Czasu, w którym to wszystko odbyło się, ze ścisłością historyczną oznaczyć niepodobna. Najdawniejszych aktów publicznych Warszawy nie posiadamy. Zarówno początek Zamku, jak osady i jej kościoła parafjalnego, nikną w mroku niepamięci. Nie wiemy nawet, czy Zamek Jazdowski, czyli Ujazdowski był od Warszawskiego wcześniejszy lub późniejszy, choć o Zamku tym już w połowie XIII-go stulecia mamy dokładną wiadomość.

We wspomnianej dacie drewniany dworzec w Jazdowie służył za letnie mieszkanie książętom Mazowieckim. Wniosek stąd prosty, że w innej porze roku książęta przebywali

gdzieindziej. Czy jednak znaczyć to ma, że miejscem ich pobytu był wówczas Zamek Warszawski? Nie mamy na to żadnego dowodu

Mazowsze w owej epoce usiane było gęsto zamkami. Znajdowały się one: w Ciechanowie, Makowie, Różanie, Nurze, Pułtusku, Zakroczymiu, Nowem Mieście, Wiźnie, Wąsoszy — przedewszystkiem zaś w Czersku, dziś zapomnianym i lekceważonym, wówczas jednak górującym pod wielu względami nad Warszawą.

Dawny pałac Mostowskich przy ul. Przejazd.

Cokolwiekbądź, najstarszymi zabytkami, jakie posiada Warszawa, są: Zamek i kościół Ś-go Jana.

Niech jednak nikt, patrząc na dzisiejszą postać tych zabytków, niewyobraża sobie, że ma przed oczyma plastyczny obraz zamierzchłej przeszłości.

Dzisiejszy Zamek jest dość dziwną i dość nieznaczną mieszaniną pewnych pozostałości po Wazach z barokowemi przeróbkami Augusta II-go i francuzczyzną, którą okrasił go tu i owdzie Stanisław August. Co się zaś tyczy kościoła S-go Jana i pewnej ilości dawnych pomników — co wszystko

zresztą nie sięga poza epokę Zygmunta III-go — cała jego, zewnętrzna i wewnętrzna „starożytność“ liczy niewiele więcej nad lat pięćdziesiąt.

Początki Warszawy są niepewne i historycznie niewyraźne. Ale nagle, gdy się tego jak najmniej można było spodziewać, miasteczko, kryjące się dotąd w głębokim cieniu, występuje na widownię i rolę ważną odgrywa.

Staje się to w roku 1339.

Gdy spór polityczny między Kazimierzem Wielkim a Krzyżakami ma być rozstrzygany przez przedstawicieli obu stron, przy współudziale wysłańców papiezkich, na miejsce sądu wybrana zostaje Warszawa. Co dziwniejsze, arbitrowie, z dalekich stron przybyli, wychwalają publicznie nasze miasto, jako porządne i wygodne.

Jest to jeden z owych „skoków,“ którymi Warszawa posuwa się ku przyszłej świetności.

Jeden taki skok podniósł osadę do znaczenia ludnego i zasobnego miasta; drugi uczynił ją stolicą niewielkiej, książęcej posiadłości; trzeci postawił na czele całego, rozległego Mazowsza.

Jako stolica książąt Mazowieckich, Warszawa szybko przychodzi do potęgi i znaczenia. Już to nie jest jakiś zapadły kąt prowincjonalny, od świata odcięty, żyjący życiem odrębnem, maluczkiem, wegetacyjnem.

Ściągają tu przedewszystkiem wychodźcy niemieccy, którzy już w drugiem, a najdalej trzeciem pokoleniu, tracą znamiona obcości, stając się rdzennymi obywatelami miasta i kraju. Przynoszą oni ze sobą rzemiosła, prawodawstwo, magistraturę; zaszczepiają wrodzone niemcom cnoty: rządność i pracowitość, wyzbywają się natomiast wrodzonych im wad; zaborczości i pyszałkowatości. Można powiedzieć, że dzieje się z niemi jak z pewnemi rodzajami dziczek, które po przesadzeniu — szlachetnieją.

W chwili, gdy Mazowsze traci byt odrębny, stając się jedynie cząstką organiczną Królestwa, Warszawa widzi się zagrożoną, jeśli nie zupełnym upadkiem, to przynajmniej znacznem cofnięciem się. Ale los sprzyja jej i w tym wypadku, a pozorne nieszczęście na korzyść jej wychodzi.

W cichym, nadwiślańskim grodzie, niezbrodzonemi puszczami okolonym, rozmiłowywa się najpierw Bona, potem dzieci jej: Zygmunt August i Anna Jagiellonka.

Taka miłość opłaca się szczodrze i ludziom i miastu. Warszawa w tej epoce szybko bogaci się, wchodzi w stosunki z krajami obcymi, nabiera zewnętrznej świetności i wewnętrznego hartu. Obok żywiołu niemieckiego, przedostaje

się teraz do miasta żywioł włoski — oba jednak idą mu na pożytek, przemieniając się szybko w jego rodzinę: krew i ciało.

Przez pewien czas, dawna stolica Mazowsza stanowi rodzaj cichego i rozmyślnie trzymanego w cieniu *buen retiro* dla osób najdosto jniejszych. Tego rodzaju zakątki podobne są do owych ulubieńców i ulubienic, które tuczą się łaską pańską, pod warunkiem, że pozostaną na zawsze bezimiennemi i nie pokuszą się nawet o zajęcie stanowiska wydatnego. Nic też nie zapowiadało, by Warszawa, niknąca w wielkim cieniu, rzucanym przez Kraków, mogła wyjść zeń kiedykolwiek. Owszem, można było obawiać się, że z chwilą, gdy się od niej łaska pańska odwróci, straci odrazu swą żywotność i ostatecznie upadnie.

Stało się inaczej.

W ostatnich latach wieku XVI-go, miasto syrenie wykonywa nowy skok na drodze do sławy, potęgi i znaczenia: Zygmunt III czyni Warszawę stolicą kraju całego!

Ten skok, ze wszystkich najpotężniejszy,stawia ją odrazu na szczycie.

Długie rządy Zygmunta III-go nazwać można złotym wiekiem Warszawy. Miasto osiągnęło wówczas najwyższy stopień zamożności, malowniczości, blasku zewnętrznego i politycznej powagi.

Najsłabszego nawet odbicia Warszawy zygmuntowskiej upatrywalibyśmy daremnie w tem, co nas dziś otacza. Jedynie wyobraźnia, studjami historycznemi. i archeologicznemi poparta, zdoła obraz ten odtworzyć. A bogaty to obraz, pełen ruchu, o kolorycie tak gorącym, że chyba tylko pędzel Matejki mógłby był mu podołać...

Już ku końcowi rządów Zygmunta, koloryt ten blednie i szarzeje — jakby przyćmiły go dymy stosów, zatlonych dla odpędzenia zarazy, na pobojowiskach Cecory i Chocimia wylęgłej.

Odtąd stale już on posępnieje — a jeśli chwilowo żywszym zapłonie blaskiem, to chyba tylko od łuny pożarów lub nagłych wytrysków płomieni z paszczy armatniej.

W drugiej połowie rządów Władysława IV-go zalewa Warszawę fala francuzczyzny, w ślad za Marją Ludwiką płynąca. Fala ta przynosi za sobą trochę sztucznej wesołości, w którą miasto przystraja się jak w maskę zapustną.

Maska spada niebawem, a utrzymać jej nie może Jan Kazimierz Waza.

Wojny szwedzkie cofają o całe stulecie rozwój Warszawy. Zniszczona, zubożona, wszystkim nawałnościom odkryta

i nawet z wiary w siebie samą odarta, napróżno stara się podźwignąć i wrócić do poprzedniej świetności.

Imię Szweda jest dla Warszawy przeklęte. Łączy się z niem pamięć najsroższej poniewierki i klęsk niepowetowanych. Raną, którą zadał Gustaw Adolf, a pogłębił Karol XII,

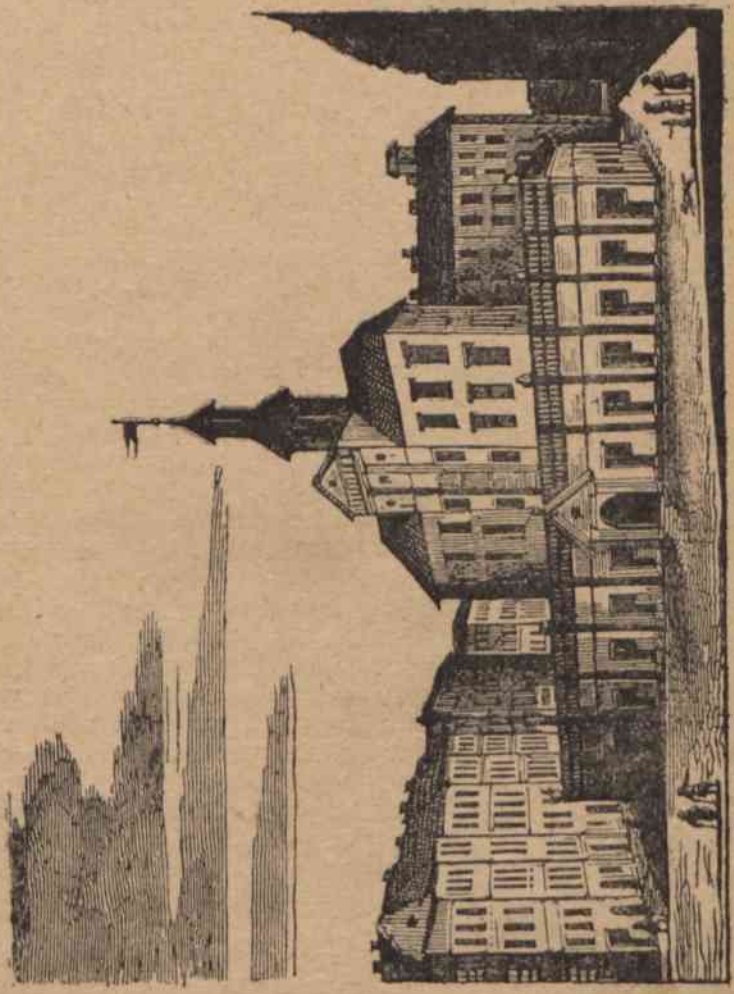

Dawny Ratusz na Starem Mieście.

wypłynęło tyle krwi, że całe wieki spokojnego życia wynagrodzić by tej straty nie mogły. Cóż dopiero, gdy się wspomni, że to życie wcale spokojnem nie było.

Nie opowiadamy tu szczegółowych dziejów miasta, na-

stępnie przeto panowania obchodzą nas o tyle tylko, o ile w dziejach Warszawy zaznaczyły się wpływem donioślejszym. Wpływ taki przyznać musimy epoce Saskiej. Nie przyniosła ona skołatanej nieszczęściami stolicy rzeczywistego ukojenia, ale przynajmniej oszczędziła jej nowych klęsk.

Na nieszczęście, wpływ tej epoki w innym kierunku był jaknajfatalniejszy. Ona to zaraziła nasze miasto tym zabójczym szałem zapustnym, który trapi nas dotąd, pod coraz innemi występując formami.

Za pierwszego a drugiego Sasa, Warszawa miała jakby dwie twarze: jedną dla świata, drugą dla siebie samej i swoich najbliższych. Pierwsza twarz miała wyraz wesoły, pewny siebie, wyzywający, na drugiej malowała się osowiałość, zgryźliwość i głęboka troska o jutro.

Tę sprzeczność pozorów z rzeczywistością spotykało się wówczas na każdym kroku. Istnieją też dwie broszury — obie bezimienne i przez cudzoziemców skreślone, — w których owa dwoistość bardzo wyraźnie się odbiła. Jedna z broszur nosi tytuł: *Varsovie Ridicule*, druga: *Varsovie Vengée*.

Oba pisemka wyszły z pod pióra ludzi, których dziś nazywamy „karjerowiczami," a których cała... sfora uwijała się w pobliżu Augusta Mocnego i jego syna. Jednemu z przybłędów udało się dopaść tłustej pieczeni, drugiemu dostał się gnat ogryziony: stąd optymizm i pochlebne łaszenie się pierwszego; stąd drugiego żółciowość, gniew zjadliwy i satyryczne pociski.

I autor paszkwilu i jego przeciwnik w swych sądach o Warszawie dopuszczają się przesady. Jeden widzi w niej same cienie, drugi same blaski. Jednak ze smutkiem wyznać trzeba, że pierwszy jest bliższy prawdy od drugiego. Wszystko, co pisze on o brudach warszawskich, o Wiśle zanieczyszczonej odpływami, o gnojowej górze, wznoszącej się w sąsiedztwie Zamku, o śmieciach, przez lata całe nie poruszanych, o pozłacanej nędzy mieszkańców, o kłótliwości i burdach szlachty i t. d. jest, niestety, prawdą, historycznie stwierdzoną. Rozjaśniwszy w tym obrazie cokolwiek cieni i usunąwszy płaskie dowcipkowanie, będziemy mieli brzydką, ale wierną fotografię rzeczywistości.

Za Stanisława Augusta Warszawa wzrasta i nabiera zachodniego wykwintu. Daleko jest zresztą od najskromniejszego nawet ideału miasta wedle pojęć dzisiejszych.

Wówczas, jak i dawniej, najbardziej razi w niej bezpośrednie stykanie się bogactwa z nędzą, wytworności z niechlujstwem, złotogłowiów z łachmanami — które po wszystkie czasy tak bardzo zadziwiało cudzoziemców.

O takie porządki miejskie jak: dobre bruki, porządne oświetlenie, obfitość czystej wody, nadzór nad włóczęgami i t. p. wcale się nie kłopotano. Co zrobił w tym kierunku za poprzedniego parowania Franciszek Bieliński, Marszałek W. K., częściowo tylko i niedostatecznie zaspokajało potrzeby miasta, a nie otaczane wystarczającą opieką, szło zwolna w poniewierkę i ruinę.

Trudno orzec napewno, czy katastrofy, które padły na kraj i jego stolicę w ostatnich latach wieku XVIII-go, po-

Plac Zamkowy na początku wieku bieżącego.

wstrzymały lub nawet cofnęły rozwój Warszawy. Rozumie się, że przybrała ona z konieczności postać poważniejszą i skromniejszą; ruch jednak przemysłowy nie ustał ani zmiejszył się, a choć dawna stolica kraju została tylko głównem miastem prowincji, napływ przyjezdnych, których powoływały tu rozliczne sprawy publiczne i prywatne, był tenże sam co dawniej.

Znacznie natomiast osłabła i zbiedniała Warszawa w świetnej z pozoru epoce Księstwa Warszawskiego. Wyniszczały ją najbardziej: przeciągający się stan tymczasowości oraz zarządzone przez Napoleona przygotowania do kampanii 1812 roku.

Ciekawy obraz tych czasów pozostawił nam Pradt w książce, opisującej dzieje jego abasady w Warszawie. Pomawiają niektórzy tego księdza-ministra o safandulstwo; inni czynią go nawet nieszczerym kłamcą — w każdym razie jego krytykę szaleństw napoleońskich i jeremiady nad opłakanym stanem Polski w znacznej mierze usprawiedliwiła przyszłość.

Podczas odwrotu „wielkiej armii“ i bezpośrednio po odwrocie, Warszawa była jednym szpitalem; nigdy też na jej ulicach nie widziano tylu co wówczas kalek i nędzarzy. Po długotrwałej gorączce nastąpił gwałtowny upadek sił. Życie posępniało, horyzont obciągnął się chmurami, pieśni ucichły— wszystko zapowiadać się zdawało upadek.

Ale i teraz rzeczywistość omyliła w zupełności rachuby...

Dzień 12 listópada 1815 roku posiada w dziejach Warszawy znaczenie epokowe. W tym dniu przybywa do naszego miasta po raz pierwszy Cesarz Aleksander I, aby przywrócić mu utraconą godność: stolicy Królestwa.

„Gazeta Warszawska“ w numerze 91, z dnia 14 listopada tegoż roku, tak ten wjazd opisuje:

„Niecierpliwe oczekiwania Narodu naszego spełniły się nakoniec w pamiętnym dla Polaków dniu 12 listopada. Najjaśniejszy Pan, przybywszy do Mokotowa o godzinie 11 zrana, po przebraniu się tam, wsiadł na konia, a mając obok siebie J. C. M. W. Księcia Konstantego, otoczony Wodzami wojsk obojga narodów, ulicą Ujazdowską zbliżył się do Bramy Tryumfalnej, na wstępie miasta wystawionej dla Niego.

Oczekiwały w tem miejscu Monarchę Rada Municypalna, wszystkie Władze departamentowe, sądownicze i administracyjne; stały dalej cechy z rozwiniętemi chorągwiami, przy nich starsi Izraelici. Powitał w tem miejscu N. Pana Prezydent miasta i oddał Mu klucze. Dzwony wszystkich kościołów stolicy słyszeć się dały. Zacząwszy od Nowego-Światu aż do dziedzińca Saskiego stały po obu stronach uszykowane wojska, powiewały sztandary nad pułkami Polskiemi. Zajęte ulice ludem, ozdobione makatami, wieńcami laurów i kwiatów domy, otwarte okna napełnione tłumem narodobnej płci żeńskiej, sprawiały wejrzenie wspaniałe i tkliwe.

Widok Monarchy najpiękniejszej postaci, ubiór jego, barwy wojsk Polskich, podniosły serca Polaków do najtkliwszych uczuć. Napełniały powietrze okrzyki żywej radości i wdzięczności. Wśród tych okrzyków, udał się N. Pan na dziedziniec Saski, gdzie wojsko Rosyjskie i Polskie w paradzie przechodziło przed Nim.

Około godziny wpół do pierwszej, w tymże samym orszaku udał się N. Pan przez Krakowskie-Przedmieście do Zam-

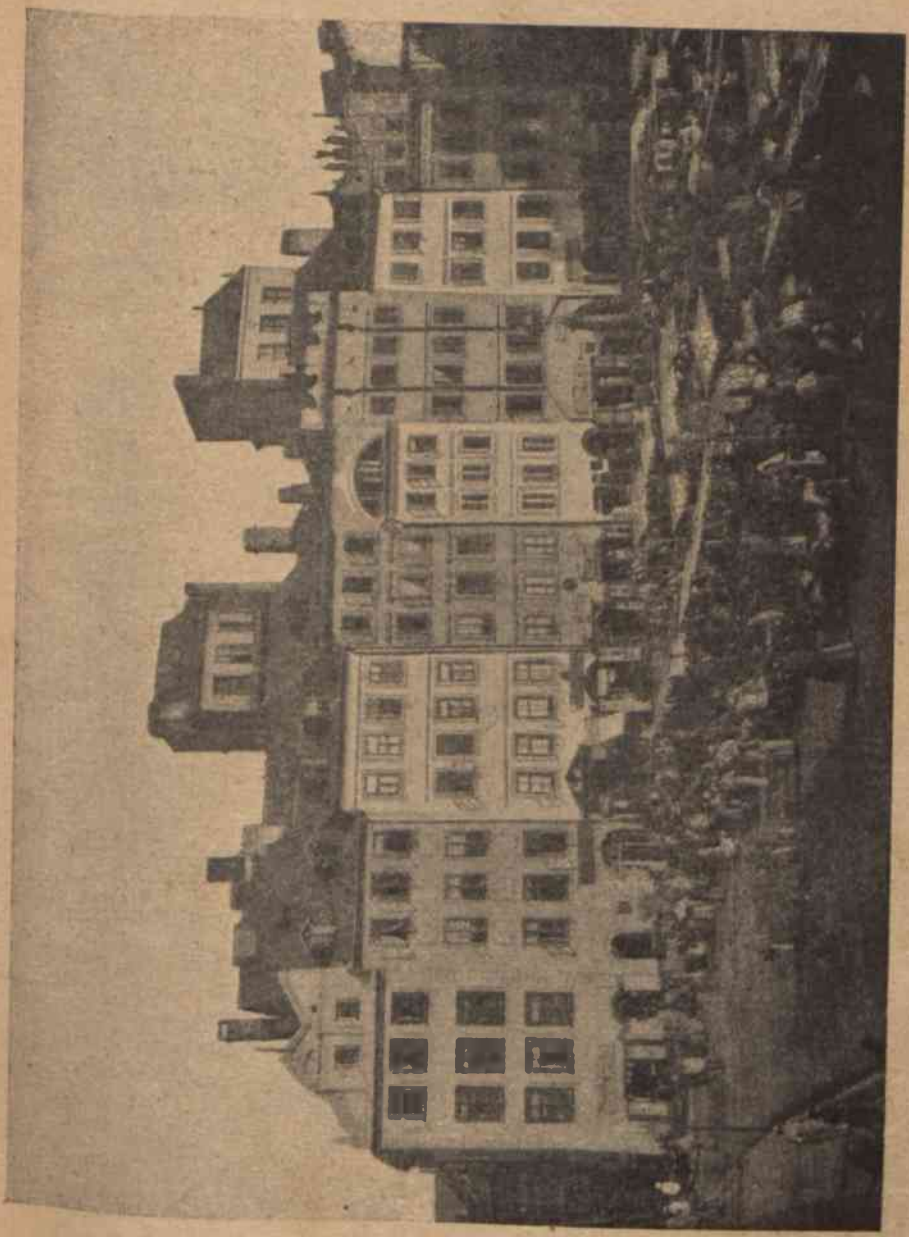

Stare Miasto dzisiejsze.

ku; miejsce to umyślnie zostawione wolne od wojska, tłumniej jeszcze napełnione było od ludzi. Tu Król zastał zebrane wszystkie stany i wielu sędziwych kapłanów, wznoszących ręce swe do nieba i błogosławiących Mu; Korpus Weteranów, którzy zapomnieli kalectwa i blizn swoich, patrząc że mają Króla własnego; młódź płci obojga, uczącą się w szkołach, i tem żywiej oddającą się radości, im dłużej ma nadzieję zostawania pod berłem tak dobrego Monarchy, nakoniec grono opuszczonych sierot, równie jak kraj cały patrzących na Ojca swojego"...

Z rokiem 1815 Warszawa wstępuje w okres stałego rozwoju, który z dwiema znaczniejszemi przerwami trwa do dnia dzisiejszego.

Pobieżny rzut oka na tablice statystyczne wyraźnie to ujawnia.

Ogólna ludność stała Warszawy w r. 1816 wynosiła 81,020. W cztery lata później przenosi już ona 100,000. W roku 1825 Warszawa liczy mieszkańców przeszło 126,000. W następnem pięcioleciu roście tak szybko, że w roku 1830 dosięga 140,000.

Wypadki 1830 i 31 roku — stanowiące jedną ze wspomnianych przez nas przerw — sprowadzają odrazu znaczny spadek cyfr. W roku 1832 Warszawa ma już tylko 123,000 mieszkańców. Do odzyskania cyfry poprzedniej trzeba jej aż ośmiu lat; dopiero bowiem w roku 1840 ludność jej wynosi 139,591 mieszkańców.

Potem przyrost odbywa się z większą jeszcze od poprzedniej szybkością, która trwa aż do nowej przerwy, spowodowanej wypadkami 1861—63 roku.

W roku 1886 Warszawa ma już prawo nazywać się wielkiem, miastem, liczy bowiem 431,864 mieszkańców. W roku 1891 cyfra ta podnosi się do 465,272; w pięć lat później do 553,643.

Dziś ludność Warszawy dosięga 645,000 (w tem prawosławnych 27,344, katolików 367,665, ewangielików 18,296, żydów 231,678).

Wszystkie te cyfry nabiorą większej wyrazistości, gdy obok nich postawimy cyfrę zaludnienia miasta w wiekach poprzednich. Dość będzie przypomnieć, że w roku 1795, a więc zaledwie przed stu laty, Warszawa nie miała więcej nad 67,000 stałych mieszkańców.

Warszawa dzisiejsza mało zachowała znamion starego grodu. Całe śródmieście, wraz z krańcami miasta wygląda zgoła nowocześnie. Zabytków, przypominających kilkowiekowy rodowód miasta, szukać trzeba w dzielnicy staromiej-

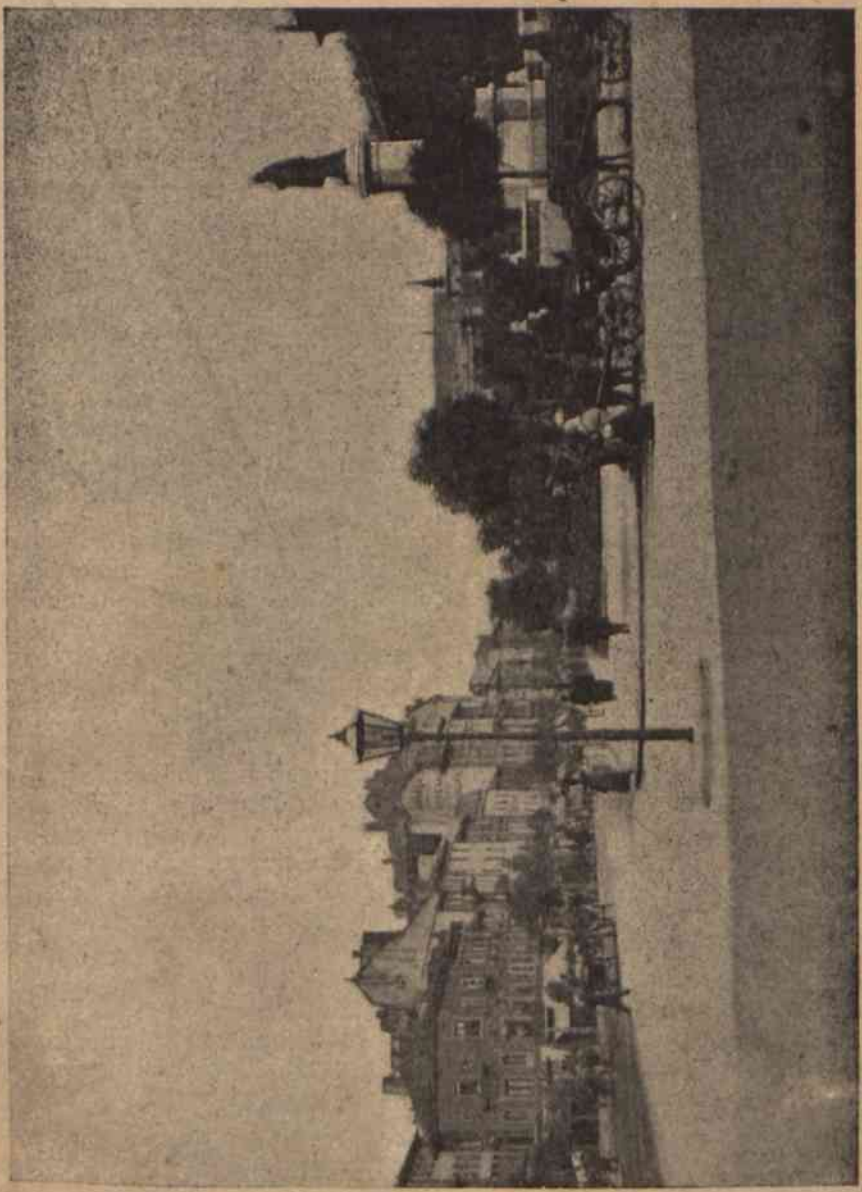

Warszawa teraźniejsza.

skiej, w tem wężowisku wązkich, krętych uliczek, na które Warszawianin z końca wieku XIX-go patrzy z lekceważeniem, choć szanować je powinien jako całej Warszawy kolebkę.

Najpierw ogień, następnie kule nieprzyjacielskie zniszczyły prawie doszczętnie Warszawę z epoki poprzedzającej czasy Zygmunta III-go. Dochowały się jedynie duże ryciny, przedstawiające ogólny widok naszego miasta w środku i przy końcu wieku XVI-go. Jeden z nich zamieszczono przy Konstytucjach Sejmowych; drugi, wcześniejszy a zarazem większy i dokładniejszy—w dziele Brauna „*Theatrum Urbium.*“ Kopia tego ostatniego znajduje się przy niniejszym artykule.

Do najstarszych zabytków Warszawy należą:

1) Szczątki, bardzo już nieliczne, muru obronnego, który ongi opasywał „Starą Warszawę.“ Niszczeją one z każdym rokiem, nie pod działaniem czasu, któremu opierają się wytrwale, lecz w zabiegach niczego nie szanującej spekulacji. Z trudnością już dziś doszukiwać się trzeba tych szczątków w podwórzach domów przy ulicach: Ślepej, Rycerskiej, Podwale, Nowomiejskiej, Krzywe-Koło, Brzozowej i t. d.

2) Kamienica na rogu Rynku Staromiejskiego i Dunaja, nazywana przez lud domem „pod Bliźniętami“. Jest to dawna kamienica Książąt Mazowieckich, zwana przed wiekami „Gródkiem“ albo „Ogródkiem“ i niegdyś służąca głównie za mieszkanie dla dostojnych gości książęcych, których szczupły drewniany zamek nie był w stanie pomieścić. (Kto byłby ciekawy szczegółowych a zajmujących dziejów tego zabytku, znajdzie je w pracy mojej p. t. „Kamienice w Rynku Staromiejskim.“

3) Resztki murów niegdyś kościelnych a ostatecznie fabrycznych w podwórzu jednego z domów przy ulicy Swięto-Jerskiej. Około połowy bieżącego wieku mieściła się tu fabryka wyrobów żelaznych kościoła Ś-go Jerzego. Kościół ten pod nazwą „Ś-go Jerzego Kanoników Regularnych“ należał do najstarszych w Warszawie, sięgając początkiem swym wieku XIV-go.

Dość rozpowszechnione jest mniemanie, jako-by najstarszą ze świątyń warszawskich był kościół Panny Marji na Nowem Mieście. Przedostawało się nawet kilkakrotnie do druku twierdzenie, że kościół ten powstał z przeróbki świątyni pogańskiej. W rzeczywistości, kościół ten, jakkolwiek liczący się do najstarszych, jest młodszy nietylko od kościołów S-go Jana i Ś-go Jerzego, lecz nawet od po-Paulińskiego, po-Augustjańskiego oraz parafialnego na Solcu. Wzniesiono go w wieku XV-tym, prawie współcześnie z kościołem Bernardynów na Przedmieściu krakowskiem.

W panoramie Warszawy od strony Wisły pięknym profilem wykreśla się prostokątna wieża tego kościoła—której, niestety, odebrano właściwy, artystyczny i starożytniczy charakter przez pokrycie jej tynkiem.

Kościół P. M. na Nowem Mieście.

Nie pierwszy to zresztą na naszym gruncie grzech przeciw estetyce i szacunkowi należnemu przeszłości. Obyż był ostatnim!..

Wiktor Gomulicki.

WIZERUNKI LITERACKIE.

Władysław Syrokomla.

(LUDWIK KONDRATOWICZ).

Potęgą geniuszu Syrokomla nie dorównywa wielkim mistrom w dziedzinie polskiej poezji: Mickiewiczowi, Słowackiemu i Krasińskiemu, należy jednak do najwybitniejszych a co ważniejsza do najbardziej rodzinnych, najbliższych sercu naszemu poetów. Twórczość jego poetycka nie wzorowała się na obcych przykładach, nie podlegała prądom zagranicznym, wykwitła na rodzimej glebie i wyłącznie swojskie wyśpiewała melodje. Wieszcz ten pokochał całem sercem przedewszystkiem lud nasz wiejski, poznał na wskroś jego duszę, i z wdzięcznego tego materjału wysnuwał najpiękniejsze, najserdeczniejsze swoje pieśni.

Ludwik Kondratowicz, bardziej znany pod pseudonimem „Władysław Syrokomla", przybranym od nazwiska jego herbu rodowego, urodził się d. 17 września 1822 r., na wsi Smolkowie, w powiecie słuckim, w kraju zwanym Polesiem litewskiem, gdzie ojciec jego był dzierżawcą. „Mało poetyczna z siebie przyroda tych okolic — pisze w życiorysie Syrokomli jeden z bardziej znanych krytyków literackich—niezatarte jednak w umyśle młodego Ludwika zostawiła wspomnienie; kto wie nawet, czy kontemplacyjna jego zdolność nie rozwinęła się właśnie najbardziej w owem jednostajnem zaciszu, które tak uroczo nieraz opisywał. W dziesiątym roku życia ojciec odwiózł go do szkoły powiatowej, utrzymywanej przez ks. Dominikanów w Nieświeżu. Tu położono główne podstawy do znajomości języka łacińskiego, w którym się później dokładnie wykształcił i który następnie stanowić miał o jednym nader ważnym kierunku jego działalności literackiej. Niezamożny stan rodziców nie dozwolił 14 letniemu młodzieńcowi po ukończeniu szkół dominikańskich udać się do wyższego zakładu naukowego, jakkolwiek żądza nauki nawskroś go przejmowała. Ale przeciwności życia zewnętrznego dodawały mu dziwnego hartu, by pomimo nich dopiąć swojego celu. Powróciwszy do domu rodzicielskiego, większą część czasu starał się być ojcu pomocnym w gospodarstwie, a czas ten nie był dla niego straconym, bo zbliżony do ludu i z nim się ciągle stykając, dziwną słodyczą charakteru wniknąwszy do głębi jego serca, nieograniczone posiadał zaufanie tego ludu i sam go też wzajem szczerze i gorąco ukochał. Każdy objaw nieudanej prostoty, rzewnego uczucia, przywiązania zwłaszcza do strzechy rodzinnej i do dawnych obyczajów, chwytał go za duszę i przedstawiał się jemu w uroczych kolorach. Ale dni przepędziwszy na pozostawaniu z ludem wieśniaczym, bezpośredni częstokroć udział w jego trudach biorąc, wieczory, a po części i noce, poświęcał ulubionemu zajęciu książkowemu. Zaczerpnąwszy natchnienie z siebie i z żywego równie jak z martwego otoczenia, pojmował, iż natchnieniu jego potrzeba podstawy wiedzy, na pierwsze swoje próby poetyczne sam był najnieubłagańszym sędzią i zasilał niemniej myśl

ducha, jak i poczucie piękna w formie, wzorami starożytnemi, z których zwłaszcza liryccy rzymscy nieodstępnymi byli jego towarzyszami.“

W r. 1841 Kondratowicz przeniósł się do Nieświeża, gdzie otrzymał posadę w zarządzie dóbr po-radziwiłłowskich. Tutaj powziął myśl przyswojenia mowie ojczystej utworów dawnych poetów polsko-łacińskich, a niezależnie od tego wydał pod tytułem „Wybryki dobrego humoru“, zbiór pieśni miłosnych i wesołych. Ożeniwszy się bardzo młodo, bo już w 1844 r., przyjął ofiarowane sobie pod dość korzystnymi warunkami miejsce prywatne w majątku Załuczu w sąsiedztwie miasteczka Mira, i wkrótce po ślubie przeniósł się w nowe strony. W nowej tej siedzibie napisał pierwsze swoje gawędy: „Błogosławiony Sadok“, „Trzy gwiazdki“ i „Dyfferencję“, które pojawiły się w latach 1845 i 1846 w „Ateneum“ i w „Pamiętniku naukowo-literackim“. „Kraj przysłuchiwał się zdumiony i przyklaskiwał to rzewnym, to dziarskim akcentom wieszcza nadniemeńskiego, ale poklask nie sprawił zawrotu w głowie młodego poety, dla którego poezja była odczutem głęboko kapłaństwem.“

W r. 1849 Syrokomla wydał przekład elegji łacińskich Klemensa Janickiego, a w następnych kilku latach dalszych pięć tomów tych tłumaczeń poetycznych, obejmujących: Jana Kochanowskiego, Sebastjana Klonowicza, Kazimierza Sarbiewskiego i Mikołaja Smoguleckiego. Niezależnie od tego napisał w tym czasie: „Dzieje literatury w Polsce, od pierwiastkowych do naszych czasów.“

Dotknięty stratą ulubionej córki w r. 1852, tak dalece znienawidził pobyt w dość korzystnem mu zkądinąd Załuczu, że na losy niepewne wraz z rodziną przeniósł się do Wilna. Tu o ćwierć mili zaledwie od miasta zadzierżawił małą kolonję, zwaną Borejkowszczyzna, gdzie lat dziewięć swego żywota aż do zgonu przemieszkał. Okres ten w działalności poetycznej Kondratowicza ze wszystkich był najpłodniejszy, nieprzerwanym bowiem ciągiem wysnuwał tu z siebie po kilka corocznie utworów. „Tu opowiadacz dziejowy, badacz ludu i smętnie uczuciowy liryk zrośnięci są dziwnie pięknie w jedną postać wydatną, z każdego niemal wiersza, z każdej

myśli zalatuje nas dziwna woń przyrody, wszędzie widać najszczęśliwiej uchwycony koloryt ludzi i rzeczy ojczystych, ową rzewność, prostotę i dziarskość, któremi charakteryzują się wyborne te typy figur kapotowych i kontuszowych.“ W okresie tym Syrokomla płodził najpiękniejsze swoje utwory, że tylko wymienimy poematy p. t.: „Urodzony Jan Dęboróg“, „Zgon Acerna“, „Janko Cmentarnik“, „Stare wrota“, „Królewscy lutniści“, „Nocleg hetmański“, „Nowe opowiadanie Jana Dęboroga“ i „Lirnik wioskowy“. Pracował także Syrokomla na niwie literatury dramatycznej i napisał w tym kierunku: „Chatkę w lesie“, „Kacpra Karlińskiego“, „Hrabiego na Wątorach“, „Wiejskich polityków“ i „Wyrok Jana Kazimierza“.

Niemoc, trapiąca od dawna Syrokomlę, przybierała coraz groźniejsze rozmiary, aż d. 15 września 1862 r. zgasł lekką śmiercią, do ostatniego niemal tchnienia zachowując całą jasność umysłu. Pomimo gorączkowej twórczości Syrokomla przez całe życie walczył z największemi trudnościami materjalnemi i pozostawił wdowę i troje dzieci w smutnem bardzo położeniu. Społeczeństwo jednak chętnem sercem przyznało się do przekazanej sobie spuścizny; otworzono składki na zakupienie skromnego majątku ziemskiego dla pozostałej rodziny i na zbiorowe wydanie dzieł poety.

SPOCZYNEK.

Patrz na źródło wody świeżej:
To się w wązki strumień ściska,
Pnie się w górę, z góry tryska,
I spienione dalej bieży.

Wirem kręci się, to wzdyma—
To się kamień podmyć sili.
Czysty potok nigdy nie ma
Odpoczynku ani chwili.

Patrz, w spoczynku woda zgniła,
Jak zabójczą parę zionie:
Pleśń zielona ją pokryła,
A robactwo karmi w łonie.

Myśli ludzka!—twa otucha
Naprzód, naprzód płynąć wiecznie!
Swiętem życiem wrzeć koniecznie,
Bo spoczynek—to śmierć ducha.

Bo gdy praca cię unuży,
Już zgnilizna brzydka wpadnie,
Już robactwo cię owładnie,
Uśniesz—nakształt wód w kałuży.

Wład. Syrokomla.

Z DZIEDZINY NAUKI.

W poszukiwaniu Andrée'go.

Przed dwoma przeszło laty Andrée puścił się na śmiałą wyprawę, z której, niestety, jak sądzić można, nie powróci. Jaki los spotkał zuchwałych żeglarzy nadpowietrznych wśród strasznych pustkowi podbiegunowych? Na jakie nie gościnne wybrzeża wiatr ich zapędził? Ku jakim stronom uniosły ich kry lodowe po opadnięciu balonu? Czy szczupłe zapasy, zabrane na łodziach, starczyły im na pożywienie do chwili, w której, dostawszy się na ląd, mogli karmić się upolowaną zwierzyną, póki z wycieńczenia, zimna i trudów nie zaczęli kolejno wymierać?

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa okolice podbiegunowe były widownią przerażającej katastrofy, mającej na zawsze pozostać tajemnicą.

Od 11 lipca 1897 r., to jest od pamiętnego dnia wypuszczenia balonu, o śmiałych Szwedach dwa razy tylko doszły nas wieści. Przed wieloma miesiącami na morzu Islandzkiem znaleziono puszkę, zrzuconą zapewne z napowietrznego statku, a zawierającą treściwe sprawozdanie Andrée'go. W tym dokumencie, pisanym 8 godzin po odjeździe, donosił on, że znajdował się w owej chwili o 220 kilometrów na północ od Spitzbergu. Druga wiadomość, przyniesiona przez wędrownego gołębia, wysłaną była z balonu 36 godzin po pierwszej.

Zatem d. 13 lipca 1897 r. statek napowietrzny znajdował się w tej samej niemal odległości od bieguna, z małą tylko różnicą kierunku ku zachodowi, co zrzucona poprzednio puszka. Nieprawdopodobieństwo, aby balon przez 36 go-

dzin czasu przebiegł tylko tak nieznaczną przestrzeń, nasuwa wniosek: wciągu doby z 11 na 12 lipca Andrée i jego towarzysze, posunąwszy się w podróży swojej znacznie ku północy, mogli być już w sąsiedztwie bieguna, gdy prąd przeciwnego wiatru pchnął ich z powrotem ku południowi. W każdym razie jest niezawodnym faktem, że w chwili wypuszczania wędrownego gołębia balon szybował nie w północnym, ale we wschodnim kierunku, wskutek czego można było spodziewać się, że spadnie w Syberji lub też na ziemi Franciszka Józefa.

W tamtych właśnie stronach zimowała w r. 1897 angielska wyprawa Jackson'a, która poprzedniego roku zabrała szczęśliwie Nansen'a i jego towarzysza. Przypuszczano tedy, że gdyby Andrée znajdował się w tych okolicach, mógłby był dostać się do stacji i połączyć z Anglikami.

Dwie zimy, r. 1897 i 1898, minęły bez wieści o śmiałych podróżnikach. Wobec złowrogiego milczenia, będącego zapowiedzią katastrofy, Szwedzi nie ociągali się dłużej z wysłaniem dwóch wypraw ratunkowych... Misjonarze, udający się do Spitzbergu, mieli zlecone sobie dokładne zwiedzenie wschodniej części archipelagu. Stadling zaś, ten sam, który gazem wypełniał balon podróżnych, wysłany został do Syberji na poszukiwanie dzielnych współrodaków w bezludnych obszarach, ciągnących się wzdłuż oceanu Lodowatego, między Leną a Jenisejem.

Sprawozdanie z podróży Stadling'a, ogłoszone „w Dzienniku Towarzystwa Geograficznego“ w Sztokholmie, przekonywa, z jaką sumiennością spełnił powierzoną sobie misję; żadne trudy nie osłabiały jego odwagi, żadne niebezpieczeństwo nie powstrzymywało jego gorliwości. Wyjechawszy ze Szwecji w końcu sierpnia, Stadling pięć tygodni później był już nad brzegami Leny, rzeki przeszło 6,000 wiorst długiej, wypływającej z gór bajkalskich, które stopniem szerokości geograficznej odpowiadają Szwecji południowej.

Całej Syberji nie należy wyobrażać sobie jako kraju nieurodzajnego, pokrytego wiecznie śniegiem i lodem; na bujną zielenią umajonych brzegach Leny ciągną się ciemne lasy północy, t. z. *Tajga*, ojczyzna zwierząt o puszystem futrze. Od czasu do czasu spotykać można małe wioski, zamieszkane przez myśliwych i rybaków; na dziewiczych łąkach pasą się stada bydła, a dokoła panuje cichość i ten nadnaturalny spokój jasnych nocy polarnych.

Po długiej żegludze Stadling przybył do Bulum, wioski położonej w delcie Leny, a będącej punktem handlowym, najdalej w Syberji ku północy położonym. Tu mieszkańcy okrę-

gu, przewyższającego obszarem całą Francję, schodzą się dla wymiany produktów łowiectwa i rybołóstwa na niezbędne im wyroby rękodzielnicze. Była to więc dobrze obrana miejscowość do ściągania wiadomości. Gdyby balon Andrée'go spadł na wybrzeżach Oceanu, nie mógł by ujść uwagi krajowców, snujących się po tamtych przestrzeniach, i byliby o tem zjawisku nadzwyczajnem opowiadali na jarmarku w Bulum.

Od nich też Szwedzi dowiadywali się szczegółów o wyspach Nowej-Syberji. Archipelag ten położony na północy przy ujściu Leny, nawiedzany bywa przez handlarzy, poszukujących przedpotopowej kości słoniowej.

W tych dalekich podbiegunowych stronach przed wiekami przebywały mamuty, olbrzymi gatunek słoni, pokrytych gęstą, kudłatą szerścią, z kłami niezmiernej wielkości. Podobny rodzaj zwierząt spotykano również dawniej w krajach strefy umiarkowanej.

Lubo mamuty znikły już z powierzchni globu ziemskiego, ciało ich w zimnym gruncie Syberji przechowało się jakby zakonserwowane w lodowni, i od czasu do czasu odkopują nieuszkodzone szczątki tych przedpotopowych słoni; skóra ich pokryta szerścią, a mięso tak świeże, iż psy tamtejsze wydzierają je sobie jak największy przysmak. W północnej Azji odnajdują często kły owych mamutów, ale nigdzie w takiej obfitości jak na wyspach syberyjskich. Krajowcy, trudniący się ich zbieraniem, z wiosną przepływają na krach lodowych odnogi morskie, dzielące archipelag od stałego lądu.

Przybywszy do Bulum, Stadling badać zaczął tamtejszych mieszkańców; wszyscy wiedzieli już o podróży Andrée'go, powiadomieni byli o wypuszczeniu balonu i możności ukazania się jego na północy Syberji. Badania jednak Szwedów nie odniosły pożądanego skutku; krajowcy ani na lądzie ani na wyspach nie zauważyli żadnego śladu pobytu Andrée'go.

Niezrażeni tem niepowodzeniem, rodacy nadpowietrznego żeglarza postanowili czynić dalsze poszukiwania na ogromnych obszarach, ciągnących się od ujścia Leny do Jeniseju.

Wypadało jednak czekać nadejścia zimy, latem bowiem niepodobna przebywać przestrzeni bagnistych, gdzie nieświadomy zwłaszcza podróżnik na każdym kroku naraża się na ugrzęźnięcie w głębokich trzęsawiskach; komunikacja o tej porze roku tem więcej utrudniona, że dróg bitych tam nie znają, a krajowcy nie posiadają koni. W zimie, gdy śnieg grubo pokryje i wygładzi nierówności zamarzłego gruntu, na sankach, zaprzężonych w psy lub renifery, jedzie się szybko po owych śnieżnych pustyniach.

Dnia 17 września Stadling w towarzystwie Norwegczyka, osiadłego w Bulum, puścił się w drogę, dobrawszy za przewodników kilku strzelców jakuckich. Orszak ruszył w dół Leny, ku morzu. Niebawem, jako dowód niebezpieczeństwa,

Tu w październiku 1882 roku, dwunastu ludzi z załogi okrętu „Jeannette", zginęło z głodu i z zimna.

grożącego nawiedzającym te strefy złowrogie, ujrzeli podróżni kopczyk mogilny z krzyżem na wierzchu.

Tutaj w październiku 1882 r. dwunastu ludzi załogi okrętu „Jeannette," uratowawszy się ze statku zatopio-

nego przez lodowce, po straszliwych trudach dostali się na wybrzeże Syberii... zginęli kolejno jeden po drugim z głodu i zimna. Ta pełna grozy tragedja, rozegrana w podbiegunowych okolicach, tem większy budzi niepokój o los Andrée'go i jego towarzyszy.

W owych stronach lato trwa zaledwie dwa miesiące; wiosna i jesień nie istnieją wcale. Nad brzegiem Oceanu Lodowatego podróżni w d. 31 lipca mieli 29 stopni ciepła w cieniu, a trzy tygodnie później pierwszy śnieg padać zaczął. W połowie września Stadling i jego towarzysze doświadczali silnego mrozu, pod koniec zaś miesiąca płynące kry na odnodze morskiej przy ujściu Leny wstrzymały wyprawę. Siedmnaście dni czekać byli zmuszeni na wzmocnienie się lodu, po którym dalszą drogę przebyć mieli. Odbywali ją na saneczkach, ciągnionych przez psy. Zwierzęta te, wytrwałe na trud i zimno, długą przestrzeń przebiegać mogą szybko. Z pozoru podobne do wilków, nie szczekają, lecz wyją przeraźliwie. Trudnem zadaniem jest utrzymać je w karności; gdy zwęszą zwierzynę, pędzą za nią zapamiętale, dla wstrzymania szalonego ich biegu woźnica zasadza w ziemię oszczep w poprzek sanek, czego następstwem bywa często rozbicie się owych sanek w kawałki.

W dalszym ciągu drogi karawana szwedzka używała za uprząż reniferów i z pomocą tych zwierząt przebywała 100 wiorst dziennie.

Ciężka była to podróż; w połowie października zimno dochodziło już od 15 do 25°, a z dniem każdym termometr obniżał się coraz więcej. Kraj, ogołocony z drzew, przedstawiał smutny obraz pustyni lodowej. Posuwając się wzdłuż wielkich rzek Kanady lub Syberji ku Oceanowi Lodowatemu, lasy stają się coraz rzadsze, drzewa przybierają karłowate kształty, wreszcie nikną ślady roślinności, a w jej miejsce występuje *tundra*, owa Sahara północy.

Czem żywić się w takim kraju? O produkta myśliwstwa trudno, gdyż z nadejściem zimy zwierzęta wynoszą się ku południowi, przytem niepodobna zaopatrywać się w zwierzynę przy pospiesznej jeździe 100 wiorst dziennie. Przewożenie większych zapasów konserw byłoby kosztowne, a poczęści niemożliwe, podróżni zatem poprzestawać musieli na zamrożonem mleku reniferów, które, krając nożem, jedli po kawałku dla zaspokojenia głodu.

Liczniej spotykanym krajowcom nad brzegiem Katangi Stadling zalecał śledzenie pobytu Europejczyków w okolicach nad morzem Lodowatem i donoszenie o tem władzom rządowym rosyjskim za przyrzeczoną nagrodę. Dla dokładniej-

szego wytłomaczenia tym ludziom, o co chodzi, Szwed puścił im mały balonik z pęcherza wołowego, co wywołało radość ogólną.

Przestrzeń kilku tysięcy wiorst dzieli dolinę Katangi od Jeniseju. Na tej przestrzeni Stadling zwiedzał wszystkie osady w pobliżu obranej drogi, wszędzie zadając te same pytania i udzielając tych samych objaśnień. Konferencje odbywały się zazwyczaj pod gołem niebem przy zimnie, dochodzącem od 20 do 40°,od którego nocą, zabezpieczali się podróżni futrami. Czasami tylko mogli oni wypocząć chwilowo w nędznych szałasach, wznoszonych przez krajowców z nadejściem zimy nad brzegami lasów.

Po długich tygodniach trudów i niewygód wyprawa Stadlinga dosięgła wybrzeży Jeniseju w Dudinskoje, a ztamtąd powróciła do Syberji środkowej, nie natrafiwszy nigdzie na najmniejszy ślad balonu.

Podczas gdy Stadling zwiedzał bezskutecznie północną Syberję, poszukiwania, czynione pod przewodnictwem Dr. Nathorst'a w Spitzbergu dla odszukania zaginionych żeglarzy nadpowietrznych, nie wydały również pomyślnych rezultatów.

. . . . . .

Niespodziewanie, na początku roku zeszłego dzienniki rozniosły wiadomość, że pewien strzelec syberyjski miał widzieć szczątki balonu, a tuż obok nich trzy trupy. Ogłoszono nazwisko człowieka, który, zrobiwszy to ciekawe odkrycie, podawał szczegóły o rozbitej łodzi i leżących dokoła niej różnego rodzaju narzędziach. Wskutek tych doniesień nie wątpiono, że były to trupy Andrée'go i jego dwóch towarzyszy. Postanowiono zatem w Szwecji wysłać do Azji północnej nową wyprawę, mającą fakt sprawdzić na miejscu i zebrać o wypadku dokładniejsze wiadomości. Misję tę powierzono Martinowi, urzędnikowi w Muzeum narodowem w Sztokholmie. Dnia 15 marca r. z. Martin wyjechał z kraju, a dwa tygodnie później był już w Tomsku. Tego samego dnia, gdy stanął w stolicy Syberji zachodniej, szczęśliwy traf zrządził, że spotkał tam owego myśliwego nazwiskiem Lialin, który doniósł o rzekomem odkryciu. Wobec podróżnika szwedzkiego myśliwy mniej stanowczy był już w swoich zeznaniach; oświadczył, że nie widział osobiście szczątków balonu, ale mówili mu o nich dwaj Tungusi, których nazwiska podawał, wskazując miejsce, gdzie wedle wersji krajowców szczątki owe znajdować się miały. Martin puścił się nanowo w drogę przez ciemne, milczące lasy Syberji, pragnąc co rychlej powziąć wieść o zaginionych rodakach.

Były to pierwsze dni wiosny, pora, w której podróż w tamtych okolicach niesłychanie jest utrudnioną. Topniejące śniegi tworzą grzęskie bagna, grożące utopieniem śmiałemu podróżnikowi. Dzięki jednak swojej energii, Martin przezwyciężył wszystkie przeszkody i dotarł do wioski, sąsiadującej ze wskazanym mu przez Lalina obozowiskiem tunguskiem. Tam jednak z niemałem zdziwieniem posłannik szwedzki dowiedział się, że żaden z mieszkańców okolicznych nie nosi nazwisk, podanych, przez myśliwego. Powiodło się jednak wytrwałemu Szwedowi rozwiązać tajemniczą zagadkę.

W sąsiedztwie mieszkał bogaty właściciel min złota, jemu to, gdy robotnicy natrafili przypadkiem na trzy tropy końskie, przyszła myśl zażartowania z przyjaciół w niedalekim Krasnojarsku. Opowiedział im więc, że odnalazł szczątki balonu Andrée'go oraz trupy trzech żeglarzy. Ową plotkę, puszczoną w świat niby kaczkę dziennikarską, Lialin wydął do rozmiarów słonia; zebrawszy w Krasnojarsku pobieżnie wieści o stronach, których nigdy nie oglądał, chwycił za pióro i do jednej z gazet syberyjskich wystosował artykuł o odnalezionym balonie Andrée'go. W artykule owym pomysłowy autor udzielał szczegółowych opisów kraju, którego nieznał, ofiarując się doprowadzić każdego, ktoby sobie życzył, do miejsca katastrofy. Wiadomość, w ten sposób podana, przesłaną została do Petersburga, ztamtąd rozeszła się po całym świecie, budząc ogólne zainteresowanie, podczas gdy Lialin prawdopodobnie śmiał się w duchu z powodzenia fałszywej wieści i z łatwowierności ludzkiej. Syberyjczycy obdarzeni są bujną wyobraźnią: przed kilku laty głosili o powrocie Nansena i przybyciu jego do bieguna w chwili, gdy dzielny Norwegczyk z towarzyszem swoim zimowali w ziemi Franciszka Józefa; widzieli ich na wschodzie Oceanu lodowatego, kiedy przeciwnie przebywali na zachodzie. Zdawałoby się, że nadmiar zimna oddziaływa na wyobraźnię ludzką w ten sam sposób, co nadmiar gorąca.

Mimo doznanych zawodów, Szwedzi nie utracili nadziei odnalezienia śmiałych swoich ziomków, a przynajmniej dowiedzenia się o losie ich wyprawy; w maju r. z. nowa ekspedycja, prowadzona przez najdoświadczeńszych podróżników z dr. Nathorst'em na czele, wyjechała ze Sztokholmu do Grenlandji.

Andrée po 13 lipca, to jest po dacie ostatniej depeszy, mógł być wiatrem ku tamtym stronom zagnany; balon jego mógł opuścić się na lodowce morza Północnego w pobliżu Spitzbergu lub też żeglarze nadpowietrzni mogli być uniesieni prądem wody, pędzącym kry aż na wybrzeża Grenlandji wschod-

niej. Tam pożywienia dostarczyć im mogły piżmowce, spotykane w owych okolicach. Taką nadzieją łudzili się ich przyjaciele. Wszakże i o wyprawie Nansena w ciągu trzech lat nie odbierano żadnych wieści.

W roku zeszłym wyprawa amerykańska przybyła na południowe wyspy archipelagu. Poszukiwacze mieli zamiar udać się na północ w nadziei, że może spotkają Andrée'go lub przynajmniej odnajdą po nim szczątki, któreby coś powiedziały o ostatnim akcie smutnej tragedji. Ze wszystkich stron jednak doznano zawodu. Wyprawa amerykańska nie natrafiła na najmniejszy ślad Andrée'go.

Przed niedawnym czasem dr. Nathorst powrócił do Sztokholmu po zwiedzeniu północnej strony wschodniej Grenlandji. Trudy jego, niestety, były daremne! Poszukiwania wyprawy duńskiej, więcej ku południowi czynione, również pozostały bezowocnemi.

Świeżo na Ziemi Króla Karola na Spitzbergu odnaleziono puszkę, kształtem podobną do tej, jaką Andrée miał wyrzucić z balonu, gdyby, dotarł w nadpowietrznej podróży do bieguna północnego. Wiadomość o tem wywołała najżywsze zainteresowanie. Cóż, kiedy i ta nadzieja zawiodła! Otworzono puszkę w Sztokholmie i nie znaleziono wewnątrz żadnej depeszy. Zaprzeczają nawet, iżby pochodziła ze stron bieguna polarnego, gdyż prądy morskie, okrążające Ziemię Króla Karola, nie ciągną od północy.

. . . . . .

Poszukiwanie rozbitków nadpowietrznej żeglugi połączone jest z wielkiemi trudnościami. Obszar strefy północnej ogromny, a brak wszelkich wskazówek o kierunku przez balon obranym. Zdaniem Nansena przestrzeń, w której balon mógł opaść, ma w promieniu jakieś 11,000 wiorst zarówno od północy jak od południa tak samo na wschód jak i na zachód. Zagadnienie więc nie łatwe do rozwiązania. Poszukiwanie trzech ludzi w tak rozległych, niezaludnionych obszarach to potrochu to samo, co szukanie szpilki w wiązce siana.

C. R.

Karta nieba na miesiąc Luty.

Widok nieba gwiaździstego pociąga nasz wzrok i zachwyt budzi. Znajomość gwiazdozbiorów wszakże słabo jest rozpowszechniona, zwłaszcza śród mieszkańców miast, dla których sklepienie niebieskie, zasłonięte we wszystkich kierunkach dachami wysokich domów, mniej jest dostępne, aniżeli dla wieśniaków, mogących rozglądać swobodnie horyzont we wszystkich kierunkach.

Zadowolnimy zapewne pragnienie wielu czytelników naszych, podając na wszystkie miesiące roku karty nieba, które ułatwią zapoznanie się z rozkładem gwiazdobiorów i gwiazd najjaśniejszych.

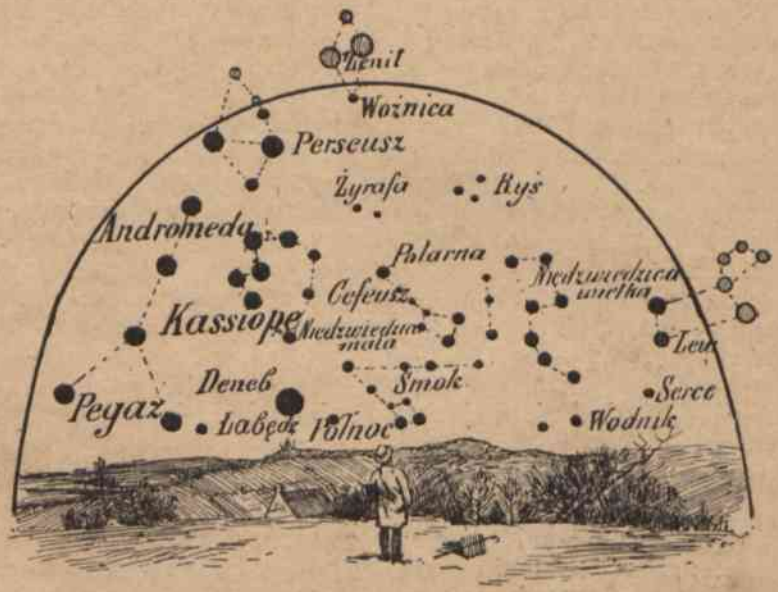

Gwiazdy na stronie północnej nieba.

Najpobieżniejszy nawet obserwator nieba dostrzega, że w godzinach wieczornych inne gwiazdy błyszczą na firmamencie w lecie, aniżeli w zimie, a w ciągu roku widok nieba stopniowo ciągłej ulega zmianie. Pochodzi to z ruchu słońca, które przesuwa się w ciągu roku między gwiazdami na sklepieniu niebieskiem. Nie potrzebujemy zresztą przypominać, że bieg ten słońca jest pozorny tylko, stanowi bowiem jedynie odzwierciadlenie istotnego obiegu ziemi dokoła słońca. Ztąd pochodzi, że w różnych porach roku dostrzegamy słońce w różnych okolicach nieba, na początku wiosny widzimy je w gwiazdozbiorze Ryb, na początku jesieni w gwiazdozbiorze Panny. Jeżeli więc słońce znajduje się w gwia-

zdozbiorze Ryb, gwiazdozbiór ten wschodzi i zachodzi wraz ze słońcem, czyli znajduje się na naszem niebie za dnia i jest dla nas niewidzialny, wraz ze wszystkiemi gwiazdami sąsiedniemi; natomiast w tej porze roku widzimy gwiazdozbiory przeciwległe, mianowicie Pannę i w pobliżu niej rozłożone gwiazdy. W jesieni natomiast słońce wschodzi i zachodzi wraz z gwiazdozbiorem Panny, która tedy z kolei staje się niewidzialną, gdy ukazują się nam gwiazdy poprzednio niewidzialne.

Widok nieba przedstawiamy w dwóch rysunkach,—pierwszy gdy patrzący zwrócony ku północy, drugi — ku południowi.

W lutym, w godzinach wieczornych, w zenicie naszym, czyli w punkcie nieba, tuż nad głową przypadającym, widzimy gwiazdo-

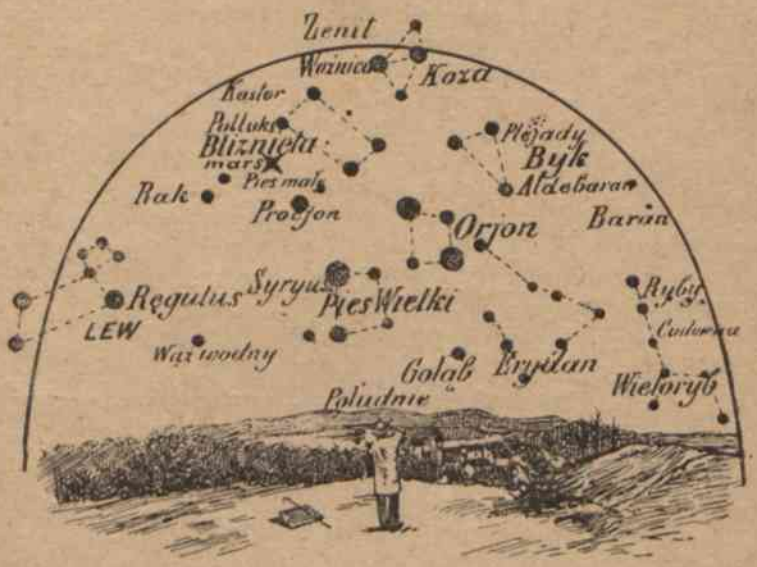

Gwiazdy na stronie południowej nieba.

zbiór *Woźnicy*, którego gwiazdy tworzą jakby czworokąt; najjaśniejsza gwiazda tej konstelacji nazywa się *Koza*. Po stronie lewej rozpościerają się: *Perseusz*, *Kasyopea*, *Andromeda i Pegaz;* ten ostatni gwiazdozbiór przypada w części tylko nad poziomem i dopiero wschodzi.

Zwracając wzrok od zenitu ku poziomowi, napotykamy *Niedźwiedzicę małą* z gwiazdą biegunową, *Smoka*, *Łabędzia* który w części jeszcze jest pod poziomem, na prawo zaś *Niedźwiedzicę wielką* i część konstelacji *Lwa*, którego resztę znajdziemy, odwracając się ku południowi, jak to wskazuje rysunek drogi.

Tu otwiera się nam widok na wspaniałe gwiazdozbiory *Bli-*

źniąt z Kastorem i Poluksem, rozległego *Oriona*, *Psa wielkiego* z Syrjuszem, *Psa małego* z Procjonem, *Byka* z Aldebaranem i *Plejadami*, które lud nasz *Babkami* nazywa. W pobliżu poziomu znajdują się *Ryby* i *Baran*, który reprezentuje na niebie legendę o złotorunnym baranie Fryksa i Helli.

Na kartach naszych nie są wszakże wskazane planety, bowiem one podobnie jak ziemia obiegają dokoła słońca i ztąd zajmują zmienne śród gwiazd położenie. *Merkury* jest w lutym roku bieżącego bardzo zbliżony do słońca, tonie w jego promieniach i ztąd jest niewidzialny. *Wenus* jest teraz gwiazdą wieczorną i świeci wspaniale na południowo zachodniej stronie nieba przez dwie godziny po zachodzie słońca. *Mars* podobnie jak Merkury jest blisko słońca i niewidzialny. *Jowisz* znajduje się w gwiazdozbiorze Niedźwiadka i wschodzi dopiero po północy; widzieć go więc można na wschodniej stronie nieba w godzinach rannych, przed wschodem słońca. *Saturn* znajduje się w gwiazdozbiorze Strzelca, wschodzi jeszcze później aniżeli Jowisz, i ukazuje się na wschodniej stronie nieba dopiero przed brzaskiem rannym.

Radzimy czytelnikom rysunki nasze zachować dopóki nie podamy widoku nieba na Marzec; porównanie obu rysunków wskaże wyraźnie, jakie zmiany zachodzą w widoku nieba gwiaździstego skutkiem tego, że słońce w ciągu lutego przesuwa się z gwiazdozbioru Strzelca do Wodnika.

Zaraźliwość szkarlatyny. Pismo włoskie „Agricultura moderna“ ogłasza, że w chlewie pewnego rolnika okazały się u świni wszystkie oznaki choroby, uznanej za szkarlatynę, na którą jednocześnie chorowały dzieci właściciela. Wyrzut skórny rozpoczął się odłączaniem się naskórka i napuchłością wszystkich czterech kończyn. Zarazę przeniesiono z izby do chlewa przez to, że świniom dano pościółkę ze słomy, na której spały dzieci poprzednio. Przywołany lekarz zrobił następujące doświadczenie. Jedno z dzieci miało właśnie upływ krwi z nosa, wziął tedy nieco krwi, zrobił prosięciu 5 cm. nacięcie na skórze i napuścił w nie owej krwi. Po czterech dniach, pokazało się w tem miejscu zaczerwienienie skóry, w piątym dniu zaczerwieniła się cała skóra, przytem objawiła się gorączka, rozwolnienie i coraz większy zanik sił żywotnych. Dnia szóstego okazało się silne zaognienie pyska i gardła, a dnia siódmego prosię żyć przestało. Przy sekcji znaleziono w kilku miejscach plamy krwiste na skórze. Błona śluzowa pyska i krtani była silnie zaczerwieniona, gruczoły napuchłe, nerki napełnione krwią. Na mocy tych objawów, nabył lekarz przekonania, że choroba szkarlatyny z ludzi przenosi się na zwierzęta. Z tego powodu należy zachować wszelką ostrożność i ludzi chorych na szkarlatynę coprędzej usuwać od zetknięcia z inwentarzem.

Z DZIEDZINY POLITYCZNEJ.

Rok nowy rozpoczął się wśród huku dział i szczęku pałaszy. Wprawdzie wojna toczy się daleko od nas, na przeciwnym krańcu Afryki, wprawdzie zatarg ten z wyjątkiem Anglików nie dotyczy bezpośrednio żadnego innego narodu Europy; niemniej przeto świat cały cywilizowany przypatruje się z wzrastającem zainteresowaniem dramatowi, rozgrywającemu się w Afryce południowej, oczekuje z gorączkową niecierpliwością wiadomości z placu boju. Tłomaczy się to całem szeregiem przyczyn. Najpierw więc ludzkość, w której nie zamarło dotąd wszelkie poczucie słuszności i szlachetności, obdarza łatwo zrozumiałem współczuciem dzielny choć drobny naród, który w obronie swej niezależności prowadzi rozpaczliwą walkę z potężnym, rozporządzającym nieograniczonemi prawie środkami przeciwnikiem. Powtóre w krwawych tych zapasach nie chodzi już Anglji o zwycięstwo nad Boerami, lecz o zachowanie dotychczasowej swej powagi i stanowiska pierwszorzędnego mocarstwa. Wreszcie dość powszechna panuje obawa, aby ogień ten tlejący się gdzieś na krańcu świata, nie zamienił się w pożar, ogarniający obszerniejsze i bliższe nam widnokręgi.

Anglja złożyła w dotychczasowym przebiegu wojny dowody zdumiewającej nieudolności na polu wojskowem. Pół biedy jeszcze, że wyćwiczone jakoby jej armje nie umieją dać sobie rady z pospolitem ruszeniem, z jakiego składają się wojska Boerów. Wchodzi tu w grę nie tylko osobista dzielność przeciwników, niezrównanych jeźdźców i strzelców, ale i niekorzystne dla europejskiego żołnierza warunki wojny w tych okolicach podzwrotnikowych. Daleko gorszy jest

fakt, że, o ile sądzić można z dotychczasowych wypadków generałowie i oficerowie angielscy nie mają najmniejszego wyobrażenia o prowadzeniu wojny z jako tako wyćwiczonym i uzbrojonym przeciwnikiem. Odnoszą oni zwycięstwa nad barbarzyńskiemi lub na pół barbarzyńskiemi szczepami Indji i Afryki środkowej, zawodzą jednak w zupełności, skoro im przychodzi walczyć z wrogiem poważnym. Lecz nie dość na tem. Przebieg wojny w Afryce południowej wykazał kompletne nieledwie bankructwo angielskiej organizacji wojskowej, dowiódł, co zresztą podejrzywano od dość już dawna w kołach kompetentnych, że Anglja przynajmniej na lądzie w ogóle nie jest w stanie prowadzić z jakiemikolwiek widokami zwycięstwa wojny z armją, odpowiadającą wymaganiom nowoczesnej sztuki wojennej. Już dzisiaj, gdy wojna toczy się zaledwie od kilku miesięcy, cała siła wojskowa Anglji jest zdezorganizowana; posiłki wysyłane na plac boju składają się, jeźli nie wyłącznie to przeważnie z niewyćwiczonych ochotników, a kraj macierzysty ogołocony jest z załóg. Na razie broni jeszcze wszechświatowego stanowiska Anglji potężna jej, panująca na wszystkich morzach flota. Na dalszą jednak metę same okręty nie wystarczą do zapewnienia państwu stanowczej przewagi.

Na szczęście dla Anglji, główna jej współzawodniczka, *Francja*, usposobiona jest obecnie nadzwyczaj pokojowo. Naród ten, załatwiwszy się z cechującą go elastycznością z groźnem przesileniem wewnętrznem, w jakie go wtrąciła fatalna sprawa Dreyfusa, i uporawszy się z monarchistami, narodowcami i antisemitami, knującymi, dość niewinne zresztą spiski przeciwko republikańskiemu ustrojowi państwa, zajęty jest obecnie wyłącznie prawie przygotowaniami do zbliżającej się wystawy wszechświatowej. Rzecz prosta, że powodzenie tego dzieła, po którem Francja spodziewała się, po części słusznie, olbrzymich nie tylko materjalnych ale i moralnych korzyści zależeć będzie przedewszystkiem od utrzymania pokoju. Odległy zatarg południowo-afrykański nie da się zbyt groźnie we znaki wystawie, którą jednak naraziła by na szwank poważny wojna europejska, lub wewnętrzne niepokoje we Francji, powstrzymująca napływ gości zagranicznych. Więc też dzisiejsza urzędowa i nieurzędowa Francja wystrzega się jak ognia wszystkiego, coby zamącić mogło wewnętrzny jej lub międzynarodowy pokój. Zapewne, że nie brak w tym kraju i w obecnej chwili materjału palnego, zarzewia groźnych zawikłań. Nienawiść pomiędzy pojedyńczemi stronnictwami politycznemi i warstwami społecznemi nie tylko nie osłabła, lecz owszem przybrała groźniejsze niż kiedykolwiek rozmiary. Wszelkie jednak prawdopo-

dobieństwa zdaje się przemawiać za tem, że obrachunek nastąpi dopiero po wystawie, a podczas tego turnieju międzynarodowego panować będzie milczące zawieszenie broni. Wzgląd też na wystawę powstrzyma Francję od wszelkich awantur na polu polityki zagranicznej, a przedewszystkiem od wzięcia odwetu za porażkę poniesioną od Anglji w sprawie Faszody.

Poważniejsze niebezpieczeństwo niż ze strony Francji zagrażało przez czas jakiś Anglikom ze strony spokrewnionych z nimi, aczkolwiek dość daleko, *Niemców*. Zajęcie bowiem kilku niemieckich statków handlowych przez angielskie okręty wojenne na wodach afrykańskich wywołało w Niemczech, sympatyzujących od samego początku wojny z Boerami, gwałtowne oburzenie. Naród niemiecki, rozwijający się w ostatnich czasach coraz potężniej nie tylko na wojskowem, ale i na przemysłowem i handlowem polu pozbył się dawnej swej potulności, a ufny w swą siłę stał się nadzwyczaj drażliwym. Drażliwość ta ujawniła się w pogróżkach, wystosowanych w następstwie ostatnich wypadków pod adresem Anglii. W stanowczej chwili zwyciężyła jednak rozwaga. Niemcy powiedzieli sobie, że wojna z Anglją nie wiele im przynieść może korzyści, a narazi ich na olbrzymie straty. Potężna bowiem flota angielska w jednej chwili zniszczyć może rozwijający się tak pomyślnie ich handel zamorski i pozbawić ich świeżo nabytych kolonij. Odłożywszy odwet za upokorzenie, jakie ich spotkało ze strony Anglji na później, rząd niemiecki upatruje główne swe zadanie w przeprowadzeniu odpowiedniego powiększenia floty. Tutaj jednak spotyka się z dość energicznym oporem w szerokich warstwach ludności. Nie brak bowiem głosów, dowodzących słusznie, że wieki całe upłyną, zanim Niemcy mierzyć się będą mogły z Anglją na morzu; a tymczasem ludność upada pod wzrastającemi stale ciężarami wojskowemi. Ponieważ jednak rząd niemiecki w sprawach, dotyczących obrony kraju, nie zwykł się liczyć zbyt skrupulatnie z opinją reprezentacji narodu, przeto, w razie odrzucenia przez parlament projektu powiększenie floty, przygotować się wypada na poważny zatarg pomiędzy rzędem a ciałem prawodawczem. Oczywiście jak zawsze dotychczas, tak i tym razem rząd weźmie górę nad opozycją.

Inaczej dzieje się w *Austrji*, gdzie w ostatnich czasach rząd kapituluje nie tylko przed większością ale i przed mniejszością parlamentarną, byle by ta mniejszość rozporządzała odpowiednią dawką bezwzględności i bezczelności. W państwie tem spór, srożący się coraz groźniej pomiędzy pojedyńczemi narodowościami, a zwłaszcza pomiędzy Niem-

cami i Czechami, od dłuższego już czasu obezwładnia całą maszynerję państwową, uniemożliwia wszelkie rządy prawidłowe. Zmieniają się co chwila gabinety, a żadnemu z nich nie udaje się wyciągnąć z błota wozu państwowego i zamęt wewnętrzny zamiast się zmiejszyć, przybiera rozmiary coraz bardziej niepokojące. W rzeczy też samej nadzwyczaj trudna jest droga wyjścia. Każde bowiem ustępstwo na rzecz Niemców stanowi krzywdę dla Czechów i na odwrót. Wydane przez ówczesnego prezesa gabinetu hr. Badeniego rozporządzenia, przyznająca Czechom równouprawnienie językowe, wywołały gwałtowną opozycję i tamującą wszelką pracę prawodawczą obstrukcję ze strony Niemców; świeże zaś zniesienie tych rozporządzeń spowodowało nie mniej namiętny opór Czechów. Sprzyjający Czechom hr. Thun ustąpić musiał miejsca kokietującemu Niemców hr. Clary'emu, którego znów obaliła opozycja Czechów. Ale i następujący po hr. Clarym bezbarwny dr. Wittek zaledwie kilka tygodni utrzymał się przy władzy i złożył rządy w ręce następcy, którego nie łatwo oczekuje zadanie przywrócenia prawidłowych stosunków parlamentarnych. Wprawdzie na dość częsty, zwłaszcza w ostatnich czasach wypadek, że zawodzi w zupełności pomoc parlamentu, konstytucja austrjacka posiada paragraf 14, czyli przewiduje rządy za pomącą rozporządzeń ministerjalnych. Jest to jednak środek ryzykowny, do którego uciekać się można jedynie w ostatecznej potrzebie. Większość zaś najważniejszych zadań państwowych nie da się w ogóle załatwić bez pomocy parlamentu.

Lepsze cokolwiek stosunki polityczne niż w Austji panują w drugiej połowie monarchji Habsburskiej, na *Węgrzech*. Zapewne, że i parlament węgierski zamienia się aż nadto często w widownię gorszących sporów i scen karczemnych, zapewne że i w budapeszteńskiej Izbie opozycja chwyta się od czasu do czasu nie przebierającej w środkach obstrukcji. Ostatecznie jednak rząd węgierski opiera się na stałej i względnie znacznej bardzo większości parlamentarnej, która mu zapewnia we wszystkich sprawach zasadniczych stanowcze zwycięstwo, gdy rządy austrjackie zmuszone są bezustannie a często bezskutecznie lawirować pomiędzy stronnictwami, walczącemi z sobą na zabój rozporządzającemi mniej więcej równemi siłami.

Jeźli w Austrji sroży się zamęt polityczny, to w sąsiadujących i sprzymierzonych z tem państwem *Włoszech*, ujawnia się coraz groźniejszy zamęt gospodarczy. Wielkopaństwowa polityka, chęć dorównania na polu wojskowem bogatym i zdawien dawna skonsolidowanym mocarstwom, zaprowadziła świeżo sklecone i, biorąc na ogół, ubogie państwo

włoskie nad brzeg materjalnej ruiny. Główne więc zadanie zmieniających się szybko rządów spoczywa w uzdrowieniu opłakanych finansów państwowych w polepszeniu stosunków ekonomicznych kraju. Praca jednak w tym kierunku spotyka się z nieprzezwyciężonym oporem kół górujących w narodzie, pragnących całe brzemię ciężarów państwowych zwalić na barki najuboższych właśnie warstw ludności. Z drugiej zaś strony utrudniają ją bezładne stosunki parlamentarne, walka pojedyńczych stronnictw, uniemożliwiająca wszelką prawidłową działalność prawodawczą. O tyle jednak w ostatnich czasach polepszyło się położenie, że ustała walka gospodarcza z Francją, narażająca półwysep Apeniński na tak dotkliwe straty. I na polu politycznem nastąpiło pomiędzy temi dwoma pobratymcemi, a mimo to nienawidzącemi się przez dłuższy przeciąg czasu narodami pewne zbliżenie.

Zawiodły odzywające się tu i owdzie nadzieje, że *Hiszpanja* utraciwszy w nieszczęśliwej wojnie swe kolonje i pozbywszy się w ten sposób zamorskiego ciężaru, weźmie się energicznie do naprawy rozpaczliwych swych stosunków wewnętrznych. Kraj ten od roku z górą jest widownią bezustannych prawie zamieszek, wybuchających to w tej to w owej jego stronie i przynajmniej na razie nie ma najmniejszych widoków, aby Hiszpanja podniosła się z politycznego i gospodarczego swego upadku. Przeciwnie mnożą się nawet od pewnego czasu oznaki zupełnego rozkładu, występują coraz wyraźniej na jaw dążenia pojedyńczych prowincji do zapewnienia sobie nie tylko gospodarczej ale i politycznej odrębności i samodzielności.

Zresztą i zwycięskiej *Ameryce* wojna nie przyniosła zbyt wielkich korzyści. W wyspach Filipińskich objęła ona po swych przeciwnikach niebezpieczną bardzo spuściznę, pochłaniającą olbrzymie ofiary w krwi i pieniądzach. Niezależnie od tego wojna z Hiszpanją popchnęła Amerykę na ryzykowną wielce i kosztowną drogę wielkoświatowej i zaborczej polityki. Oczywiście, że taka polityka obejść się nie może bez odpowiedniej siły lądowej i morskiej. Zważyć teraz należy, że potężna Rzeczpospolita z tamtej strony Oceanu temu przedewszystkiem zawdzięczała dotychczasową swą przewagę gospodarczą, że wolną była od ciężarów militaryzmu, wyczerpujących mocarstwa europejskie, zmuszone utrzymywać miljonowe armje i liczne okręty wojenne. Obecnie i Ameryka wziąć będzie musiała udział w tym wyścigu zbrojenia się na lądzie i na morzu, co z samej natury rzeczy, osłabi jej siłę produkcyjną i uczyni mniej groźnem dla Europy jej gospodarcze współzawodnictwo.

Wreszcie „chory człowiek na Bosforem“ — tak od pół wieku nazywają *Turcję* — dogorywa w dalszym ciągu lecz umrzeć jakoś nie może. Więcej niż własny, skołatany organizm, utrzymuje go przy życiu współzawodnictwo europejskich jego lekarzy, którzy jednak powoli odcinają mu jeden członek po drugim. W roku zeszłym tak zw. koncert mocarstw europejskich odebrał Turcji, choć nie nominalnie to jednak faktycznie wyspę Kretę; niebawem przyjść może kolej na inną część Otomańskiego państwa.

K. P.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Repertuar pierwszej naszej sceny nie odznaczał się w ostatnich czasach zbyt wielkiem ożywieniem. Wystawiono więc w ubiegłych kilku miesiącach zaledwie cztery nowe sztuki oryginalne w tej liczbie dwa utwory, a mianowicie „Zaczarowane koło“ p. Lucjana Rydla i „Karykatury“ p. Kisielewskiego, nagrodzone na konkursie dramatycznym imienia Ignacego Paderewskiego.

„Zaczarowane koło“ odznaczono pierwszą nagrodą. Do tego odznaczenia skłoniły sędziów konkursowych niewątpliwie literackie zalety utworu. Wartość bowiem dramatyczna, tej baśni, ubranej w szaty sceniczne, a stanowiącej niezręczną, pozbawioną należytej akcji mięszaninę motywów fantastycznych i nadzmysłowych z wypadkami życia rzeczywistego, jest prawie żadna. Razi przytem w „Zaczarowanem kole“ brak wszelkiej głębszej myśli, a co gorsza i niewolnicze miejscami naśladowanie obcych wzorów. Napotykamy więc co chwila w dramacie p. Rydla wspomnienia Słowackiago, Szekspira i Gerhardt'a Hauptmanna. Główną i właściwie jedyną zaletę „Zaczarowanego koła“ stanowi język czysty i piękny i wiersz, odznaczający się tu i owdzie prawdziwie poetyckim polotem.

Daleko wyżej pod względem dramatycznym niż „Zaczarowane koło“ stoją „Karykatury“ p. Kisielewskiego. W utworze tym młody autor dowiódł, że umie nie tylko badać życie i jego objawy, ale co ważniejsza, i nadać wynikom swych badań należyte kształty dramatyczne. Szkoda tylko, że, jak wielu współczesnym, zwłaszcza zagranicznym autorom tak i p. Kisielewskiemu przedewszystkiem ponure strony życia, ujemne objawy natury ludzkiej rzucają się w oczy. Zape-

wne, że doczesna droga żywota nie jest zasłana kwiatami; z drugiej jednak strony nie jerzy się ona do tego stopnia kolcami, jakby to wmówić w nas chcieli niektórzy autorowie, chwytający jakoby życie na gorącym uczynku. Jak wszędzie tak i w życiu ludzkiem gdzie są cienie, tam jest i światło; malowanie więc życia wyłącznie ciemnemi barwami nie zgadza się z prawdą życiową. Niezależnie od tego zważyć należy, że odtwarzanie rzeczywistości nie stanowi wyłącznego zadania sztuki, która winna dbać także, a nawet przedewszystkiem, o piękno. Wyłączne zaś roztaczanie przed oczami widza obrazów nędzy i ohydy ludzkiej grzeszy przeciwko temu drugiemu, głównemu zadaniu sztuki w ogóle, a sztuki dramatycznej w szczególności.

W wyborze więc tematu p. Kisielewski poszedł śladem współczesnych tak zw. naturalistów, którzy w możliwie wiernem odtwarzaniu prawdy upatrują wyłączny cel teatru. Prawda ta ujawnia się jednak naturalistom wyłącznie z wstrętnej strony; wystrzegają się one jak ognia malowania pięknych objawów życia, uczuć podniosłych, ludzi szlachetnych. Lubują się w brzydocie i pospolitości i nie uznają wrażeń, wznoszących duszę człowieka w sferę ideałów. I w obrobieniu „Karykatur“ autor przyswoił sobie metodę szkoły naturalistycznej. Metoda ta zrywa z dotychczasowemi tradycjami sztuki dramatycznej, nie troszczy się o budowę utworu, ani o jego rozwiązanie. Stawia ona przed oczy widza w szeregu, zwykle luźnie tylko powiązanych z sobą obrazów, „szmat życia“, zawsze prawie w pesymistycznem oświetleniu, nie moralizuje ani nie poucza i pozwala widzowi wysnuwać swoje wnioski. Wszelką tendencyjność, wszelki sens moralny wyklucza w zasadzie szkoła naturalistyczna; nie chodzi jej o moralność, tylko o prawdę. Celem wytwarzania silniejszego złudzenia rzeczywistości, sztuka naturalistyczna lekceważy, a niekiedy nawet pomija w zupełności intrygę, stanowiącą dawniej punkt ciężkości utworu scenicznego, a kładzie główny nacisk na dokładny rysunek środowiska, w którem rozgrywa się dramat. Wszystkie te cechy szkoły naturalistycznej spotykamy w „Karykaturach“ p. Kisielewskiego. Cechy te jednak same w sobie nic dowodzą jeszcze niczego. Chodzi wyłącznie o to, co autor z własnej duszy włożył w te czy owe ramy dramatu. Otóż w rysunku tła i charakterystyce figur, p. Kisielewski złożył dowód niewątpliwego talentu i temperamentu dramatycznego. Tło jego obrazu jest ponure, malowane ciemnemi barwami, lecz malowane ręką pewną i silną, postacie jego są pospolite, lecz drgające własnem swem życiem i nie mające nic wspólnego z figurami z tektury, któremi zaludniają swoje utwory przecię-

tni nasi autorowie dramatyczni. Nie ulega kwestji, że młody autor ma przed sobą piękną przyszłość literacką, należałoby życzyć tylko, aby się otrząsł jaknajprędzej z obcych naleciałości, pozbył się manii naśladowania modnych może na razie, lecz szybko przemijających, niezdrowych prądów, nurtujących zagraniczną literaturę.

Około końca roku zeszłego pojawił się na scenie teatru Wielkiego p. t. „Rothhornówna“ niezdarny wielce utwór, sfabrykowany do spółki przez pp. Graybnera i Prażmowskiego, a opiewający smutne dzieje przechrzczonej żydówki, która wyszła za galicyjskiego księcia, szulera i łotra ostatniej próby. W utworze tym, opartym przeważnie na wspomnieniach, oryginalną jest chyba taka gmatwanina filosemickich i antisemickich aluzji i tendencji, że niepodobieństwem jest połapać się, o co właśnie chodzi autorom.

Odrobinę tendencji zawiera także wystawiona przed kilku dniami w teatrze Rozmaitości „Sprawa kobiet“ Michała Bałuckiego. W utworze tym porusza autor, cieszący się wielką i po części zasłużoną popularnością w szerokich kołach naszej publiczności teatralnej, tak żywotną w dzisiejszych czasach kwestję dążenia kobiet do umysłowej i gospodarczej samodzielności. Porusza ją jednak w zwykły swój płytki, a rozwiązuje w mało przekonywający sposób. Chwyta on jedynie śmieszne strony ruchu kobiecego i obiera sobie tak zw. emancypantki za cel swych satyrycznych pocisków. Zgadzamy się chętnie z autorem „Sprawy kobiet“, że większość pań, wypowiadających obecnie nieubłaganą walkę mężczyznom, ani duchowo ani zwłaszcza fizycznie nie sprawia zbyt imponującego wrażenia; sama jednak walka, czyli, wyrażając się ściślej, dążenie kobiet do polepszenia swego losu, opiera się na poważnych podstawach, których nie obalą tanie dowcipy, ani tańsze jeszcze ogólniki wszystkich komedjopisarzów, razem wziętych. Jak wszędzie tak i u nas zwiększa się w zastraszający sposób zastęp kobiet, pozbawionych możności założenia własnej rodziny. Na drwiny więc zakrawa w takich warunkach przeznaczanie kobiecie wyłącznej roli tak zw. kapłanki domowego ogniska. Jak dzisiaj rzeczy stoją, kobieta, chcąc czy nie chcąc, współzawodniczyć musi z mężczyzną na polu pracy.

Pomijając jednak płytkość w pochwyceniu i przeprowadzeniu kwestji „Sprawa kobiet“ odznacza się poważnemi zaletami, interesuje od początku do końca widza, spełnia więc najgłówniejsze właściwie zadanie utworu scenicznego. Głębokość obserwacji Bałucki zastępuje zręczą budowę sztuki, umiejętnem wyzyskiwaniem i stopniowaniem efektów scenicznych i humorem zarówno w djalogu jak i w sytuacjach.

Zjednywa przytem przychylność publiczności utworowi, pogodny jego, ciepły i rodzinny nastrój, odbijającej tak korzystnie od przygnębiającej atmosfery, panującej w utworach współczesnego naturalizmu czy realizmu.

Ze sztuk tłomaczonych, które się w ostatnich czasach pojawiły na naszej scenie zasługuje na omówienie właściwie jeden tylko „Cyrano do Bergerac“ Edmunda Rostanda. Dramat ten romantyczny, zdobywszy sobie rozgłos olbrzymi w swej ojczyźnie, Francji, odbywał następnie, a po części odbywa jeszcze i dzisiaj pochód tryumfalny po scenach całego świata. Powodzenie to jest zasłużone. Jest to bowiem płód niepospolitej miary talentu literackiego i dramatycznego. Co prawda do tego niezwykłego powodzenia przyczynia się i to, że „Cyrano de Bergerac“ jest pierwszym od dłuższego czasu, odznaczającym się poważnemi zaletami artystycznemi utworem scenicznym, który bierze stanowczy rozbrat z panoszącym się do niedawna we wszystkich prawie scenach zwyczajem malowaniem szarej pospolitości życia codziennego, a wznosi widza w sferę ideału. Publiczność więc karmiona do uprzykrzenia ponurą i przygnębiającą realistyczną strawę duchową, powitała z zapałem ten utwór pogodny i słoneczny, przedstawiający ubranych w szaty poezji wielkich ludzi i wielkie czyny. Zapewne, że „Cyrano de Bergerac“ jest dramatem na wskroś francuzkim, zwracającym się przedewszystkiem do uczuć, zwyczajów i obyczajów Francuzów. Stanowi to jednak cechę prawdziwego talentu, że płody jego nie zależą od miejsca i czasu, lecz wszędzie i zawsze wzbudzają podziw i uznanie.

* * *

Teatr Mały czy Nowy, goszczący tej zimy w teatrze Letnim w ogrodzie Saskim, w dalszym ciągu uprawia bezmyślne operetki i bezmyślniejsze jeszcze farsy. Ponieważ zaś jak wszędzie, tak i u nas tego rodzaju utwory cieszą się wielkiem powodzeniem i nie rychło schodzą z afisza, przeto reżyserja łamać sobie nie potrzebuje głowy nad wynajdywaniem nowości, zwłaszcza, że zagraniczna produkcja na tem właśnie polu jest bardzo bogata. W ostatnich więc kilku miesiącach jedna zaledwie nowość pojawiła się na scenie teatru Małego. Jest nią tłomaczona z francuzkiego krotochwila p. t. „Zaza“. Sztuka ta opisująca w części wesołe w części smutne koleje śpiewaczki z „tingel-tanglu“ zgodną z prawdą charaktorystyką działających postaci wznosi się po nad zwykłe, oparte wyłącznie na błażeństwach i nieprawdopodobieństwach farsy, wstrętną jednak atmosferą śro-

dowiska, w którem rozgrywa się akcja, dorównywa co najmniej najjaskrawszym fabrykatom scenicznym, dowożonym do nas z Paryża.

* * *

Od kilku miesięcy czynny jest w Warszawie tak zw. teatr Ludowy. Scena ta, pozostająca pod zarządem kuratorjów trzeźwości, zaspakaja od dawna odczuwaną potrzebę. Zważyć bowiem należy, że od niedawna warszawskie stosunki teatralne były w wysokim stopniu nienormalne. Latem więc, gdy miasto wyludnia się wskutek wyjazdu znacznej liczby swych mieszkańców, dzięki teatrzykom ogródkowym podaż produkcji dramatycznych przewyższa stanowczo popyt. Zimą zaś, czyli w najkorzystniejszym sezonie teatralnym, dają przedstawienia zaledwie trzy sceny. Rzecz jasna, że zwłaszcza w niedziele i święta nie tylko wszystkie miejsca w tych przybytkach sztuki są wyprzedane, ale znaczna liczba osób daremnie dobija się do wyprzedanej kasy teatralnej: Po za tem cena miejsc w tych teatrach jest tak wysoka, że uboższe rodziny odmawiać sobie muszą przyjemności uczęszczania na dawane w nich przedstawienia. Właśnie uboższym tym warstwom ludności teatr Ludowy zapewnia możności przyjemnego i korzystnego spędzenia wieczoru. Ceny miejsc nie przekraczają możności najskromniejszej nawet kieszeni, repertuar zaś zastosowany jest do potrzeb duchowych szerszej publiczności. Dawane więc są wyłącznie sztuki o tendencji moralnej, zapewniające obok rozrywki i pewną naukę, a wyłączone stanowczo wszelkie utwory, spekulujące na niskie instynkty widza. Dzięki inteligentnemu kierownictwu teatru sztuki wystawiane są starannie i wykonywane przyzwoicie. W krótkim też czasie teatr Ludowy zdobył sobie w szerokich warstwach tutejszej ludności niezwykłą popularność, i obszerny maneż przy zbiegu ulic Grzybowskiej i Ciepłej, w którym tymczasowo, aż do wzniesienia specjalnego gmachu teatralnego, odbywają się przedstawienia, zaledwie pomieścić może tłumy widzów. Przeceniać nie należy umoralniającego znaczenia teatru. Nie jest on ani świątynią ani szkołą. Nie mniej przeto zaprzeczyć się nie da, że teatr prowadzony rozumnie i uczciwie wywierać może pewien wpływ pedagogiczny, a o tyle i działać w kierunku moralnym, że powstrzymuje wiele jednostek od szukania wieczorem mniej niewinnych rozrywek. Teatrem zaś takim, zasługującym z wszech miar na uznanie i poparcie jest niewątpliwie utworzony świeżo w Warszawie teatr Ludowy.

Przegląd rolniczy.

„Rolnik trzyma się niewolniczo starej rutyny, nie postępuje naprzód że zdobyczami czasu, i z tego powodu postęp dokonywa się nadzwyczaj powoli w rolnictwie, które przostaje w tyle po za innemi dziedzinami produkcji“. Oto zdanie, wygłaszane często przez ludzi, którzy nigdy nie przypatrywali się bliżej rolnictwu i nie poznali dokładnie jego istoty i właściwości. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości że i w rolnictwie ujawnia się stały postęp, a zwłaszcza w wieku, zbliżającym się obecnie ku swemu kresowi, postęp ten jest większy, niż we wszystkich poprzednich wiekach razem wziętych.

Do niezbyt dawnego czasu panowała w gospodarstwach europejskich znana już starym Rzymianom tak zw. trzypolówka, w której po ugorze następowała ozimina, a po ozimine jarzyna. Hodowla całego szeregu nowych roślin uprawnych nie wpłynęła na zmianę tego systemu. Wszelki bowiem postęp wyłączał brak udoskonalonych narzędzi rolniczych, umożliwiających lepszą uprawę roli, przedewszystkiem zaś brak wszelkich dokładniejszych wiadomości o warunkach żywienia się i rozwoju roślin. Uczeni poświęcali się przez długie wieki rozwiązywaniu wszelkiego rodzaju mniej lub więcej niepraktycznych zagadnień, pozostawiając to, co stanowi podstawę bytu ludzkiego dobrotliwej przyrodzie i doświadczeniu rolnika, pozbawionego wszelkiej sposobności nabycia wiedzy fachowej.

Powoli jednak i rolnictwo zdobywać sobie zaczęło coraz wybitniejsze stanowisko w gospodarstwie krajowem państw europejskich. Złożył się na to cały szereg przyczyn.

Najpierw więc uprawa kartofli, buraków cukrowych i koniczyny wywołała formalną rewolucję w dotychczasowym trybie gospodarczym. Powtóre zdobycze chemii, dokonane we Francji, Anglii i Niemczech w wieku 18, dały rolnictwu naukowę podstawę. Wreszcie zniesienie poddaństwa we wszystkich krajach europejskich, umożliwiło daleko racjonalniejszę uprawę ziemi niż dawniej, gdy ogromną większość ludności rolniczej stanowiły jednostki, pozbawione własnego kawałka ziemi.

Rozumie się samo przez się, że o korzystnym wpływie nauk przyrodniczych na praktykę rolnictwa nie mogło być mowy, dopóki pozostawano w zupełnej ciemnocie co do istoty rzeczy, i sądzono, że siły i substancje dają się wytwarzać za pomocą jakichś sztuk tajemniczych. Tymczasem jednak zarzucono naukę o czterech żywiołach, eksperymenty robienia złota i w wiek kończący się obecnie, wkroczono już ze świadomością, że ciało rośliny składa się przeważnie z węglika, wodoru, tlenu i azotu. Natomiast ziemne składniki rośliny (popioły) uważano w dalszym ciągu za istniejące stale, lecz podrzędne składniki ciała roślinnego. Niektórzy badacze, jak Davy, Lampadiusz, Saussure dowodzili wprawdzie na podstawie starannie przeprowadzonych rozbiorów ziemi i popiołów roślinnych, że ziemne składniki stanowią część pożywienia roślinnego i tem samem są niezbędne dla rozwoju rośliny; nie pojmowano jednak jeszcze wówczas należycie wielkiego znaczenia tego faktu. Saussure wykazał też w r. 1804, że kwas węglany ulega w żywej roślinie rozkładowi, oraz że z jego węglika przy pomocy wody i amoniaku wytwarzają się wszelkie tkanki organiczne. W następstwie tych odkryć, przedstawiano sobie żywienie się roślin w następujący sposób: Roślinom, rosnącym dziko wystarcza zapas kwasu węglanego, dostarczany przez atmosferę; nie wystarcza jednak roślinom uprawnym, od których domagamy się daleko większej produkcji substancji organicznej. W tym celu winien im być dostarczony węglik w skoncentrowanej postaci,

a postacią tą jest próchnica (humus), produkt rozkładu mierzwy zwierzęcej i pozostających w ziemi i gnijących resztek roślinnych (korzonek ścierni i t. p.). Że pomocą tej tak zw. próchnicowej teorji wyjaśnić sobie przynajmniej było można większość zjawisk w rozwoju roślin i rolnictwie, i to wystarczyło na razie.

Najwybitniejszym przedstawicielem tej teorji, która w początkach bieżącego wieku dzierżyła samowładne niemal panowanie w rolnictwie europejskiem, był agronom niemiecki Thaer, twórca tak zw. racjonalnego rolnictwa. Punkt ciężkości dążeń Thaera i jego następców spoczywał w zamiarze oparcia praktyki rolniczej na wiedzy, na jej zdobyczach, dotyczących życia roślin i zwierząt, oraz połączenia wszystkiego, co stwierdzono zostało doświadczeniem w system rozumny i ściśle określony. Chociaż teorja próchnicowa była, jak się później okazało, błędna, to jednak zasługi Thaera około podniesienia rolnictwa były olbrzymie. Jego starania około ulepszenia gospodarki nawozowej i rozumniejszego żywienia zwierząt, wskazały drogę do zwiększenia urodzajności ziemi i spowodowały zaniechanie trzypolówki i zaprowadzenie racjonalnych płodozmianów, liczących się lepiej z warunkami rozwoju roślin i wyzyskujących skuteczniej siły przyrody.

Dotychczasowe odkrycia na polu życia roślinnego nie wyjaśniły jednak należycie kwestji żywienia się roślin. Podług szkoły Thaera urodzajność gruntu zależała wyłącznie od zawartości jego w próchnicę, której utrzymanie za pomocą przywrócenia równowagi pomiędzy wyczerpaniem przez zbiory a zwrotem w postaci nawozu i ugoru, uważane było za najważniejsze zadanie rolnika. Dopiero sławny chemik niemiecki Liebig w dziele swem p. t. „Chemia i jej zastosowanie w rolnictwie i fizjologii“, wydanem w r. 1840 ustanowił następujące zasady, które i dzisiaj jeszcze stanowią podstawę nauki o rozwoju roślin:

„Pokarmy wszelkich roślin są substencjami nieorganicznemi czyli mineralnemi, amoniakiem (kwasem saletrzanym), wodą, kwasem fosfornym, kwasem krzemnym, wapnem, potasem i żelazem; niektóre rośliny wymagają także do swego rozwoju soli kuchennej. Pomiędzy wszelkiemi skład-

nikami ziemi, wody i powietrza, przyczyniającemi się do rozwoju rośliny, oraz pomiędzy wszystkiemi częściami rośliny i zwierzęcia istnieje związek i to w ten sposób, że jeźli w całym łańcuchu przyczyn, które pośredniczą w zamianie substancji nieorganicznej na czynnik działalności organicznej, brak jednego tylko ogniwa, roślina ani zwierzę żyć nie może. Obornik nie działa za pomocą organicznych swych składników na życie rośliny, lecz pośrednio tylko przez produkty przebiegu gnicia i rozkładu, wskutek więc przemiany swego węglika w kwas węglany a swego azotu w amoniak czyli w kwas azotowy. Nawóz więc organiczny, składający się z resztek zwierzęcych lub roślinnych można zastąpić nieorganicznemi związkami, z których składa się ziemia."

W ten sposób Liebig dawnej teorji próchnicowej przeciwstawił swą teorję mineralną, streszczając ją w twierdzeniu: Obornik działa tak samo skutecznie, jeśli go spalimy, a jedynie jego popiół rozsiejemy w polu. Liebig nie ociągał się z wyciągnięciem praktycznych wniosków ze swych badań. Niebawem przygotowano podług jego wskazówek nawóz mineralny; a wykonane z nim próby uwieńczone zostały kompletnem fiaskiem. Nawóz mineralny okazał się jako bezskuteczny, a wielki chemik przekonał się, że rola nie jest pracownią chemiczną, ani roślina retortą, oraz, że do rozwoju roślin potrzeba jeszcze czegoś więcej niż dobrej woli i składników mineralnych.

Liebig nie ustawał jednak w swej walce przeciwko teorji próchnicowej, prowadzącej zdaniem jego do „rabowania" ziemi. Poznawszy więc, w jakiej postaci rośliny przyjmują swe pokarmy i jakie znaczenie w żywieniu się roślin posiadają składniki mineralne, postawił on jako główną zasadą praktycznego rolnictwa, żądanie, że wszelkie składniki, wywożone z ziemi w zbiorach, przedewszystkiem zaś zawarte w niej w ograniczonych tylko ilościach pokarmy mineralne, jak kwas fosforny, potas i wapno, winny jej być zwracane w zupełności. Tak więc Liebieg stał się twórcą systemu gospodarczego, polegającego na zwrocie wywożonych z ziemi składników użyzniających a skierowanego przeciwko tak zw. rabunkowemu gospodarstwu.

Teorja Liebiga spotkała się początkowo w szerokich kołach rolników praktycznych ze stanowczym oporem. Próby jednak dokonywane w kierunku wskazanym przez Liebiga wykazały, że przyczyna niepowodzenia nie spoczywała w samej jego teorji, lecz jedynie w fałszywem jej zastosowaniu. Napaści zaś przeciwników wywołały nowe badanie i w ten sposób powstała nowa gałęź wiedzy, chemia rolnicza, na której i dzisiaj jeszcze opiera się naukowe i praktyczne rolnictwo. Dzięki tym badaniom przekonano się, że zbyt daleko posunięta teorja mineralna, że mianowicie zupełne lekceważenie próchnicy oraz praktycznego znaczenia obornika prowadzi na manowce. Liebieg dowodził, że rolnik celem trwałego zachowania urodzajności swej roli, winien jej zwracać bezwarunkowo tyle mineralnych składników użyzniających, ile ich wywozi w zbiorach. Natomiast nawożenie skladnikami azotowemi posiada podrzędne tylko znaczenie; przyczyniają się one jedynie do przyspieszenia rozwoju, stanowią zysk w czasie, nie powodują jednak trwałego powiększenia urodzajności pól. Wszelkiego bowiem azotu, którego potrzebują rośliny, dostarcza atmosfera bezpłatnie; gdzie się zaś nawozi jednostronnie azotem, tam wyczerpywa się przedwczesnie grunt ze składników użyzniających i dąży tem szybciej ku niechybnej ruinie.

Natomiast inni badacze sądzili słusznie, że rolnicy, tak samo jak inni producenci poświęcają się jedynie w tej myśli swemu zawodowi, aby wyciągać z niego możliwie wysokie zyski. Zdaniem ich żądanie Liebiga co do zupełnego zwrotu składników użyzniających idzie za daleko, lekceważenie zaś znaczenia nawozu azotowego stoi w rażącej sprzeczności z doświadczeniem praktycznem. W rzeczy też samej trudno zrozumieć, dla czego by rolnik z bogactw, nagromadzonych przez dobrotliwą przyrodę w roli czynić by nie miał jaknajobszerniejszego użytku. Rolnik wtedy jedynie winien dowozić owej roli składniki użyzniające, jeśli widoczny jest w następstwie tego dowozu wzrost zbiorów, brak tego wzrostu dowodzi, że rola dostatecznie jest zaopatrzona w pokarmy roślinne. Nie miałoby zaś sensu zakopywać już dzisiaj w ziemi, w postaci składników mineralnych, kapitałów których procenty staną się

udziałem dopiero wnuków naszych. Natomiast skutecznym środkiem powiększenia zbiorów jest właśnie nawóz azotowy, jako uważany przez Liebiega jako mało ważny, a po części nawet jako szkodliwy. Jeśli zmniejszą się wskutek zbyt silnego jego używania, zbiory, te zapomocą dowozu brakujących składników mineralnych będzie można przywrócić równowagę pokarmów roślinnych w gruncie i zapobiedz wyczerpaniu się roli. Walka ta pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami nawozów mineralnych zwróciła uwagę rolników na znaczanie nawozów sztucznych i przyczyniła się do rozpowszechnienia tych nawozów we wszystkich krajach cywilizowanego świata.

Ręka w rękę z tym rozwojem nauki nawozowej postępowało dalsze badanie warunków życia naszych roślin uprawnych. Za pomocą starannych doświadczeń stwierdzono dokładnie, które składniki niezbędne są dla tych roślin, które dalej, wprawdzie użyteczne, lecz nie bezwarunkowo konieczne, i które wreszcie przypadkowo tylko znajdują się w popiołach rośliny. W przeciwieństwie do zwierzęcia, które odrzuca nie smakującą mu paszę, roślina wybierać sobie może tylko ilościowo nie zaś jakościowo, dostępne jej pokarmy. Przyjmuje ona wszystko, co w stanie rozpuszczonym dostaje się w zakres jej korzonków. Stwierdzenie jednak, że nie wszystkie pożyteczne roślinie substancje są jednocześnie i niezbędnemi jej pokarmami, ochroniło rolnictwo przed wielu kosztownemi pomyłkami.

Nie małe także posiadało znaczenie ustanowienie prawa o *minimum* pokarmów. Wszelkie bowiem pokarmy są dla roślin w równym stopniu ważne, a tem samem posiadają one i równą wartość. Jeśli jednak dostarczamy roślinie wszelkich pokarmów w nadmiarze z wyjątkiem jednego, to właśnie ten jeden, dostarczany w najmniejszej dawce, ustanawia wysokość zbioru. Jedynie woda działa w podwójny sposób na życie roślin, stanowiąc z jednej strony pokarm, a z drugiej i środek do rozpuszczania i dowożenia innych pokarmów, zawartych w gruncie. Dla gruntu jednak wszystkie pokarmy roślinne nie posiadają jednej z tej samej wartości, ponieważ zawiera on niektóre z nich stale lub częściowo w nadmiarze. Jedynie te pokarmy, które znajdują się w gruncie w ilości

niewystarczającej winny być dowożone, celem osiągnięcia pełnego zbioru. Są to zwykle: wapno, potas, kwas fosforny i azot. I absolutna zawartość gruntu w pokarmy roślinne nie rozstrzyga tutaj; większość bowiem tych pokarmów znajduje się w stanie związanym, a nieznaczna tylko ich część staje się corocznie przyswajalna dla korzonków roślin przez wietrzenie, wodę i powietrze przy pomocy obróbki roli.

Rozbiór więc chemiczny gruntu daje tylko ogólny obraz jego urodzajności; żaden jednak chemik nie potrafi oznaczyć z góry, jak wielkie będą najbliższe zbiory, już z tej prostej przyczyny, że wpływ atmosfery nie da się obliczyć, że dalej roślina współdziała sâme przy wyszukiwaniu sobie pokarmów, wydzielając przez swe korzonki kwas węglany, który przyczynia się do rozpuszczania składników użyzniających ziemi. Liczne jednak doświadczenia nawozowe i wegetacyjne wskazały, na jakiej drodze rolnik w pojedyńczych wypadkach sam przekonać się może o zawartości swego gruntu w składniki użyzniające i w jaki sposób należy zapobiegać ich wyczerpaniu.

Rozpowszechniać się też zaczęły coraz bardziej nawozy zielone. Już w pierwszej połowie wieku bieżącego francuzki przyrodnik Boussingault stwierdził za pomocą całego szeregu doświadczeń, że koniczyna i w ogóle rośliny motylkowe odznaczają się własnością wiązania lotnego azotu atmosfery. Przez uprawę więc koniczyny, lucerny, łubinu, grochu, wyki i t. p. wzbagacamy tak samo grunt w azot, jak gdybyśmy dowozili mu ten składnik w oborniku. Odpowiednio też do tej ich własności, dzielimy rośliny uprawne na dwie wielkie grupy, na rośliny pochłaniające azot i na rośliny gromadzące azot.

Do niedawna nauka rolnictwa pozostawała pod wyłącznym prawie wpływem chemji. W ostatnich jednak czasach współzawodniczyć zaczyna co do tego wpływu z chemją nowa gałęź nauk przyrodniczych, bakterjologja. Jeźli też nie mylą wszelkie oznaki, w niezbyt dalekiej przyszłości bakterjologja zajmie w rolnictwie kierujące stanowisko. Liczne zjawiska i procesy na polu rolnictwa wchodzą wyłącznie w jej zakres. Wzrób win owocowych, fabrykacje spirytusu,

przemysł octowy, gospodarstwo mleczne i wyrób serów, przygotowywanie siana brunatnego i paszy zakwaszonej, przechowywanie mięsa, jaj, owoców i warzyw, wiązanie lotnego azotu w kwas azotowy i t. p. przebiegi wywoływane bywają działalnością najrozmaitszego rodzaju drobnoustrojów, nazywanych zbiorowo bakterjami. Dokładniejsze niż dotychczas zbadanie organicznej działalności tych drobnoustrojów, odgrywających w przyrodzie tak ważną a do niedawna zupełnie prawie nieznaną rolę, oddać może rolnictwu nieocenione usługi. *Tentam.*

Nowy sposób sztucznego wylęgania jaj. We Włoszech praktykuje się obecnie w następujący sposób wylęgania jaj. Dno płaskiej miski blaszanej odpowiedniej wielkości i boki wykłada się kłaczkami wełny, na której układa się jaja przeznaczone do wylęgu. Następnie przykrywa się miskę pokrywą blaszaną lub łupkową tak, aby pomiędzy jajami a pokrywą pozostała jeszcze wolna przestrzeń na wysokość 1 cm. W stosie gnoju wygrzebuje się otwór około 40 cm. głęboki o średnicy odpowiadającej rozmiarowi miski, wstawia w niego ostrożnie miskę i przykrywa lekko nawozem i pozostawia tam przez dwadzieścia dni. Po dwudziestu dniach, gnój się usuwa, miskę odkrywa, a wylęgłe pisklęta oddaje pod opiekę kurze. Jak zapewniają, sposób ten nigdy nie zawodzi i nigdy nie znajdowano w jajach w ten sposób wylęganych zdechłych kurcząt, jak to się często zdarza, gdy kura wysiadująca jaja, opuści gniazdo na dłuższy czas.

Widoki co do ceny wełny znacznie się polepszyły, z powodu panującej w Australii suszy, w skutek czego padły tam miliony owiec. W krajach Laplata produkcja wełny czesankowej zmniejszyła się o $^1/_3$, z powodu krzyżowania merynosów z grubowełnistemi owcami mięsnemi. We wszystkich krajach europejskich hodowla owiec i produkcja wełny bardzo znacznie się zmniejszyła w skutek nizkich cen, wywołanych konkurencją krajów zamorskich. Obecna wojna w Transwaalu zmniejsza produkcją i zmniejsza wywóz wełny z Przylądka. Z drugiej strony znacznie się powiększyła konsumcja wyrobów wełnianych z rozrostem przemysłu i handlu, a tem samem wzrosło zapotrzebowanie wełny. Wszystkie te okoliczności razem wpłynęły na to, że ceny wełny podskoczyły od r. 1898 o 50 proc. Należy się bardzo poważnie nad tem zastanowić, czyby w obec coraz dotkliwszego braku robotnika, nie powrócić znowu na ziemiach lżejszych do obszerniejszej hodowli owiec.

NA TLE SPRAW BIEŻĄCYCH.

Łatwy Zysk.

Od czasu do czasu odbieram listy takiej mniej więcej treści:

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako stały prenumerator „Kurjera Polskiego“ od samego początku, śmiem zapytać, czy bym przy pomocy pańskiej nie mógł dostać biletu na loterję klasyczną warszawską.

Ani na jeden list podobny nie odpowiedziałem.

Przyczyną zaś mojej zawziętości jest nietylko ta okoliczność, że mi brak czasu i środków na załatwianie prywatnych interesów czyichkolwiek, nietylko ten fakt, że nie mam żadnych stosunków, a tembardziej żadnych względów wśród szczęśliwej rzeszy t. z. kollektorów czyli przekupniów biletów loteryjnych, ale i to także, to przedewszystkiem, żem bliźnim moim nie wróg.

Wiele już lat tułam się po twardych ścieżkach życia, a jeszczem jednego wypadku nie widział, aby komu wygrana w karty lub na loterji szczęście przyniosła. Nad złem zaś, które się poczęło z zabiegów o zysk łatwy, bolałem już dużo. Widziałem, nieraz już niestety widziałem, skutki nadziei na wygraną; złej—bo zawodnej, a gorszej gdy się kiedy ziści. Komu nadzieja ta wkradła się do wyobraźni -- marniał. Jeśli

napadła młodzieńca — dojrzewał na pastwę szpitala lub kryminału. Jeśli trafiła na ojca rodziny — od śmierci z głodu ratowała dzieci żebranina.

Nie mówcie, że przesadzam, bom ja to widział!

A chcecie się przekonać sami — idzcie do nór, gdzie się upadek chroni, popytajcie wyrzutków społecznych, jakie są ich dzieje? Opowieść będzie jedna tylko — spekulowali na zysk łatwy. A że przytem ten przyczynę wszystkiego zwali na nieszczęśliwy zbieg okoliczności, ów żalić się będzie na złość ludzką — to naturalne: cechą upadku jest zaślepienie. Oni nie wiedzą, i ci, co za nimi w manowce skręcają, nie widzą, że dola ich to nie wypadek, nie los zawistny, lecz konieczność: mają to, na co zasłużyli; zaszli tam, gdzie szli.

Bo zastanówmy się tylko: aby przez życie przebrnąć niesplamionym i niesponiewieranym, człowiek dużo się musi napocić i dużo znieść — wszak prawda? Trzeba być pilnym i zapobiegliwym, oszczędnym i energicznym. Trzeba wszystkie siły wytężać, całą przytomność skupiać, aby kroku fałszywego nie postawić, aby się nie zapomnieć i nie zaniedbać. Kto pracą własną żyje — wie o tem dobrze. Ale czyż zechce, czy może trwać w przykrym mozole człowiek, któremu głowę zaprząta nadzieja wygranej, który jutro lub pojutrze spodziewa się zysków łatwych? Nadzieja zawodzi — człowiek, co się dla niej zaniedbał, upada.

Szczebli łatwego zysku dużo — tyle co w jakubowej drabinie. Tylko że tamta szła w górę, od ziemi ku niebu, ta prowadzi w dół, coraz niżej, coraz głębiej. Pierwszy szczebel, najniewinniejszy, loterja, znajduje się jeszcze na powierzchni, w świetle dziennym. Na ostatnim szczeblu człowiek usiłuje wielki los lub małą stawkę wyciągnąć wprost z kieszeni bliźniego lub mu wydrzeć z życiem. Na szczeblach pośrednich znajdziemy totalizatora, giełdę, handel placami, spekulację węglową.

* * *

A jeśli nadzieja nie zawiedzie? Zdarza się to bardzo rzadko, a bywa nieraz znacznie gorsze.

W umysłach ludzkich tuła się dużo bardzo pojęć przewrotnych, Za bogactwo mają pieniądze. To fałsz! Pieniądze mogą być przyczyną, źródłem ubóstwa.

Nie wierzycie! Śmiejecie się! Więc dam wam przykład, z historji wyjęty. Jeśli was nie przekona, śmiejcie się dalej, ale przykład zapamiętajcie i zastanówcie się nad nim.

Europejczycy odkryli Amerykę w ostatnich latach wieku XV, a już w początkach XVI-go poczęli ją rabować. Cieszono się bardzo — zysk był nietylko łatwy, ale obfity. Co dzień niemal przybijały do portów okręty, naładowane złotem meksykańskiem i peruwiańskiem. Zdawało się, iż nastała era pomyślności powszechnej: nie będzie braku, nie będzie pracy ciężkiej; o nędzy, o występku zostaną tylko wspomnienia coraz odleglejsze. Wszak za pieniądze wszystkiego dostać można, a pieniądze płyną jak potoki deszczu w ulewę.

I cóż się stało? Zrabowane złoto Ameryki przyniosło Europie głód tylko i krew. Nędza urosła, człowiek się zepsuł.

Złoto chciwość karmi, pychę rozdyma, ambicją rozzuchwala. Olśnieni blaskiem bogactw amerykańskich ludzie poniechali pracy i poczęli zbytkować. Złota było dużo, ale chleba brakowało, w pałacach hulano, a warsztaty stały pustkami. Monarchowie, widząc skarb swój wypchany, zapragnęli sławy, potęgi; i zaczęły się wojny, które człowieka zepsuły do reszty, a zabrały mu mienie całe. Złoto zniknęło jak mara, zaś złe nałogi zostały. Nigdy może nie widziano biedy większej. Żyć nie było z czego, tymczasem wyczerpany skarb państwa wyciskał coraz nowe podatki. Z próżniactwa wyroiły się bandy rabusiów, lud stał się pastwą oszustwa, przedajności. Tak się działo wszędzie: w Hiszpanii, we Francji, w Anglii, we Włoszech. I czy mogło być inaczej? Kogo raz chwyciła żądza zysku łatwego, ten go już szukać będzie zawsze, zapuści się za nim coraz głębiej.

Ażeby ratować poddanych od nędzy, spowodowanej złotem amerykańskiem, a skarb swój od pustki, Henryk VIII angielski złupił majątek klasztorów. Ażeby ludzi, zdemoralizowanych łatwym zyskiem, zmusić do pracy, karał żebraninę i włóczęgostwo śmiercią. Za panowania tego strasznego króla stracono 72,000 — wyraźnie *siedemdziesiąt dwa tysiące* żebraków.

Nie wiele to pomogło, bo córka jego Elżbieta musiała rocznie wieszać po 300, po 400 włóczęgów i też ich nie zdołała wytępić.

„Zdawało się — pisze historyk, — że całe armje maruderów rzuciły się wtedy na majątek publiczny, że narody muszą wysączyć pot, wytoczyć krew aż do kropli ostatniej, aby zasycić pragnienie złota i srebra ciemiężców. Zamiast podnieść źródła bogactw naturalnych w każdym kraju, napływ drogiego kruszczu przyczynił się do ich wyczerpania i zmarnowania. Trzeba było trzech wieków nieszczęść, aby się przekonać, iż złoto wtedy tylko wartość posiada, gdy idzie na cele pracy wytwórczej, gdy się z tą pracą kojarzy."

Historyk twierdzi, iż po takiem doświadczeniu pozostała korzyść wielka, bo wyszła na jaw prawda zbawienna: bogactwem kraju jest mądrość, uczciwość, pracowitość jego obywateli, po za tem nie ma bogactwa wcale. Złoto jest tem, czem go człowiek zrobi, czem go zrobić może — *dobrodziejstwem lub klęską.*

Ale czy się historyk nie myli? Czy wszystkie narody to wiedzą, czy wszystkie o tem pamiętają?

Toż samo, co o społeczeństwach, powiedzieć można o prywatnem życiu ludzi pojedyńczych. W Warszawie mieszka magnat pewien, któremu matka żony płaci kilkakroć sto tysięcy (też jedna z form łatwego zysku) na każdy Nowy Rok, a już 20 stycznia magnat ten jest żebrakiem, wyłudzającym pieniądze na potrzeby i na zbytki nietylko od przyjaciół, lecz od służby własnej!

* * *

Bywają choroby ostre, bywają przewlekłe. Ostre zabijają odrazu, przewlekłe wycieńczają tylko organizm, i, jeśli się im nie zapobiegnie, prowadzą człowieka drogą wolną, lecz pewną, do niedołęstwa i śmierci.

Gra na loterji jest chorobą przewlekłą. Mniejszą gorączkę sprowadza, nie tak umysł pochłania i wolniej rujnuje. Natomiast, rozlewa się szerzej, większą liczbę ludzi ogarnia i broi bezustanku; ma przytem i tą złą stronę, iż się nikt jej nie wstydzi.

Hazard karciany miewa charakter ostry, a miewa i przewlekły. Istnieje, niestety, wszędzie i zawsze, ale w różnym stopniu. Stopień ten jest objawem znamiennym: po nim sądzić można o zdrowiu i wartości społeczeństwa lub jednej jakiejś jego części. Gdy w głowach ciemno, a w sercach pusto, wtedy ludzie innej rozrywki nie mają jak karty, innej rozmowy nie rozumieją jak o kartach. Podczas kolacji i w drodze do domu, w biurze i w knajpie opowiadają sobie obywatele kraju o rozkładach wintowych, lub kończą spory, zaczęte przy zielonym stoliku. Nie jest nam to obce— prawda?

Gdy myśl jakaś ożywiać poczyna społeczeństwo, gdy się budzi pamięć obowiązków względem teraźniejszości i przyszłości w tej chwili, daje się zauważyć obojętność do kart. *Podobno* w tej chwili w niektórych okolicach kraju młodzież ziemiańska rozkoszom hazardu karcianego poświęca liczne noce, *podobno* nieraz rozkosze te dzielą z nią ludzie stanów innych.

Nie oglądałem tego oczyma własnemi, więc mówię *podobno*. Jeżeli jednak tak jest naprawdę, to, rozprawiając o upadku rolnictwa i większej własności, o klęskach dewastacji, nie szukajmy przyczyn w wilgotnych ani suchych latach, nie wspominajmy o konkurencji amerykańskiej, o trudnym kredycie, o braku robotnika — to są wszystko drobiazgi! Potop pomyślnych warunków nie uratuje od zguby człowieka, dotkniętego ostrą formą żądzy łatwego zysku. Kogo trapi zła gorączka, nie może przecie ani kochać, ani myśleć, ani pracować; nie potrafi być ani energicznym, ani uczciwym.

Ale to pewnie plotka. Wolę wierzyć, że to plotka potwarcza!

* * *

Wieś i miasteczko mogą dużo grzeszyć, ale nie są w stanie wywołać hazardem wielkiego hałasu. To przywilej miast wielkich. Tu dopiero hazard umie buchać jak wulkan, huczeć jak wodospad, a broić jak huragan. Warszawa wie już coś o tem. Brak jej jeszcze wielu dogodności i wielu

piękności miast innych, ale to już ma, że każde zjawisko ekonomiczne, pomyślność czy klęska, staje się w niej źródłem spekulacji.

Spekulowano już zbożem, cukrem, rublami. Ale to były jeszcze nieśmiałe początki. Imponującym wybuchem gorączki hazardowej stał się dopiero szał giełdowy przed laty kilku. Zaraz potem przyszedł handel placami, dziś mamy w pełnym rozkwicie zbrodnicze spekulowanie węglem.

Pierwszy, lub przynajmniej pierwszy głośniejszy napad szału giełdowego zapisała historja we Francji na początku wieku XVIII. Było to następstwo kredytowych pomysłów Law'a Co się tam wtedy działo...!

Między innymi wielki rozgłos zyskał sobie wówczas wypadek taki: jakiś pan posłał służącego z wielką sumą pieniędzy do banku; służący zamiast dokonać wypłaty natychmiast wstąpił na giełdę i tam się czas jakiś zabałamucił; myślano już, że umknął z pieniędzmi lub został zamordowany, tymczasem wrócił, pieniądze pańskie wypłacił, a sam przez ten czas wygrał... miljon! Można sobie wyobrazić, ile opowieść taka (w dodatku zapewne fałszywa lub niedokładna) narobiła złego; ilu lokajów okradło dzięki niej swoich panów, ilu ludzi utopiło na giełdzie swoje i cudze oszczędności!

Od tego czasu do naszych dni gra giełdowa wzbierała wiele razy i w wielu miejscach. A zawsze miała przebieg *zupełnie* ten sam. Z początku wygrywają wszyscy. Wieści, anegdoty o krociach, zdobytych bez trudu i czekania, krążą, sieją niepokój, drażnią żądze. Gorączka rozchodzi się coraz szerzej, sięga coraz głębiej. Ludzi nietylko pali chciwość, ale dręczy zawiść: wygrał ten i tamten, a ja nie! Pokusie ulegają naprzód ludzie ludzie bliżsi giełdzie, a przez tych dają się wciągać sfery coraz dalsze. Kto ma trochę pieniędzy i niezbyt odporny rozsądek, nie chce być od innych gorszy i pragnie coś urwać. Nagle przychodzi tak zwanych krach i... *zgrywają się wszyscy*, prócz tych tylko, kogo ocalił wypadek, lub kto stał za kulisami spekulacji.

Tak bywało zawsze: tak musi być zawsze. Jest to prawda dowiedziona całkowicie. Najosobliwsze zaś, iż wszyscy o tej

prawdzie wiedzą, nikt jej nie przeczy, nikt nie wątpi — pomimo to do przepaści pędzą tłumy. Pcha je żądza zysku łatwego!

Gdyby można było na kręcących sobie karki machnąć, ręką, powiedzieć: „a niech giną kiedy ślepi i chciwi“! odwrócić się i do roboty swojej wracać! Ale w życiu społecznem wszystko się o siebie zahacza; każde złe, występek i nieszczęście, wlecze za sobą szereg następstw. Zgorszenie hazardu od innych plenniejsze.

Przedewszystkiem gra odciąga od pracy; pogoń za zyskiem łatwym wytwarza i zostawia po sobie lekceważenie pracy. Biura handlowe odczuły to dotkliwie. Głowy, nabite zwyżką, która krocie przynieść miała, nie mogły przecie skupić uwagi przy mozolnych a cudzych rachunkach, natężać myśli przy listach, a pamięci przy obstalunkach. Kto się do gry w żaden sposób docisnąć nie zdołał, szukał z zapałem innych sposobów spekulowania, handlował frachtami, stręczył, pośredniczył, kręcił. W cukierniach widzieliśmy roje takich wiecznie szachrujących macherów.

A to nie mija wraz z ustaniem przyczyny. Jak rdzy z żelaza usunąć niepodobna bez śladu, tak samo zupełnie duszę ludzką i obyczaje społeczności plamią i żłobią złe narowy... na długo.

Powtóre. Rozpróżniaczeni spekulanci, gdy gra im przynosiła setki i tysiące, nie dbali o pieniądze. Huczały po bruku powozy, w restauracjach lał się szampan, w lupanarach szalała rozpusta. Złe nasienie rozlatywało się daleko.

Wreszcie spekulanci zgrani. Nietylko kroci nie ma, ale brak środków na połatanie butów, brak kawałka chleba dla dzieci. Czy sądzicie, że ludzie, zdemoralizowani hazardem, wrócą, do pracy? Nie! I nie chcą i nie mogą. Jeden zostanie stręczycielem nierządu; drugi będzie ciężarem biednej rodziny; trzeci nauczy się płakać na zawołanie i opowiadać o nadzwyczajnych nieszczęściach, aby jałmużnę wyłudzać; czwarty wykieruje się na zwyczajnego złodzieja i t. d.

Pomyślcie, ile zgnilizny zakaziło krew społeczeństwa.

Handel placami miał nieco inny charakter, ale zostawił po sobie wiele tego samego osadu.

* * *

Spekulacja węglem od tamtych gorsza.

I tamte skończyć się musiały krzywdą ludzką, ale ta krzywda nie była taka prosta, taka bolesna, taka krzycząca. Kto obliczy, ile dzieci pomarło w nieopalonych suterenach? Kto wynagrodzi straty, poniesione przez pracowników najbiedniejszych, gdy im zgrabiałe palce odmówiły posłuszeństwa? Kto społeczeństwu powetuje szkody, wyrządzone przez wycieńczenie ludzi, przez rozmnożenie chorób? Przecie nie bogactwa, zbrukane krwią i łzami, w rękach spekulantów plugawych.

Spokojnie o tem mówić niepodobna. Kto winien? Wypierają się wszyscy — kłamią wszyscy! Najprawdopodobniej w hańbie tej unurzali ręce zarówno niektórzy administratorzy kopalń jak przekupnie, i hurtownicy i detaliści... zapewne nie wszyscy — wszędzie się trafią wyjątki, ale niechybnie wśród spekulantów znaleźli się przedstawiciele wszystkich tych kategoryj.

Do Warszawy przychodzi dziennie około 250 wagonów węgla, z tego 80—120 bez wymienienia we frachcie odbiorcy, na okaziciela, aby mógł wziąć ten, kto zapłaci najwięcej. Liczby te dają pewne pojęcie o rozmiarach spekulacji. Jakie zaś są sposoby sztucznego podbijania cen węgla, tego od spekulantów, zazdrosnych o swe zyski, dowiedzieć się niepodobna.

W każdym razie operacje „giełdowe“ węglem odbywają nietylko w Warszawie. Gromada drapieżców zleciała się też do Sosnowca i tam ciągnie zyski z handlu frachtami, wstrzymuje wagony, faktoruje.

Zresztą, nie nawiele by się przydało, gdybyśmy nawet wiedzieli dokładnie, kto i jak obdziera. Przecie dla opinji wiele rzeczy tajemnicą nie jest, wszak wymieniamy sobie nazwiska niektórych spekulantów i z podziwem powtarzamy wielkość sum, przez nich „zarobionych“ na cierpieniach biedaków. I cóż? Czy kto tym panom ręki nie podał? Czy

kto zamknął przed nimi drzwi swego domu? Ale gdzież tam. Ludzie są dziś dla nich przyjemniejsi niż dawniej. Znajomi z ciekawością rozpytują się o szczegóły powodzenia i z uprzejmością słuchają. Spekulanci, ich żony i dzieci mają taką godną minę, jakby to bogactwo nie z hańby przyszło, lecz z zasługi dla kraju. A i to nas nie minie, że tych brudasów—teraz już możnych, więc szanownych panów—ujrzymy niebawem w zarządach instytucji społecznych.

Ha, wściekłość porywa... ale cierpliwości! Kara za niegodziwość spóźnia się często, ale mija rzadko. Za łzy, za krzywdy ludzkie nie mija nigdy. Kto sam jej niedoczeka, ona dzieci jego odnajdzie.

Takie są skutki pogoni za łatwym zyskiem na niższych szczeblach fatalnej drabiny.

* * *

Gdym mówił przyjaciołom moim, że pisać mam o hazardzie, ruszali ramionami, kiwali głowami. Gdym się silił przekonać ich, że to istotnie plaga straszna, że to rak, co siły wyżera, a zgniliznę zostawia, przyznawali, ale jednocześnie przeczyli, aby nań była rada jaka. Hazard stary jak świat, żaden operator i żadna operacja nie usunie go z natury ludzkiej. Nie myśmy jedni wadą tą dotknięci, świat cały na nią cierpi, więcej może od nas. Wreszcie człowiekowi potrzebne czasem złudzenia, potrzebna pociecha w postaci nadziei polepszenia losu.

Co powiedzieć na takie rozumowania? Może są i słuszne. Niemniej przeto przystać na nie trudno, boleśnie. Coś się w nas buntuje.

Wierzę w postęp ludzkości. Widzę, jak ona doskonali się i uszlachetnia ciągle. Nie, niechcę się zgodzić, aby mądrość ludzka nie zdołała nigdy przeszkodzić jawnemu krzywdzeniu bliźniego dla zysku. Przyjdzie chwila taka, że człowiek nie dotknie złota zbrukanego, nie dotknie ręki łzą ludzką splamionej.

Im więcej cywilizacji, tem więcej światła i ciepła, tem złego mniej.

To też nieprawdą jest, aby w krajach o wyższej kulturze hazard grasował tak samo, jak u nas. Próżniactwo świata całego zjeżdża się do Paryża na totalizatora i do Monaco na ruletę, ale człowiek pracy we Francji mniej gra w karty i nie dobija się, jak my, o bilet loteryjny. Każdy tam ma ułożony budżet wydatków swoich i swojej rodziny, wie, ile na co przeznaczyć może i od tego nie odstępuje. Jeśli coś rzuci na sprobowanie szczęścia, to z tej resztki, która mu zostaje na przyjemności.

Życie tam bardziej uporządkowane. W społeczeństwach zachodnich nie ma takiej, jak u nas, hordy ludzi, nie umiejących i nie chcących trzymać się stale jednego określonego, jawnego zajęcia. Zaś bez wytkniętej drogi życia i pracy nie można nie tłuc się po wertepach tej lub owej spekulacji. Hordy, luzem chodzących maruderów, czyhają bezustanku na łatwy zysk, psują, mącą porządek życia, wstrzymują postęp. Są one przedewszystkiem kalectwem handlu naszego.

Oto obrazek, który kreślę na zasadzie słów bardzo wiarogodnego znawcy.

Na ulicy Kupieckiej w Warszawie... Ale pewnie niewiesz nawet czytelniku, gdzie leży taka ulica. Wychodzi z Dzikiej, idzie ku Nalewkom. Otóż na tej ulicy, na jej trotuarach, w mieszkaniach, sklepach, warsztatach odbywa się handel... mąką.

Ktoś z hordy owej, co ma nic wiele, a nic umie nic, szuka interesu. Nie jest kupcem; o handlu mąką mało co słyszał, ale chce zarobić. Sprowadza sobie wagon mąki z Penzy lub z Jekaterynosławia. Jeśli ceny idą w górę — zarabia. Jeśli nie, wpycha towar jakiemu piekarzowi bez zysku lub z niewielką stratą. Czasem, rzadko na tej drodze wyrabia się interes trwalszy; znacznie częściej przygodny taki kupiec rzuca mąkę, bo mu się coś zyskowniejszego trafiło. Ale bywa i tak: po kilku porządnie załatwionych obrotach, młynarz daje wagon na kredyt... wtedy koniec: „kupiec“ na to tylko czekał, odbił sobie wszystkie straty, „zarobił.“ Nikt mu nic nie odbierze, nikt go szukać nie zechce, bo choćby złapał, nie ma za co chwycić — jego skład był w wagonie, a bank i biuro u jakiegoś nieznanego drobnego pie-

karza lub... na Kupieckiej, tam się ci panowie spotykają i porozumiewają.

Takie śmiecie są klęską naszego handlu, nie dają mu dojść do siły i powagi; podcinają kredyt, psują interesy, wytwarzają konkurencję nie do zniesienia; nie płacą podatków żadnych, nie podlegają wcale kontroli. Niech przyjdzie nieszczęście, niech się gdzieś młyny spalą, niech się zdarzy wielki nieurodzaj, a w tej chwili rzuci się horda do spekulowania chlebem powszednim: nowe pijawki wycisną z tej samej nędzy nowe krocie.

* * *

Więc... co robić?

Jeśli nawet złego wykorzenić niepodobna, to jednak probować należy go zmniejszyć.

Medycyna też nie ma na wiele chorób lekarstwa; wtedy wskazuje warunki hygieniczne, które pozwalają złego uniknąć. Tak samo tu postępować trzeba.

W niektórych wypadkach ostrego paroksyzmu mogą i powinny być użyte środki stanowcze. Pomyśleć o ich znalezieniu i użyciu powinien przedewszystkiem i zawczasu świat kupiecki. Ma on przecie kilka instytucji własnych, od Giełdy i Zgromadzenia Starszych poczynając. Wiemy, że przedstawiciele świata tego gorzko zwykle biadają na stan rzeczy, że radzi by znaleść jakąś pomoc zewnętrzną, ale czy sami co myśleli, czy probowali co zrobić, lub zrobili—nie słyszeliśmy.

Lach.

W OJCÓW SLADY...

POWIEŚĆ

przez Kazimierza Laskowskiego.

„Grau theurer Freund ist alle Theorie und
grün des Lebensgoldener Baum"...
(Faust).

I.

Tadeusz, odpowiedziawszy na ostatni naglący list ojca depeszą: „Jadę", pożegnał kolegów zapewnieniem jak najrychlejszego powrotu i najbliższym pociągiem wyruszył z Berlina.

Znużony nawałem myśli i rozterką uczuć, wywołanych podróżą w rodzinne strony, ocknął się dopiero na mazowieckiej równinie.

Rzeźwiący powiew lipcowego rozbrzasku wniknął przez uchylone okno do wnętrza przedziału.

Tadeusz wyjrzał.

Pociąg pędził łukowatem wygięciem nasypu. Ranną ciszę pól mącił miarowy warkot ciężkich kół parowozu, kłęby

pary i dymu słały się czarną chmurą po błyszczącej rozświetli wschodzącego słońca, przelatywały szarym zwojem nad oroszoną ścianą zbóż, rozpływały się nad łąk zielenią i opadały na rżyska, na ściernie, z oddali do olbrzymich plastrów woszczyn okadzonych przez pasiecznika, podobne. Niekiedy mignęła grusza polna na miedzy, kępa wikliny przy strudze, czasem zatrzepotało w powietrzu spłoszone stadko wróble, czasem bociek, porwawszy się z oporzelisk, zatoczył kręgiem, lub gromadka bydła na pastwisku, przystanąwszy w niemym podziwie, odprowadziła wylękłym wzrokiem przelatujący wąż wagonów.

Tadeusz, zapaliwszy papierosa, rozglądał się z zadumą po okolicy, upatrując zmian, jakie w czasie jego pięcioletniego pobytu za granicą zaszły.

Właśnie kilku pastuszków, ujrzawszy pociąg, puściło się wzdłuż nasypu w pogoń. Malcy, z rozwianym włosem płowych czupryn, biegli w zawody z poszczekującym kundlem, kłaniając się czapiętami i wykrzykując wesoło:

— Kolej leci!

Widok ścigającej pociąg dziatwy i echa wykrzykników wyrwały Tadeusza z zadumy.

— Prawda! — szepnął — kolej...

Teraz dopiero zauważył, że ta wstęga rels, na którą od półgodziny patrzył obojętnie, była dla zacisznych kątów nabytkiem świeżym, którego dawniej nie widział. Ojciec w listach wspominał mu wprawdzie o projekcie i budowie bocznicy kolejowej, ale jakoś wyszło mu z pamięci.

Uczuł pewne zakłopotanie.

— Jak mogłem nie zauważyć? — pomyślał, wychylając się do połowy ciała z okien wagonu, dla objęcia szerszego widnokręgu.

Blask wschodzącego słońca rzucił mu w męską, o wyrazistych rysach twarz snopem promieni. Przysłonił ręką oczy, zapatrzył się i, niejako wynagradzając dotychczasową nieuwagę, mówił w myśli:

— Istotnie, mają teraz kolej... Jak to zaraz zmienia fizjognomję okolicy! Nawet kilka fabryk powstało! tylko lasy

przetrzebiono. I ruch handlowy musiał się ożywić... No. i komunikacja ze światem łatwiejsza... Z Głębokiego mieliśmy przedtem do stacji opętanych mil dziesięć, a teraz?...

Cofnął się w głąb wagonu, wydobył z kieszeni bilet i odczytał:

— Przystanek Rędziny! Rędziny... Rędziny — powtórzył — wiem... Bukojemskich! To już chyba niedaleko...

Wyjrzał znowu.

Pociąg wynurzał się właśnie z młodego brzozowego lasku, siejąc deszczem skier w rozkołysane warkocze drzew najbliższych. Grunt stawał się coraz bardziej trzęsawy, pobrzeżem między odroślami olszyny i kopcami torfiastych czarnych kretowin połyskiwały gdzieniegdzie małe kałuże, o zmarszczonej wstrząśnieniem powierzchni. W przerosłe tatarakiem trawy padał z sykiem rzucony pędem lokomotywy żużel. Za lasem, za błotnem trzęsawiskiem, ukazała się na pagórkowatem wzniesieniu wieś. Z różańca chat wystrzelała wieża kościelna, potem dwór biały z rozpiętą siecią zieleni u czoła, dalej znowu półkolem chaty, znowu kawał pól uprawnych z rozlanem po skibach słońcem i ciemniejsza linja topól przydrożnych, z poza której przezierał błyszczącym punktem blaszany dach budynków stacyjnych. Pociąg zwalniał. Rozległ się świst gwizdawki, zadzwoniły sygnały dróżnicze...

Do wagonu wszedł konduktor.

— Pan dobrodziej tu wysiada. Stoimy dwie minuty— przemówił.

Tadeusz oddał mu trzymany w ręku bilet i, nie zwlekając, począł zdejmować z półek podróżne przybory.

Po chwili zadygotały szyny, pociąg, sapiąc ciężko, przesunął się zwolna między tarczami zwrotnic i stanął przed maleńką wiejską stacyjką.

Prócz Tadeusza nikt nie wysiadł. Na stacji od strony plantu było pusto — kilku żydków, zaspany telegrafista i zawiadowca. Ten, ujrzawszy przybyłego, jął się wpatrywać uporczywie.

— Ani chybi — mruknął do telegrafisty, — to młody Głębocki. — I zbliżywszy się do idącego peronem Tadeusza, przemówił z ukłonem.

— Wszak pan Tadeusz Głębocki? Przypominam się pamięci... Józef Toporski, niegdyś sąsiad Głębokiego, dzierżawca Czarnowody, dziś na nowym chlebie, zawiadowca tej budy...

Wyciągnął obcesowo obie dłonie. Młody Głębocki odpłacił mu powściągliwem uściśnieniem, szukając oczyma znoszącego rzeczy posłańca. Zawiadowca gawędził w dalszym ciągu serdecznym tonem:

— Pan wraca? na stałe? Dopieroż się ojczysko ucieszy! Wiem... wiem... stęsknił się stary... Wiem... wiem... parę razy sam wpadał dla pewności na stację z listami do pana! Mój Boże! jak to ten czas leci! Znałem takiego Tadzia — tu uderzył się w kolano, — a teraz wąs, jak u pułkownika! a u mnie ot!...

Chwycił dłonią szpakowatej czupryny.

Tadeusz, niecierpliwiąc się w duchu, uśmiechał się przymusowo, nierad przygodnemu spotkaniu, czekał też tylko pierwszej stosownej chwili, aby pożegnać rozgadanego Toporskiego. Ten zaś, jak na złość, oddawszy papiery służbowe konduktorowi, nie odstępował Głębockiego krokiem. Usta mu się nie zamykały. Wreszcie pomiarkował, że Głębocki słucha jego zwierzeń z roztargnieniem.

— Panu pilno — zaczął, — a ja nudzę... Hej! — krzyknął na przechodzącego posłańca. — Skocz-no Janek! pomóż Walkowi wynieść rzeczy pana Głębockiego! Ot tam! gapiu! — Ukazał na drzwi z napisem: b a g a ż.

— Albo lepiej sam pójdę! — dorzucił, i nie czekając na podziękowanie, oddalił się, pomrukując półgłosem:

— Z twarzy wykapany ojciec! ale djabelnie sztywny! Miałem ochotę zaproponować mu śniadanko, ale...

Tadeusz odetchnął lżej. Przeszedł, nie zwlekając, na drugą stronę dworca. Dogonił go posłaniec z kufrem.

— Prędzej! pytałeś, czy są konie?

— Są! jaśnie panie! Konie z Głębokiego! — huknął.

Zaturkotało. Czwórka kasztanów, wprzężona do lekkiego faetonu, zatętniła dziedzińcem stacji.

— M a l i! brać! — zawołał posłaniec, podnosząc w górę pakunki.

Stary o sumiastych wąsach stangret zeskoczył z kozła, obwinął lejce na piaście koła, lecz zamiast do kufrów, rzucił się z galonową czapką w ręku do stojącego na kamiennych schodkach podsienia Tadeusza, i nim ten spostrzegł, objął go oburącz za kolana.

— Wielmożnego panicza... pana — poprawił się — powitać! A gadali... Chwalić Pana Jezusa! jeszcze będzie stary Jędrzej woził — szeptał urywanym głosem, dobierając się z kolei do rąk Głębockiego.

Na poczciwej mazurskiej twarzy odmalowało się rozrzewnienie, pod krzaczastą brwią zaświeciły łzy.

Tadeusz uczuł się nieco wzruszonym.

— A... Jędrzej — przemówił, — jak się macie?

Założył ręce w tył, broniąc się pocałunkom.

— Dobrze się trzymacie. I po dawnemu w służbie? — spytał, aby coś powiedzieć.

— A i n o! Już my się tu chyba ze starszym panem nie r o z e j d z i e w a — Skłonił się znowu — A i dla wielmożnego pana objeździłem czwórkę! Mamy teraz ośm na stajni, prócz wierzchowych... Da Bóg! b ę d z i e w a jeździć! — Uśmiechnął się filuternie.

Tadeusz nic już nie odpowiadał. Pierwsze wrażenie minęło, z chłodnym spokojem przyglądał się pakowaniu rzeczy. Niekiedy jednak twarz zadrgała mu nerwowo i w oczach pojawiała się tamowana niecierpliwość.

Wreszcie z zadowoleniem rzucił się na miękkie wysłanie pojazdu i puścił wodze myślom.

Nie były wesołe.

Wracał po kilku latach studjów za granicą, innym od tego, jakim opuścił dom rodzicielski, odmiennym od tych, których tam pozostawił. Czuł, że jego zamiary, jego chęci, jego poglądy na życie, na pracę społeczną, nie znajdą w najbliższych oddźwięku, że bieguny pojęć zejść się nie mogą, że będzie musiał się bronić przeciw narzuconemu szczęściu, przeciw temu jutru, wymarzonemu przez ojca.

I bał się świtu tego jutra. Ojca zamiary nie były dlań tajemnicą. Od kolebki, przez szkolne ławy, szło za nim echo

rodzicielskich pragnień, towarzyszyło mu na każdym kroku, odzywało się przy każdej sposobności.

Chrzczono go w siódmym roku życia i po ceremonii obrzędu pito zdrowie jedynaka, przyszłego dziedzica Głębokiego, na wakacjach woził go ojciec po polach, po łąkach, ukazywał kopce graniczne, powtarzając nieraz z dumą: „To wszystko, Tadziu, twoje! po prapradziadach twoje"! A nawet te studja zagraniczne nie miały innej przewodniej myśli.

— Chcę cię mieć ziemianinem całą gębą! — mówił ojciec, wysyłając go do Hali.

A kiedy później, po skończeniu wydziału agronomicznego i odbytym po Anglii wojażu, zapisał się na ekonomję polityczną w Berlinie, ojciec, choć mu się serce rwało do jedynego dziecka, nie tylko nie zganił zamiaru, ale w serdecznym liście pod błogosławieństwem swojem i matki zalecał, aby nie oszczędzając ich w niczem, robił to, co dla swego szczęścia uzna za stosowne.

„Wolimy poczekać z matką lat parę, choć nam tęskno będzie i pusto w Głębokiem, byleś nam tylko wrócił ze szczęściem w piersiach, pociechą na stare lata"—pisał...

Dopiero później zaczęły nadchodzić naglące do powrotu listy, wprawdzie bez wymówek, bez wyrzekań, ale przeplatane niedającym się utaić żalem, przeczuciem jakiegoś zawodu, tem boleśniejsze, że drgała w nich taż sama nuta, toż samo dźwięczało pragnienie, a bez wyraźnego rozkazu, bez narzucania woli rodzicielskiej.

Tadeusz wolałby był stanowczy rozkaz. Wtedy łatwiejby mu przyszło z oddalenia, stopniowo, wyłożyć swoje plany, cele i chęci. Obustronny zawód byłby mniej dotkliwym. Ale tego żądania ojciec nie stawiał, wzywał tylko do powrotu, opisywał matki tęsknotę, ogródkowo natrącając o swojem postarzeniu się, o drobnych kłopotach gospodarskich.

Na listy te odpowiadał Tadeusz dość długo obietnicą, przewlekając stanowczą chwilę, aż wreszcie po ciężkiej walce z sobą, zadość czyniąc życzeniu rodziców, postanowił przyjechać do Głębokiego i stanowczem wyłuszczeniem swych planów na przyszłość przeciąć pasmo ciążącej mu nad głową niepewności.

I oto wracał.

Konie biegły szparko wązką, wężykowatą drogą. Słońce wybijało się już w górę. Złoty błyszcz płynął falą nad niwami pszenic i jęczmionów, przeciekał w półkopki snopków żytnich, zaglądał w radlonki buraków, łamiąc się opalonym refleksem w niewypitych jeszcze kroplach rosy. Pola grały echami ziemi. W powietrzu dzwoniły skowronki, przelatywały w błyskawicznych rzutach jaskółki, dołem gędźbił szelest kłosów, pobrzęk pszczół, rozsypanych na szkarłatnym koniczynym łanie, szedł oddalony skrzyp tnących sierpów i stłumiony pogwar ludzkich głosów. Na równinie rysowały się wioska za wioską, krzyże przydrożne, stogi i sterty. Gdzieniegdzie klamry lasu odcinały się sinym cieniem od jasnego tła krajobrazu.

Tadeusz patrzył w przestrzeń, nic widząc, zagłębiony w swych myślach, nieruchomy. Czasem tylko, gdy zwisła nad drogą gałązka wierzbiny musnęła go po ściągniętej gorzkim uśmiechem twarzy, lub natrętny rój much przysiadał na policzkach, zmieniał chwilowo pozycję, pochylał się ku przodowi i znowu zapadał w zadumę.

Daremnie stary Jędrzej, obróciwszy się półbokiem, zagadywał parę razy, — Głębocki milczał, lub odpowiadał bezmyślnie: aha!, posępniejąc coraz więcej.

— Coś mu jest — mruczał stary woźnica i trochę gniewny, wywierał swe niezadowolenie, popędzając i tak ostro kłusujące kasztany.

A młodemu Głębockiemu właściwie nic nie było. Miał tylko w duszy zagadkę, nad której rozwiązaniem się silił, w jego skroniach biło tylko pytanie, na które nie znajdował odpowiedzi: „czy mu wolno burzyć szczęście rodziców dla swego? i przeciwnie: czy ma prawo sponiewierać marzone ideały, dla jakichś zacnych, lecz urojonych i nie w nim poczętych obowiązków“?

Szedł w życie za głosem przekonań, party pragnieniem wiedzy, zyskał dyplom doktorski, jego rozprawy drukowane w zagranicznych czasopismach zjednały mu poklask świata uczonego, uśmiechała się doń sława, rozgłos! marzenia sięgały nieśmiertelność! I maż-się rozwieść z tem wszystkiem!

rzucić dla gotowej po przodkach miski! dla jakiejś nieuza sadnionej tradycji pokoleń! zagrzebać się w zacisznem ognisku! gdy jemu potrzeba słońca! całego słońca!

— Bo o co właściwie chodzi? — rozmyślał. — O ten szmat rodzinnej ziemi? Toż go i tak nie rzucę! O sławę imienia? O obowiązki społeczne? Lepszą, szerszą ku temu wybieram drogę, od tych przy granicznych kopcach kończących się ścieżek!

I uśmiechał się gorzko i buntował, trąc gęstą blond czuprynę, i miękł znowu po chwili, rzucając smętnem wejrzeniem siwych oczu przed siebie.

Bo mimo wszystkiego, coś w nim szeptało żalem, odzywało się lękliwie, kołatało do wezbranego serca.

Tymczasem drogi ubywało. Pojazd toczył się teraz wzdłuż nizinnej polany, pełnej gwaru ludzkiego. Kilkunastu kośników cięło żyto, kilkanaście dziewcząt odbierało garście, przyśpiewując skocznie. Pole było pełne snopia.

W Tadeuszu obudził się esteta. Przypomniały mu się widywane po galerjach obrazy Chełmońskiego. Wychylił się z pojazdu.

Jedna z dziewczyn, przegiąwszy się w tył, próbowała na okrytych koszulą piersiach mocy powrósła. Ujrzawszy jadących, wyszczerzyła zęby, pokłoniła się dłonią do ścierni i z niewinną zaczepką zaczęła nucić:

Dana! moja dana!
Nie pójdę za pana!
Jeno za takiego,
Jako i ja sama!

Tadeusz pokręcił wąsa, uśmiechnął się. Jędrzej pogroził z kozła biczem.

— Drzyj się! drzyj!—mruknął, spojrzawszy poza siebie. A widząc rozjaśnioną twarz Głębockiego, spróbował znowu nawiązać rozmowę.

— Ale żyto tęgie! snop na snopie! — przemówił, zwalniając biegu koniom, ile że droga teraz z nizinnej przełęczy zaczynała się piąć stromiej ku pagórkowatemu wzniesieniu, górującemu nad całą okolicą.

— Ładne. Ale za granicą, w Niemczech, bywają lepsze— odpowiedział Tadeusz od niechcenia.

— A to bez cóż miemcy do nas lizą, skoro u nich lepiej — podchwycił rad pogawędce stangret,—jak, niedaleko szukając, ten w Czarnowodach?... Podkupił Toporskiego pana, co ano teraz na kolei naczelnikiem, i zwiózł się z żoną i córkami...

— Jak się nazywa?

— Jakoś smyśnie! Psiburg! Ten sam, co to w cukrowni w Łękach był przed laty derektorem. Wielmożny pan musi go pamiętać, bo bywał czasem w naszym dworze, a potem się wywiózł gdzieś daleko, gadali ludzie, że za Kijów, i znowu wrócił... Tak mi się widzi, że Psiburg się nazywa — dokończył.

— Może Pitzburg? — spytał Tadeusz żywo.

— To... to! to!

— A... to go znam, nawet dobrze. Dawno kupił Czarnowody? — dopytywał się w dalszym ciągu Głębocki.

— W Zielone Święta minął rok, jak się sprowadził.

— I tu mieszka stale?

— A ino! Pokoje wyrychtował galante. W ogrodzie pobił stawy, gorzelnię wystroił na dwa zaciery... I mieszkają.

— A pani?

— I pani i dwie córek także. Bywają w naszym kościele co niedziela.

Tadeusza prawie ucieszyła ta wiadomość. Z Pitzburgami spotkał się przypadkowo za granicą i zaznajomił bliżej. Żyli wystawnie, w Berlinie podczas karnawału dawali bale, na których bywała młodzież polska. Pani lubiła się bawić i mówiła wcale dobrze po polsku. Nie spodziewał się ich mieć sąsiadami o miedzę, choć teraz przypomniało mu się, że pan Pitzburg nosił się z zamiarami nabycia dóbr w Królestwie Polskiem i poczynił odpowiednie kroki o przyjęcie poddaństwa.

— Wpadnę do nich. Przypomnę się — pomyślał i, jakby go ta myśl pochłonęła, zamilkł.

Ale Jędrzej, kontent, że mu się udało panicza rozgadać, nie dał za wygranę.

Wyjechali właśnie na sam szczyt pagórka, z którego roztaczał się daleki widok na całe wylane słońcem zagłębie.

— Ano i nasze Głębokie już widać—odezwał się wesoło, wstrząsając lejcami i ukazując biczem na ciemniejszy punkt zieleni, z którego przebłyskiwała blaszana kopułka sygnaturki. Konie ruszyły wyciągniętym kłusem, odległość między kępami drzew a toczącym się pojazdem malała. Po chwili rozróżnić można było pojedyncze gatunki drzew, wieńczących Głębokie. Ciemne wieżyce świerków przegradzały jaśniejsze korony lip kwitnących, nad grabowym żywopłotem kołysały się rózgi brzóz, kilka modrzewi wznosiło w różnych punktach dumne czoło, olbrzymie białodrzewie migotały srebrnym liściem, a rząd topoli wybiegał aż hen poza wiejskie opłotki.

— Już i dwór widać — przemówił Jędrzej, paląc z bata.

Tadeusz poruszył się na siedzeniu. Serce zabiło mu żywiej. Chciał zapanować nad ogarniającem go wzruszeniem, więc spytał:

— Państwo zapewne w domu?

— Jeszczeby! Toć pan starszy i pani starsza już od świtania pewnikiem na nogach, a chodzą, a wyglądają... A panienka to w nocy wpadła do stajni, z przykazaniem, żeby zaprzęgać...

— Jaka panienka? — przerwał zdziwiony Tadeusz.

— A panna Brońcia...

Imię to nic nie mówiło Tadeuszowi, próżno szukał w pamięci, a na dalsze pytania nie było już czasu. Jędrzej palnął znowu z bata, kasztany parsknęły i ruszyły cwałem przez otwartą bramę pod stary o podwójnym dachu i białych ścianach dwór.

Od ganku rozbrzmiał cienki, radosny głosik:

— Jedzie! jedzie!

Na okrzyk ten, któremu zawtórował Jędrzej parokrotną palbą z bata, zaroiło się przed dworem. Na ganek wypadł wyrostek w piaskowej liberji, w bocznych drzwiach przystawki stanął kuchta w białym fartuchu, kilka dziewek, zajętych pieleniem gazonów, zaświeciło ciekawemi oczyma.

Tadeusz objął okiem dwór i ludzi, i wzrok jego, natrafi-

wszy na przezierającą przez obrosłe winem kraty werendy błękitną sukienkę, zatrzymał się dłużej.

— To pewnie ta Brońcia. Ale kto ona? — pomyślał. W tej chwili dojrzał rodziców. Wybiegli obydwoje: ojciec z odkrytą głową, z półotwartemi do wołania ustami, matka z kreślącą w powietrzu znak krzyża dłonią.

Zadrżał, krew uderzyła całą falą w serce, głusząc rozlane po piersiach echa i, nim wstrzymana czwórka zaryła kopytami, wyskoczył z pojazdu.

Leciał jak ptak z wyrajowej wędrówki do gniazda.

Czworo rąk objęło go uściskiem, nad głową zaczęły dzwonić dawno niesłyszane serdeczne głosy, pieszczota lgnęła do drżących warg, gładziła pulsującą skroń, dobierała się pocałunkiem do oczu, do pokraśniałej wzruszeniem twarzy.

— Oj ty! ty! wróciłeś przecie! wróciłeś! — wołał stary Głębocki, przyciskając raz po raz syna do serca.

— Niech ci się przyjrzę! Tadziu! Tadziu! — szeptała matka, ujmując oburącz synowskie policzki i patrząc mokremi oczyma tuż tuż w drogie źrenice, przylepiając się do ust, które niegdyś własną karmiła piersią.

I stali tak czas długi w słońcu i szczęściu, z rozpłakanem z radości sercem, owiani czarem, co się między nimi trojgiem rozpłynął. Bo i w piersi Tadeusza nie było teraz nic prócz kojącej tkliwości, nic prócz serca.

I zaczęli iść zwolna pod dach. Głębocki popychał z lekka syna na przód.

W odrzwiach sieni mignęła znowu błękitna sukienka. Tadeusz odruchowo przyśpieszył kroku.

— A... a... nie znasz! — zauważył równocześnie Głębocki.— To Brońcia ciotki Karoli, blizka nasza krewniaczka... Wypada matce siostrzenicą z ciotecznych... Drapnąłeś za góry, za lasy... wzięliśmy dziewczynę, bo nam było pusto.

— Ciotka Karola dwa lata temu skończyła życie. Została sierota — dodała półgłosem matka, a Głębocki, wyprzedzając teraz syna, jął wołać:

— Figa! Głowieńka! A chodźże! Z rana fikałaś kozły, a teraz się chowasz! Jest już Tadeusz! jest! Zobaczysz zamorskiego krewniaka. Bronisia!

Zrobił nagle szybki ruch ręką i pochwycił za trzymające się dębowej futryny paluszki dziewczęcia.

— Wujaszku! — zapiszczała.

— Złapali wilczka! — zaśmiał się Głębocki, ciągnąc trzepoczące się stworzonko.

I oczom Tadeusza ukazała się maleńka postać jakby skier pełna. Paliły się przymrużone z lekka piwne oczy, świeciły rubinowe usta, połyskiwały zaciśnięte z filuternym grymasem ząbki, — z hebanowo czarnych na pozór włosów płynęła niby rozświetl złota, jak z rozlanej nad zwęglonem zarzewiem łuny.

Tadeusz, któremu matka szeptała na ucho o ostatnich chwilach ciotki Karoli Lipskiej, wpatrzył się z zachwytem.

Dziewczyna chwyciła to spojrzenie, i wyrwawszy się z okrzykiem: „Ej! niedobry Wujaszek!"—przebiegła do ciotki, szeleszcząc błękitną sukienką; rzekłbyś świetlane zjawisko, z lazuru nieba wykrojone, z gwiazdą promienną nad czołem. Przytuliła się do Głębockiej, dzwoniąc nerwowo trzymanymi w alabastrowej piąstce kluczykami. Pierś jej falowała szybko, na gładkim staniku rysował się każdy kształt kibici, oczy płonęły jeszcze silniejszym blaskiem, patrząc z udanym wyrzutem ku starszemu Głębockiemu.

Ten zaś, trzymając się jedną ręką za podbródek, a drugą gestykulując żywo, mówił z żartobliwie uśmiechniętą twarzą:

— Oto jest mój syn Tadeusz herbu Latawiec, a to panna Bronisława Lipska, nazywana inaczej „figą" i „głowieńką". Bo to małe, że można w kieszeń bonżurki schować, a pali się jej na głowie, w głowie i wszędzie! Podwyższyłem składkę asekuracyjną, bojąc się, że jak kiedy do śpichrza po poślad wpadnie, to całe gumna z krestencją pójdą z dymem!

Roześmiał się serdecznie, dodając:

— Co nie przeszkadza, że ją kocham prawdziwie i ładnego chłopca znaleźć jej muszę, bo smyrda bardzo miła i dobrą kawę robi.

Tadeusz zbliżył się z ukłonem.

— Serdecznie się cieszę z poznania kuzynki. Choć powinienem się pogniewać....

— Za co? Dlaczego? — rzuciła żywo, podając mu rękę.

On zaś, zatrzymując drobne paluszki dłużej nad potrzebę, mówił:

— Gdybym wiedział, że mój przyjazd nastraszy kuzynkę, byłbym wolał...

— Właśnie, że nie. To tylko wujek... — ćwierknęła.

Wstrząsnęła głową, przechylając ją na ramię, tak, że fala włosów objęła pokraśniałą szyjkę.

— Ale tybyś pewnie co zjadł? — przerwała z zakłopotaniem Głębocka — Moja Bronisiu!

Dziewczyna spojrzała jeszcze raz z pod oka i w lekkim podskoku wybiegła.

— Piękna jest—szepnął Tadeusz do siebie, myśląc głośno.

— Co mówisz? — zagadnął Głębocki, postępujący obok syna i, nie czekając odpowiedzi, gawędził.

— Ładne to i dobre! Przywiązaliśmy się do niej, jak do rodzonej córki. A już ją nam chcą porwać... Właśnie przed paru dniami prosił mnie o pozwolenie starania się o rękę Brońci niejaki Wilkosz, dzierżawca z Rybnego... Nie znasz, bo tu u nas teraz w okolicy coniemiara nowych figur... Ale Wilkosz wyjątkowo porządny człowiek. Otóż dobrze się stało, żeś przyjechał, bo gdyby przyszło do czego, trzebaby zawsze dziewczynie dopomódz, a nie chciałbym bez ciebie nic poczynać — dokończył z naciskiem.

Tadeusz z niemym protestem na twarzy pocałował ojca w ramię.

Weszli do stołowego pokoju.

Na stole, zastawionym suto półmiskami z szynką i pieczenią, różnego rodzaju salaterkami i spodeczkami, kłębił się samowar, przy którym, z zakasanymi nieco rękawkami u stanika, stała „głowieńka".

— Siadaj że, Tadziu! — nagliła Głębocka. — Może najpierw szynki lub cielęciny, zanim kurczęta podadzą? Co wolisz?

— Dobrze, mamo! Dam koncert, bom istotnie głodny.

— A może, po staremu, napijesz się wódki? — zaproponował Głębocki, sięgając po kryształową karafkę.

Nalał w srebrny kubek.

— W twoje ręce!

Wypił i podał synowi.

Tadeusz, pijąc, przechylił nieco w tył głowę. I wzrok jego padł na zawieszony wokół ściany rząd portretów rodzinnych, zatrzymując się dłużej na wizerunku, wyobrażającym młodego mężczyznę w czamarze. U jednego szczytu płótna, pod ramą, świecił czerwonem polem klejnot Głębockich, w drugim pomysłowy malarz pomieścił podobiznę pługa, otoczonego kłosami.

— Dziady! pradziady! — przemówił starszy Głębocki. — A ten w czamarze—objaśniał—to dziadek twój, Tadeuszu, a mój ojciec... Odumarł nas młodo i na obczyźnie. Ten portret zrobiony przed jego wyjazdem z Głębokiego. Miał przeczucie, że nie wróci więcej. Jedyna to pamiątka te rysy...

Westchnął.

Tadeusz siadł za stół, machinalnie biorąc z przysuwanego mu przez matkę półmiska. Ogarnęło go jakieś przygniatające zamyślenie. Jadł chciwie.

— A wiesz co?—zauważył po chwilowej przerwie, spoglądając to na portret, to na syna Głębocki — żeś ty ogromnie podobny do dziadka. Toż samo czoło, oczy...

— Tylko wąsy pana Tadeusza większe — zawtórował dźwięczny głosik Brońci.

— Ej! figa! bo usłyszą w Rybnem — pogroził znacząco stary Głębocki.

Dziewczyna spłonęła i zaczęła raptownie czegoś szukać w jesionowym kredensie.

Tadeusz uśmiechnął się nieznacznie, przerywając jedzenie.

Lokaj wniósł półmisek kurcząt.

Głębocka zerwała się żywo z krzesła.

— Dalibyście pokój tej rozmowie! Niechże zje pierwej! Tadeczku, spróbuj-no.

Wybrała najsmaczniejszy kąsek i położyła mu na talerz.

Ale w chwilę potem sama zagadnęła:

— A opowiedz-że co o sobie, Tadeuszku! Tyleśmy cię czasy nie widzieli! Tyle czasy! Cóżeś porabiał? jak ci się wiodło? Ja twoje listy schowałam wszystkie i czytywałam sobie...

I znowu matczyne wargi dotknęły synowskiego czoła.

— Długo bawiłeś w Anglii? — spytał Głębocki.

— Blizko dwa miesiące. Zwiedziłem wiele instytucyj publicznych, zaznajomiłem się z tamtejszymi stosunkami agrarnymi...

— Konie ładne mają? Prawda?

— Byłem na wyścigach w Epsom...

— A jakże ci się nasze kasztany wydały?

— Doskonale chodzą!

— Mamy i czwórkę młodych.

Tak zawiązana pogadanka toczyła się teraz strumieniem wykrzykników, pytań i odpowiedzi.

Tadeusz rozgrzewał się stopniowo. Głos jego, dotychczas załamujący się niekiedy, brzmiał swobodnie, oczy pozbyły się przezierającej z głębi zadumy.

Opowiadał o Anglii, o Berlinie, o kolegach, z którymi się przyjaźnił, o znajomościach w świecie naukowym i próbach swego pióra.

— Kilka rozprawek — mówił — wydrukowałem w „Rocznikach Akademickich", kilka artykułów w czasopismach, a jedną większą mą pracę „Średniowieczne prawo dzierżawne" wydało nawet swym nakładem „Towarzystwo ekonomiczne"...

Zasłuchana Głębocka wtłoczyła zachwytu pełne oczy w twarz syna.

— Średniowieczne... Tyś napisał? I oni wydrukowali swoim kosztem? — wykrzyknęła, oddychając głęboko z podziwu.

— Tak, mamo — odrzekł.

Było mu przyjemnie. Powiódł rozjaśnionym wzrokiem po otoczeniu. Na skraju stołu skrzyżowało się jego wejrzenie z drugiem, sypiącem skrami, i utonęło na chwilę w rozchylonych rozkosznie usteczkach.

Ojciec bębnił jakiegoś marsza i chlipał wargami. Tadeusz dojrzał łzę pod siwiejącą rzesą. Zerwał się z krzesła.

— Ojcze! — szepnął cicho.

Ten zaś chwycił dłoń syna, potrząsnął nią z całej siły i rzekł wzruszonym głosem:

— Oj ty! ty! widzisz! Beczałem po kątach, żeś nie wracał, a teraz znowu beczę żeś nam takim wrócił!

— A widzisz! a widzisz! — szepnęła, ocierając oczy Głębocka.

Przez uchylone okno silniejszy powiew wpłynął z echem wracających od zwózki na południe fornali.

Jeden z porobczaków przyśpiewywał:

— „Ej niema to, niema
Jako chłopu na wsi...

— Dokończ, „figa!" — zażartował z siostrzenicy promienny radością Głębocki.

— Kiedy nie umiem! — odcięła i frunęła do drugiego pokoju.

ROZDZIAŁ II.

Miesiąc ubiegał od powrotu Tadeusza.

Pora była poobiednia, półodwieczerz.

W zacisznym, z pewnym wykwintem urządzonym pokoiku siedział młody Głębocki, z głową nieruchomie zwieszoną ku piersiom.

Twarz miał ogorzałą, czerstwą, ale w oczach rozstrój i czoło pokryte chmurą. Przed nim na biurku leżało kilka świeżo z poczty przywiezionych listów. Wszystkie były od kolegów.

Wziął do rąk jeden, energicznem męskiem skreślony pismem. Odczytał powtórnie.

— Poczciwy Lucek! Co on sobie o mnie pomyśli — szepnął półgłosem. — Muszę mu zaraz odpisać.

Odsunął rozrzucone koperty, przybliżył kałamarz, teczkę z papierem. I znowu zamyślił się. Wreszcie wstał i zaczął chodzić dużym krokiem, poświstując przez zęby. Chwilami przystawał w oknie i rzucał okiem w szeregi drzew owoco-

wych, szemrzących z cicha zwisłemi gałęziami, przez które przeginało się złotymi prętami spadłe już za wierzchołki słońce.

Pod jedną z jabłonek stała Bronia z sosnowym kijkiem w ręku.

Widział ją, ale zwykły uśmiech nie wykwitł mu na twarzy.

Przeciwnie, widok kuzynki budził w nim teraz jakieś cierpkie myśli. Parokrotnie odchodził niecierpliwym krokiem w głąb pokoju i znowu wracał z coraz bardziej zachmurzoną twarzą.

„Głowieńka" otrząsała trzymanym kijkiem jabłka, podskakując przytem w górę, jak sprężyk. Rozsypane w nieładzie włosy migały przy spotkaniu z słońcem, niby płomyk, silniejszym podmuchem wiatru uniesiony z sobótkowego ogniska. Czasem kładła strącony owoc do postawionego na darninie koszyczka, czasem przystawała z podjętem jabłkiem w ręku, zamyślając się na chwilę.

— Bezwiednie bawi się w Ewę — mruknął Tadeusz niechętnie. Przesunął dłonią po czole.

— Trzeba Luckowi odpisać — powtórzył znowu z mocnem postanowieniem i, nie zwlekając, zasiadł przy biurku.

Po chwili w zacisznym pokoiku rozległ się skrzyp energicznie prowadzonego pióra.

„Kochany Lucku! — pisał. — Zapewne dziwi cię moje milczenie i oburzony jesteś, że wbrew solennemu przyrzeczeniu ani Tobie, ani Przystawskiemu, ani Józkowi Ziembie nie dałem znaku życia. Ciekawyś przyczyny? Niema żadnej. Po prostu nie miałem się czem podzielić z Wami. Przyjechałem do Głębokiego i siedzę... Między ojcem a mną nie przyszło dotąd do stanowczej rozmowy. Ja czekam odpowiedniej sposobności, a ojciec — zauważyłem — unika wszystkiego, coby nasunęło jakikolwiek wątek do postawienia kwestji jasno. Traktują mię dotąd jako miłego gościa, a i ja się za nic innego nie uważam. Siedzę i czekam — bo zrozumiesz pewnie, że w takich warunkach trudno, aby pierwsze słowo z moich ust padło. Mówcie co chcecie, ale źrenice rodzicielskie, bądź-co-bądź, ciążą na sercu... i przyznam Ci się

otwarcie, kochany Lucku, że postępowanie ojca pełne delikatności krępuje mię niepomiernie. Nie obawiam się starcia— ale niechby przyszło samo, nie przyśpieszone przeze mnie. Upewniam Cię, że przekonania moje nie uległy żadnej zmianie, przeciwnie, ugruntowały się jeszcze silniej... Jabym tu żyć nie mógł! to inny świat! nie mój! inny! Ale,—widzisz, mój Lucku, nie mogę obcesowo postępować — byłoby to poprostu okrucieństwem względem dwojga tych starych, którym tyle zawdzięczam. Czekam tedy, trzymając się tylko odpornie do czasu, ale do czasu tylko, bo na jesieni bezwzględnie wyjeżdżam. Ujrzycie mnie zatem niebawem. Cóż ci więcej donieść? Pędzę żywot sybaryty. Jem za trzech, sypiam jak suseł i nudzę się. Ojciec mimochodem zaznajamia mię ze sprawami majątkowemi, często w różnych okolicznościach odwołując się do mego zdania. Rozumiem jego chęci. Pragnie dać przez to do poznania, że schodzi z posterunku. A p r o p o s... „Posterunek" jest najulubieńszem wyrażeniem ziemiańskiej sfery. Szpikuje się niem przy każdej sposobności sąsiedzką pogawędkę. To inny świat, mój Lucku! nawet dla mnie, dla nas, cośmy przecie z tegoż gniazda wybiegli, często niezrozumiały. Poznałem bliżej okoliczne obywatelstwo. Ojciec obwiózł mię po sąsiedztwie. Przyjmowano mię otwartemi rękoma, a nawet na jednem z zebrań dano wyraźnie do zrozumienia, że w najbliższym czasie mogę liczyć... zgadnij, na co? na mandat radcowski! Wyobraź sobie moje położenie! Musiałem dziękować za to niespodziewane zaufanie, a w duszy...

Ojczysko był w siódmem niebie. Rzecz to naturalna — bo trzeba Ci wiedzieć, że w poczciwości swej radcostwo z wyboru uważa ze promień sławy, który tylko na wyjątkowe głowy paść może. Zresztą wszyscy oni jednacy. Wszystkim się wydaje, że posiadany zagon—to po dawnemu „Śpichrz Europy", że praca prawdziwie obywatelska na nim się zaczyna i na nim kończy.

Nie sądź jednak, żeby to byli ludzie bez wykształcenia, bez szerszych na świat poglądów. Poza tym ćwiekiem uznają wszystkie czynniki kultury i rozwoju — tylko stawiają je w takiem oddaleniu od tego „talizmanu" wszelkiego dobra

i szczęścia, że, w ich przekonaniu, kto ma ziemię, nawet okiem w inną stronę rzucić nie powinien.

Nie będę ci wyliczał zawartych znajomości — choć spotkałem typy ciekawe, — mam bowiem nadzieję, że w przejeździe do Wiednia wpadniesz choć na dwadzieścia cztery godzin do Głębokiego. Byłbym bardzo rad. Poznałbyś przy tej sposobności, prócz zrosłych z ziemią poczciwców, takiego n. p. pana Prota Dukwicza, co, choć od lat trzydziestu w tej okolicy osiadł, w rozmowie co drugie zdanie wtrąca: „u nas, panie, w Oszmiańskiem", lub takiego Teosia Starykoń-Rodowskiego, rodzaj parafialnego rastaquère'a, noszącego jaskrawe krawaty, palącego makaroniczne mówki, chorującego na powiatową wielkość, a w gruncie rzeczy nieszkodliwego psychopatę. A nadewszystko... Malujesz pewnie jak dawniej? Otóż mam dla Ciebie makartowski model! Dziewczynę z płonącą głową! Rodzice wzięli do domu kuzynkę, Brońcię Lipską. Śliczne stworzonko! takiego koloru włosów, jak żyjesz, nie widziałeś! bronz! Nazywają ją „Głowieńką". Jestem z nią bardzo dobrze, choć staram się trzymać z daleka, dla łatwo zrozumiałych przyczyn. Zresztą ogromnie „swego chowu" i nadto dziecinna. Ale... ale! o mało nie pominąłem najważniejszej nowiny. Wiesz, kogo mam w sąsiedztwie? Panią Emmę Pitzburg. Kupili poblizkie Czarnowody. Byłem u nich dwa razy. Pani jeszcze wyładniała, służy jej powietrze wiejskie, utyła nieco i jest jej z tem lepiej. Przyjęła mię jak dobrego przyjaciela, w rozmowie wspomniała i o Tobie, prosząc, abym ci przesłał ukłon.

Ot! i rozpisałem się! ale czas kończyć, bo posłaniec na pocztę czeka. Ściskam Was wszystkich serdecznie! miejcie mię w pamięci i oczekujcie powrotu Waszego Tadka.

Twój, Lucku, od serca..."

Podpisał list. Poczem skreślił jeszcze maleńki przypisek:

„Na zjazd koleżeński chętnie się zgadzam i proszę Cię, Lucku, podpisz okólnik w mojem imieniu. Składkę półroczną na „Przędzę" przesłałem Ziembie przekazem na Bank Handlowy".

Włożył list w kopertę, zaadresował: „Wielmożny d-r Lucjan Opecki, Berlin" i odetchnął głęboko. Doznał pewnej ulgi, wywnętrzając się przed przyjacielem.

A wszystko, co napisał, było prawdą. Młody Głębocki dokładnie zestawiał swoje myśli z pragnieniem ojca, i ta świadomość właśnie była źródłem rozterki i przygnębienia, którym w chwilach samotności nie stawiał oporu.

Ale teraz uspokoił się znacznie. Powstał i z listem w ręku skierował się ku drzwiom, w zamiarze wyprawienia posłańca.

W progu spotkał się z ojcem.

Stary Głębocki, wygolony, w czarnym tużurku, patrzył zdziwionym wzrokiem na syna.

— A... a... Szukałem cię wszędzie... Ale tyś, widzę, jeszcze nie ubrany?... A tu wielki czas do Boczkowskiego. Przysyłali drugi raz umyślnie z zaproszeniem. Bardzo miły dom. Będzie większe zebranie. Do Boczkowskiego, jako do prezesa, zjeżdżają dziś wszyscy członkowie naszego „kółka ogniowego"...

Tadeusz zakłopotał się.

— Na śmierć zapomniałem... Pisałem listy — przemówił w tonie tłómaczenia się. — Ale się zaraz zbiorę. Za pięć minut będę gotów. Tylko listy...

— Daj. To ja tymczasem wyprawię Jaśka na pocztę.

Tadeusz podał list i jął się z pośpiechem przebierać.

Jakoż w parę minut wyszedł ze swego pokoju, ubrany po wizytowemu.

Konie już zaszły. Na ganku oczekiwał ojciec z matką.

— Bawże mi się dobrze! — szepnęła pani Głębocka, obejmując sprężystą postać Tadeusza spojrzeniem, macierzyńskiej dumy pełnem.

— Bawże mi się dobrze! — powtórzyła, pocałowawszy go w czoło, szepnęła na ucho niedosłyszalnych słów kilka.

Tadeusz uśmiechnął się przymusowo.

— Ani mi to w głowie!

— Co ci nie w głowie? — spytał Głębocki.

— Ej! nic... nic — zagadała coprędzej Głębocka, ukazując ręką znacząco w stronę ogrodu.

Spojrzeli wszyscy.

W cieniu drzew przechadzała się „Głowieńka" miarowym, sztucznym krokiem. Dygała przed szczepami, chwytała niżej zwieszone gałązki, potrząsała niemi, jak dłonią na powitanie, szczebiocząc przytem na różne tony: „Bardzo mi przyjemnie!" „Serdecznie się cieszę z poznania"... „Bardzo miły młody człowiek".

— Co ten trzpiot wyprawia?—przemówił Głębocki, uśmiechając się pod wąsem, do żony.

— To jeszcze takie dziecko!

Tadeusz uśmiechnął się również, ale odczuł, że w tych wykrzyknikach pod osłoną żartu brzmiał jakiś przekąs, że dziecinna pustota była tylko pokrywką czegoś, co z udaną wesołością nic wspólnego nie miało.

Różne przypuszczenia przesunęły mu się przez głowę. Wybrał najprawdopodobniejsze i rzekł, zwracając się do matki:

— Szkoda że panie nie wybrały się razem z nami.

— Kiedy tam dzisiaj będzie przeważnie męskie towarzystwo...

— A co to szkodzi?—rzucił.

Głębocka spojrzała na syna badawczo. Ten zaś bezwiednie spuścił oczy i jął podsadzać ojca do faetonu.

Ruszyli.

W drodze zagadnął nagle starszy Głębocki:

— U Boczkowskich spotkamy pewnie Wilkosza. Może coś z tobą o Broni... tego... Ja... niby... nie miałbym nic...

I urwał pytająco.

— Dobrze — odparł Tadeusz sucho.

Jechali czas jakiś w milczeniu.

Zmierzch już padał. Pola oblewał fioletowy mrok, toczący się po płachtach ściernisk, po redlinach podorywek, z których wiał chłód przyjemny i zapach świeżo ruszonej pługiem ziemi. Na stojących jeszcze gdzieniegdzie pasmach późnych jarzyn tarzały się jaskrawe promienie zachodu. Melancholijną cichość wieczoru przerywał tylko tętent kłusujących koni i turkot toczącego się pojazdu.

— Będziemy trochę późno — zauważył stary Głębocki. — Ale mniejsza o to! — dodał głośniej i w widocznym zamiarze nawiązania rozmowy ciągnął:

— Boczkowscy to nawet nasi dalecy krewni. Sam radca zacności człowiek! prawość chodząca. Zresztą poznałeś go już. Pani trochę przesadna, trochę arystokratka, nadaje sobie tony, ale... Mają na to, ludzie zamożni. Majątek czysty i tylko dwie córki. Starsza, Helka, skończyła właśnie „Sacré coeur“ i jest w domu. Ładna, wykształcona panna...

Mówił od niechcenia, ale mimo to z pewnym na niektórych wyrazach naciskiem, a równocześnie spoglądał ukradkowo na Tadeusza. Ten miał wyraz twarzy obojętny. Palił papierosy jednego po drugim i słuchał, nie przerywając. Na wzmiankę o pannie poruszył się niecierpliwie. Stary Głębocki wziął ten ruch za objaw zaciekawienia i gładził wąsa zadowolony.

Stanęli wreszcie u celu.

W oświetlonych rzęsiście oknach dworu rysowały się sylwetki zebrania. Na ganek wybiegł gospodarz, a z nim kilku jeszcze mężczyzn, pomiędzy którymi Tadeusz rozpoznał z łatwością uśmiechnięte policzki Starykoń-Rodowskiego, olbrzymią łysinę pana Dukwicza i paru jeszcze znajomych mu już ziemian. Starykoń przesyłał mu ukłony ręką, a gospodarz wyściskawszy obu przybyłych z okrzykiem: „Jesteście przecie! a już im moja pani głowę myła“ — wiódł do wnętrza, gdzie ująwszy młodego Głębockiego pod ramię, zaprezentował najpierw żonie, a potem kolejno męskiemu towarzystwu.

Tadeusz, słysząc zewsząd: „serdecznie się cieszę!“ „bardzo mi przyjemnie!“ uśmiechnął się mimowoli, przypomniawszy sobie „takie dziecko“ i niedawno widzianą scenę w głębockim ogrodzie. Staremu Głębockiemu ten uśmiech, którego prawdziwej przyczyny nie zgadywał, był bardzo na rękę; obawiał się bowiem, aby napadające dość często Tadeusza zasępienie nie było poczytanem na wstępie za przymus lub niechęć.

A właśnie w drzwiach saloniku ukazała się panna Bocz-

kowska. Na chwilę przycichł poszmer toczonej rozmowy. Kilku mężczyzn ruszyło się z miejsc swoich.

Nieodstępnie towarzyszący synowi Głębocki szepnął:

— Helenka!

I jednocześnie z Tadeuszem posunął się żywo ku wiotkiej, o szaro-niebieskich oczach szatynce, która, w jasnej powłóczystej sukni na tle orzechowych odrzwi, robiła całą postacią wrażenie obrazu, symbolizującego tęsknotę. Twarz jej blada, o rysach niezmiernie delikatnych, miała w wyrazie jakąś myśl smętną, w głębokiem wejrzeniu tlił niby pościg za czemś nieuchwytnem, udzielający się i długim rzęsom i całemu rysunkowi czoła. Nie była piękną, ale w każdym razie niepowszednią.

Na ukłon Tadeusza i zwykły powitalny frazes, odpowiedziała podaniem drobnej, wązkiej ręki, poczem pochyliła skroń ku staremu Głębockiemu, który też bez ceremonii pocałował powleczony siatką żyłek kącik raz i drugi.

I zaczął wesołym tonem:

— Żeby mi tak ze trzydzieści lat ująć! oj, Helka!

Panna Boczkowska spłonęła z lekka, ale natychmiast odzyskała dystyngowaną swobodę.

— Myśmy już nieco znajomi z sobą — zwróciła się do Tadeusza.—Czytałam jedną z prac pańskich.

Wymieniła tytuł.

Tadeusz podziękował ukłonem. Trochę dziwnem mu się wydało to „oczytanie" kilkonastoletniej panny, uważał jednak za stosowne przypomnieć ze swej strony, że łączy ich również wspomnienie spędzonych razem lat dziecinnych.

— Ja przynajmniej pamiętam i owe lipy, pod któremi bawiliśmy się w „krycie", i nianię Agatę i pannę...

Zastanowił się.

— Moją siostrę Tecię!—dopowiedziała.—Tydzień temu byłby ją pan jeszcze zobaczył, lecz ferje już się skończyły i wyjechała z ciotką Liną. Przyjedzie na Święta Bożego Narodzenia.

Tadeusza uderzył miły dźwięk jej głosu, stłumiony nieco, niemetaliczny, lecz mimo to niezwykle miękki, pieściwy i jakby do przyjacielskich zwierzeń nawykły.

— Musi być dobra i spokojna — pomyślał.

Tymczasem towarzystwo, podzieliwszy się na kółka, wiodło ożywioną rozmowę. Odgłos jej przyniósł Tadeuszowi i kilka pochlebnych wygłoszonych o nim uwag i całą gamę wykrzykników różnej treści.

Odwrócił się półbokiem.

Rozprawiano z ożywieniem, na środku saloniku, we framugach weneckich okien. Na krytej adamaszkiem kozetce siedziało kilku starszych, obok stał pan Teofil Starykoń-Rodowski, młynkujący monoklem i spoglądający od czasu do czasu w duże, o złoconych ramach lustro.

Mówił o czemś donośnym, nosowym głosem. Wyrazy: „tani kredyt", „solidarność", „viribus unitis", „pradziadowski zagon" rozbrzmiewały po całym salonie.

W drugiej grupie pod oknem rej wodzili pan Dukwicz i pan Joachim Tarcza, stary kawaler, długoletni sędzia gminny, siedzący po uszy w długach, bo żyrował każdemu, kto go tylko o to poprosił; mimo to zawsze w dobrym humorze i z pełnemi ustami różnych zawiesistych anegdot, zwłaszcza o żydach, których klął, na czem świat stoi, za co zaraz—o ile to w towarzystwie dam miało miejsce—przepraszał, lecz po chwili, wpadłszy w ferwor, robił tożsamo.

Teraz właśnie, opowiadając o jakimś Jojnie, sadził djabłami, lecz, spostrzegłszy podnoszącą się z krzesła panią Boczkowską, przytknął dłonią usta, co pozwoliło panu Dukwiczowi przyjść do słowa. Ten, zacząwszy swem zwykłem: „u nas, panie, w Oszmiańskiem", podniósł rękę w górę, i trzęsąc przecząco wskazującym palcem, mówił dalej przyciszonym głosem, pokaszlując, co zaledwie najbliższym pozwalało dosłyszeć treść rozmowy.

Tadeuszowi przyszły na myśl ich koleżeńskie zebrania. Stanął mu przed oczyma generalny retor Józiek Ziemba, natura krewka, zapalna, spokojny, cichy Postawski, i cięty Lucek Opecki i cały ten huczek młodych, rwących się do czynu, pełnych zapału głosów. I mimo znamiennych różnic, znajdował pewne podobieństwo, jakąś pokrewną nutę.

Odbiło się to na jego twarzy zaciekawieniem, co spostrzegłszy, panna skinęła życzliwie głową, na znak, że go

nie zatrzymuje, zwłaszcza, że teraz odezwały się przywołujące głosy:

— Panie Tadeuszu! Panie Tadeuszu! Prosimy do nas!

Wołającym był pan Boczkowski. Młody Głębocki zbliżył się pośpiesznie.

— Czem mogę służyć?

— Bo to, widzisz, mój Tadku, toczymy właśnie spór z panem Rodowskim ex re...

— Mogliby też panowie zostawić pana Tadeusza w spokoju — dał się słyszeć uprzejmy głos pani Boczkowskiej.

— O! za pozwoleniem! młodych sił nam potrzeba — zaprotestował żonie radca, — młodych! My starzy schodzimy z pola.

Rodowski chrząknął i, przerywając, rzucił potakująco:

— Na nas leży obowiązek... My to rozumiemy!

I, nie dając już radcy przyjść do słowa, zaczął sypać frazesami, cytatami ekonomicznemi, aforyzmami; powoływał się na różne powagi, plącząc przytem bezładnie Milla z Marxem, Supińskiego z Wołowskim. Wyrażenia „tani kredyt", „solidarność", „wzajemna poręka" zaczęły znowu latać w powietrzu.

Mówił dość długo, z pewnością siebie i widocznem zadowoleniem, to osadzając monokl w oku, to wyrzucając zręcznie szkło skurczem twarzy na gestykulującą dłoń.

Wreszcie porównawszy zawód rolnika do ślubnej sukni, zawsze miłej i drogiej, po paru jeszcze przenośniach i wykrzyknikach skończył przemówienie skierowanem wprost do młodego Głębockiego: „My to rozumiemy!"

Chciał przez to zaznaczyć, że uważa Tadeusza za godnego swych poglądów sojusznika.

Ten zaś z całej bezładnej paplaniny pojął jedynie, że idzie o jakieś stowarzyszenie rolnicze, czy coś podobnego. Ostatni frazes wydał mu się wprost śmiesznym. Uśmiechnął się ironicznie i z lekkim przekąsem rzekł:

— Przebywanie czas dłuższy za granicą pozbawiło mię możności decydowania o wielu sprawach miejscowych, o których tylko bliżej wtajemniczeni w stosunki krajowe właściwy sąd wydać mogą; pozwolę sobie jednak na maleńki protest, więcej określenia niż treści dotyczący. Pan Rodowski

użył wyrażenia: „ślubna sukienka“. Porównanie nie wydaje mi się trafnem...

— Jakto? — przerwał gorąco Starykoń. — Dla mnie ta ziemia—matka, stan ziemiański... jest jako...

Sapnął głośno.

— Nie przeczę! — podchwycił znowu tym samym tonem Tadeusz.—Ziemia, stan ziemiański, są bez wątpienia bardzo drogie naszym uczuciom, przekonaniom, mimo to porównanie nie wytrzymuje krytyki; gdyby zaś było właściwem, uważałbym je raczej za ujemne, niż dodatnie...

Rodowski żachnął się znowu. Towarzystwo zaczęło się teraz skupiać w pobliżu mówiącego. Stary Głębocki kręcił wąsa, oczyma zachęcając syna, aby mówił dalej.

— Przynajmniej w pojęciu, w jakiem było wygłoszone— ciągnął młody Głębocki, ożywiając się stopniowo. — I gotów jestem pod tym względem zdać się na sąd rozjemczy samych pań. Czyż która chciałaby poprzestać wyłącznie „na zawsze miłej i drogiej ślubnej sukience“?

Rozległ się tubalny śmiech sędziego Tarczy.

— Jako żywo, żadna! — wykrzyknął. — Moja siostra Nurkowska pierwsza...

— U nas w Oszmiańskiem takoż — dorzucił pan Dukwicz.

Na wszystkich ustach zagościł uśmiech, tylko Rodowski zaczął nagle patrzeć w lustro i poprawiać brylantową szpilkę w czarnym w żółtawe centki krawacie. I mruczał przez nos:

— Z takimi dyskusya niemożliwa!

Padł na kanapę, i założywszy nogę na nogę, odwrócił demonstracyjnie twarz zasępioną od rozprawiającej grupy.

Młody Głębocki, nie zważając na oznaki niezadowolenia Rodowskiego, mówił w dalszym ciągu, poważniejąc w miarę słów wygłaszanych:

— Nazwałem taki objaw ujemnym, bo zasklepianie się społeczeństw w jednej, choćby najproduktywniejszej gałęzi pracy, krążenie wokół jednej wyłącznie wytycznej, bo dobrowolne unikanie innych, licznych dróg rozwoju jest szkodliwą abdykacją, jest zrzeczeniem się tysiąca różnorodnych

czynników, z których każdy w ukształcie przyszłości ma swój wpływ i znaczenie. W organizmie społecznym, jak w ciele ludzkiem, wszystko równomiernemu rozrostowi podlegać musi; każda kończyna, każda mięśń, każda komórka ma swój cel i zadanie do spełnienia. Martwota najbłahszego z organów już jest kalectwem... Niema bezcelowości w przyrodzie i w życiu być jej nie może!

Zapalił się, głos nabrał siły i pewności.

W otoczeniu rozległ się szmer życzliwy:

— Tnie jak z książki!

— Otwarta głowa!

— Zaraz znać wyższe wykształcenie!

— Powinszować sąsiadowi — szepnął półgłosem Boczkowski, ściskając dłoń starego Głębockiego.

Ten rósł jak na drożdżach i słuchał z zapartym oddechem. Nagle rozlany na jego twarzy uśmiech zadowolenia zaczął niknąć, ściągnął krzaczaste brwi, usta rozchylił.

— My, niestety! — ciągnął Tadeusz z ogniem — popadaliśmy w ten błąd zawsze i do dziś w nim trwamy! Dość rzucić okiem na karty dziejów! dość rozejrzeć się w teraźniejszej chwili! Niegdyś krańce naszych pragnień nie sięgały poza brzeszczot szabli i lemiesz pługa! dziś...

— Dziś został lemiesz! — przerwał podniesionym głosem stary Głębocki. — Dziś został lemiesz!—powtórzył z naciskiem. — I nie ten błądzi, co tej spuścizny strzeże, ale ci... co... co... dla jakichś tam widoków o niej zapomniećby radzi... Tak, mój Tadku! — dokończył łagodniej, hamując wzburzenie.

Na krótką chwilę zapanowała cisza. Spojrzenia obecnych biegły z ojca na syna. Na twarzach odmalowało się zdziwienie i zaciekawienie zarazem. Rodowski podniósł się z kanapy, pan Dukwicz wciągnął szyję w ramiona, sędzia zaczął czegoś szukać po kieszeniach, a gospodarz pociągał z lekka za rękaw Głębockiego.

Milczenie przerwał przybladły nieco Tadeusz. Rozumiał dokładnie, że odezwanie się ojca wprost do jego zmierzało przekonań, że było pierwszem hasłem długo unikanego starcia, i momentalnie uczuł pewien lęk, chęć biernego tylko

odporu. Lecz po chwili zbiegła w serce krew zaczęła się wydobywać falą wrzącego uniesienia, młodzieńczego zapału, podniecać myśl, burzyć.

— Wybaczy mi ojciec — przemówił, siląc się na spokój, pełnym uszanowania tonem, — że będę innego zdania. Postaram się je uzasadnić...

— Ciekawym! mów! mów! Proszę...

— Prosimy! — powtórzyli inni.

— Ja naszą odwieczną kulturę rolną cenię, wysoko cenię, lecz, mimo to zamknięcie się tylko w jej ramach, skierowanie wszelkiej rzutkości społecznej, całej prężności narodowej w tę wyłącznie stronę, zogniskowanie wszystkich sił na warsztacie rolnym, uważać muszę za... objaw niepożądany.

Spojrzał przelotnie na ojca, który, siadłszy w krześle, zdawał się teraz obojętnie słuchać jego wywodów. I mówił dalej, dobierając słów, zwolna, ale potoczyście i z naciskiem przekonywającym:

— Tu nie wybór warsztatu, ale ograniczenie masowej wytwórczości ujemną odgrywa i odegrało rolę. I nie u nas, nie u nas tylko. Runęła Kartagina... oddawszy się wyłącznie handlowi... Po co zresztą daleko szukać! Spojrzyjmy na rzesze żydowskie! Czy bytowanie tego plemienia nie nasuwa przykrych refleksyj?

— Albo im to źle! — bąknął półgłosem słuchający dotąd w milczeniu pan Tarcza. — Siedzą na pieniądzach, panie...

Tadeusz uśmiechnął się z lekka.

— Ale pieniądz, panie sędzio, nie jest jeszcze rozwojem— odparł mimochodem. — Bogactwo może zadowolić jednostkę, lecz w skarbnicy społeczeństw zasobność materjalna to zaledwie okruch! Są trwalsze wiązania, podtrzymujące budowlę, silniejsze dźwignie, wspierające całość postępu... Język, literatura, sztuki! wiedza! cały świat duchowych pragnień, będących tchnieniem prawdziwego zdrowia zbiorowisk ludzkich! Kto zgłuszył w sobie te pragnienia, kto je uronił w pochodzie, ten rozbitkiem! Rozbitkami nie uczynił żydów miecz Tyberjusza... z ruin ojczystych siedzib poszedł w świat szczep zdrowy, mogący się przyjąć i rozrość na każdym or-

ganizmie... ale ów zasiany w piersiach kult kramarstwa, któremu poświęcili wszystkie swe siły i środki.

Pani Boczkowska zaczęła klaskać w ręce i wołać: „brawo!“

Młody Głębocki posłał jej głęboki ukłon i, nie przerywając, kończył z zapałem:

— Nie robię porównań, stawiam tylko przykład. Nas uwięziła rola. Chłop czy szlachcic, z jednem się tylko rodził pragnieniem. Innych nie znał i znać nie chciał. Daliśmy sobie, sami pomagając nieraz ku temu, zagarnąć handel, skwitowaliśmy z stanu mieszczańskiego, pozbawiając się koniecznej między dwoma stanami rolnymi spójni, cały przemysł powierzyliśmy obcym, często wrogim żywiołom! I co z tego, że fundament, że powierzchnia ziemi pozostała rdzennie naszą!?

Odetchnął, zbierając myśli. Powiódł wzrokiem po otoczeniu. Czuł, że słowa jego trafiają, że wywarły wrażenie.

— I co z tego? — powtórzył z większym jeszcze naciskiem.—Czyż bodaj nasze rolnictwo doszło przez to do niebywałego rozkwitu? Czyż siły tak skupione wydały plon odpowiedni!? Nie! Skrócone ramię ogólnej wytwórczości odbiło się przedewszystkiem na tej ukochanej przez nas gałęzi. Zakasowali nas ciż Niemcy, którym dobrowolnie oddaliśmy nasz przemysł, zakasowała Anglja, stanęły wyżej pobratymcze Czechy, choć tam nikt w kolebce nie rodził się rolnikiem. A stało się to właśnie przez podział społecznej pracy, nie przez jej skupienie w jednym kierunku.

— I u nas przecie w ostatnich czasach zaczęto się garnąć do handlu i przemysłu — wtrącił pan Styczyński, jeden z młodszych ziemian.

— Nie przeczę. Ale uważamy to za jakąś smutną konieczność. Wychodzą z roli nie ci, którym uzdolnienie lub chociażby środki wskazują inne drogi, lecz ci, których mus, mus do tego zniewala. Zresztą usiłowań jednostek nie można brać za jedno z dążnością ogółu. Ta, bogdajbym się mylił! nie uległa zmianie.

— To i dobrze — szepnął znowu, ale już miększym głosem, stary Głębocki.

Tadeusz zamierzał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili przecisnął się doń pan Tarcza. Ujął młodego Głębockiego za rękę i, potrząsając kordjalnie, przemówił:

— Palnąłeś nam, panie Tadeuszu, kazanie! Niechże cię uściskam! To się nazywa mówić! Przynajmniej człowiek rozumie, o co idzie — zerknął ironicznie ku Rodowskiemu.— Może to tam... nie wszystko tak czarne... Ale... wiele prawdy... wiele prawdy... Korca zboża bez żyda nie sprzedasz! Maszyny, panie! niemieckie... tego!... a my, panie! po dawnemu siejemy pszeniczkę... patrzymy, panie! w snopek... jak sroka w kość! I djabli szlachtę biorą! panie! Prawda, panie Teofilu?

Zaczepiony Rodowski, który od pewnego czasu, powstawszy z kanapy, nasłuchiwał uważnie, młynkując monoklem— spojrzał z ukosa na sędziego.

— Każdy niech za siebie odpowiada. Mogę się mylić... Jeden tylko dowód, że jestem człowiekiem — mruknął paradoksalnie.

— Kwituję z takiego człowieczeństwa — odciął sędzia, uśmiechając się. — Nie chciałbym sąsiada obrażać—dodał, — ale, dalibóg! że nie zawsze rozumiem, jak zaczniecie z partesu... tego... Co prawda, to nie grzech!

Rodowski wydął wargi, wykręcił się na pięcie, poczem z wyrazem wspaniałomyślnego zapomnienia uraz zwrócił się do Tadeusza ze stereotypowem: „my się rozumiemy“ i, odciągnąwszy go cokolwiek na bok, jął rozpowiadać o czemś z żywą gestykulacją.

Jednocześnie pan Boczkowski mówił przyciszonym głosem do starego Głębockiego:

— Wybornie się składa! Zapalny jest, tem lepiej! Upieczemy dwie pieczenie u rożna.

I, odchrząknąwszy, poprosił o głos.

— Pst! pst! prezes mówi! — rozległo się w salonie.

Uciszono się niebawem.

Boczkowski, przeczekawszy chwilę, zaczął od słów podzięki dla Tadeusza, że tak gorąco odczuwał i dobrze zrozumiał położenie i potrzeby kraju, i przytoczywszy od siebie kilka jeszcze przykładów, popierających wywody młodego

Głębockiego — ku wielkiemu zdziwieniu ostatniego — ciągnął z dyplomatyczną powściągliwością:

— Wymiana, starcie zdań nawet, jest w każdej dyskusji potrzebne i pożyteczne. Uważam przeto za dobry prognostyk dla naszej okolicy twoją w naszem kole obecność, mój panie Tadeuszu. Zbywało nam na młodych siłach, których zresztą nigdzie nadmiaru niema. My starsi nie zawsze wszystkiemu mogliśmy podołać. Często niejeden dobry pomysł nie przychodzi do skutku tylko dlatego, że wykonanie nie odpowiadało chęciom. I teraz właśnie mam na myśli zaprojektowane stowarzyszenie rolnicze; cała rzecz przewlekała się z dnia na dzień jedynie z braku dobrze opracowanego projektu ustawy. Przyjąłem wprawdzie ten obowiązek na siebie, sądzę jednak, że lepiej zrobię i utrafię zarazem w myśl tu zebranych panów, jeżeli zwrócę się o pomoc do pana Tadeusza Głębockiego i jemu redakcję przepisów przyszłej instytucji powierzę.

Co rzekłszy, objął głowę zmieszanego Tadeusza i, pocałowawszy go w czoło, dokończył:

— Proszę cię o to w mojem i wszystkich imieniu! Istotnie z nieba nam spadłeś w tej chwili!

Na te słowa najbliżsi, cisnąc się, zaczęli wołać:

— Prosimy! prosimy! Trudno o lepszy wybór!

Zaskoczonemu znienacka Tadeuszowi więcej pod wpływem towarzyskiego ugrzecznienia niż rozmysłu wyrwało się:

— I owszem! w miarę moich sił...

Zorjentował się jednak szybko, że opracowanie ustawy wymaga dłuższego czasu i, odpowiadając ukłonem na różne „serdecznie dziękujemy", urwał zakłopotany. Skupił myśl dla wynalezienia stosownej wymówki, zaczął nawet tłómaczyć nieodstępującemu go panu Boczkowskiemu, że nieznajomość lokalnych warunków, nad czem się w pierwszej chwili nie zastanowił, pozbawia go możności podjęcia się tak zaszczytnych obowiązków. Ale było już za późno. Zakrzyczano go po prostu, nie dając przyjść do słowa.

— Niema żadnego „ale"! Słowo się rzekło, kobyłka... panie tego! — huknął pierwszy pan Tarcza.

— Nie zwalniamy pana z obietnicy—dorzucił Styczyński.

— Niema dwóch zdań pod tym względem.

— To się wie! — wykrzykiwał w dalszym ciągu Tarcza.

A pan Boczkowski szeptał:

— Nie wymawiajże się, bo to na twój młyn woda.

Tadeusz zrozumiał, że uledz musi. I nie opierał się dłużej, mimo zakłopotania odczuwając pewne zadowolenie. Dziękował tylko na prawo i lewo. Otoczono go kołem, kilkanaście rąk wyciągnęło się z serdeczną życzliwością. Zewsząd dobiegał szept przyjazny. Nawet Rodowski, założywszy monokl, patrzał nań uśmiechnięty, przesyłając ręką ukłony, jakby mówił:

— A co! Zwyciężyliśmy! Możesz liczyć na moją pomoc.

Do rozbrojonego zupełnie zbliżył się teraz ojciec.

— Pobiłeś mię z kretesem — rzekł, siląc się na żartobliwość. — Wszyscy z tobą! Nawoływałeś do przemysłu, do handlu! I masz oto... zaraz stowarzyszenie...

Ostatniego zdania nie dokończył, bo mu już powstrzymywane z wysiłkiem rozczulenie przesiąkło do krtani i po policzkach zaczynały biedz łzy.

Byłby zapłakał w głos.

Szczęściem, że w tej chwili odezwał się pan Dukwicz:

— Póki co... Skoro tu jesteśmy... dobrze by było zebrać podpisy! Co z głowy, to z myśli. U nas w Oszmiańskiem...

— Słuszna! najzupełniej słuszna uwaga — potaknął gospodarz.

— Niechajże przeto prezes zarządzi...

— Zaraz... zaraz... Zatem proszę pana Rodowskiego na trzymającego pióro...

Znalazł się pod ręką stolik z przyborami i arkuszem papieru.

Rodowski, zadowolony z wyróżnienia, siadł, kreśląc zamaszyście: „Do mającego się zawiązać stowarzyszenia rolniczego przystępują w charakterze członków niżej podpisani.

d. c. n.

Ludwik Boussenard.

Dusiciele w Bengaiu

POWIEŚĆ

tłomaczyła **Eugenja Żmijewska.**

Tryumfy nielicznych Boerów nadwątlą niewątpliwie wiarę w potęgę Anglji. Tak głośne, a tak dotkliwe niepowodzenia mogą i gdzieindziej wywołać nadzieję zwycięztw i chęć do walki.

Anglja rozciąga panowanie swoje nad ogromną częścią ziemskiego koliska. Niema części świata, niema lądu większego, niema znaczniejszego morza, aby tam Anglja nie władała krajem lub miastem.

Największe jednak posiadłości Anglji—to Indje w Azji. Te najprędzej, bodaj, Wielka Brytanja utracić może, a najwięcej o nie dba. Materjalna pomyślność Anglji w dużym stopniu zależy od panowania w Indjach.

Interesująca powieść „Dusiciele w Bengalu", roztoczy przed czytelnikami obraz istniejących tam stosunków. A świat to ciekawy, pełen grozy i tajemnic.

Wódz Tugów.

ROZDZIAŁ I.

Szczęśliwa rodzina. — List. — Na przedmieściu Kalkuty. — Major Lennox, książe Richmond. — Szlachectwo i ubóstwo. — Fortuna stracona i odzyskana. — Dwadzieścia pięć miljonów franków. — Straszne skutki chwili uniesienia. — Pchnięcie nożem.

Ciężkie drzwi dębowe otworzyły się po cichutku, i służąca europejka weszła do jadalnego pokoju z tacą w ręku.

Trzy osoby siedziały przy stole, oczekując na drugie śniadanie, zwane w indjach angielskich „tiffin" — młoda kobieta i dwoje pięknych dzieci: syn i córka.

— Cóżeś się tak spóźniła, Ketty! — rzekła matka do służącej. — Patrycy i Mary umierają z głodu, a i ja już bym co zjadła.

Ta uwaga, uczyniona w tonie przyjacielskiej wymówki, nie stropiła Ketty. Dziewczyna roześmiała się wesoło, ukazując zdrowe zęby, i przerwała swojej pani z poufałością wiernej sługi.

— Przyleciałam z miasta w pełnym galopie, bo niosłam pocztę... Tak, proszę pani, listy; przyszły tylko co z tego szkaradnego kraju Afrydów... gdzie mąż pani i jego trębacz, mój ojciec, walczą z buntownikami...

— List od papy! List od papy! Dziękujemy ci Ketty.

— Więc dobrze się stało, że dałam państwu umierać z głodu, prawda master Patrick, prawda miss Mary, a i pani przebaczy mi zapewne?

Nie czekając na odpowiedź, dziewczyna postawiła na stole tacę, na której bratały się ze sobą listy, dzienniki i wiktuały. Młoda matka i jej dzieci wyciągnęły drżące ręce po list od ukochanego ojca i męża.

Wzruszenie ich było zrozumiałe; pojmą je ci, którym znane są niebezpieczeństwa owej wojny, wynikłej nagle na pograniczu państwa indo-angielskiego i Afganistanu, wojny strasznej, nie znającej ani litości dla rannych, ani poszanowania dla poległych; wojny bez chwały i bez pardonu, w której taktyka cywilizowanego państwa, broń udoskonalona i dzielność Anglików, nie zdołały przemódz fanatyzmu dzikich plemion.

Matka schwyciła grubą kopertę, zawierającą list stęsknionego małżonka i ojca, pełen zapewne szczegółów drobnych, a tak drogich dla serc kochających; list, kreślony na prędce podczas biwaków, wśród wystrzałów i niebezpieczeństw.

Zanim go otworzyła drżącemi rękoma, oczy jej ogarnęły z rozrzewnieniem duży portret. Przedstawiał on wyższego oficera pułku Gordon-Highlanders, lat około czterdziestu, o twarzy pięknej, wyrazistej.

Dwie łzy zawisły na powiekach pięknej kobiety i stoczyły się po jej świeżych policzkach.

Dzieci wzruszone, przytuliły się matki.

— Płaczesz, mamusiu — szeptały.

— Tak, ale z radości; to są łzy błogie.

Troje tych istot złączonych uściskiem, stanowiło śliczną grupę, uosobienie jakby zdrowia, szczęścia i miłości.

Matka, wysmukła, ciemnowłosa, wyglądała na starszą siostrę swych dzieci. Syn miał jej rysy, córka była uderzająco podobna do portretu oficera: miała jego oczy niebieskie, włosy jasne i wyraz stanowczy, złagodzony jednak wdziękiem kobiecym. Patrycy skończył lat czternaście, siostra była o rok starsza od niego.

Żadne z nich nie myśli już teraz o śniadaniu, leżącem na stole pod olbrzymim wachlarzem, poruszanym wciąż przez chłopca, ukrytego za ścianą. Przez okna otwarte, oplecione ljanami i storczykami, widnieje park wspaniały. Po za nim płynie Hongli, zachodnie ramię delty Gangesu, nad którego brzegiem idzie trakt do Kalkuty, o pół godziny drogi odległej. Dalej, wśród zieleni, rozrzucone piękne wille i skromniejsze domki, stanowiące arystokratyczne przedmieście Garden Reach.

W ocienionych podwórcach, pod werendami i na korytarzach błąka się służba indyjska, ziewając, przeciągając się i próżnując. Ze dwudziestu ludzi ma za obowiązek obsługiwanie trzech osób, a wszyscy nie zdatni do niczego, oprócz stangreta, wysokiego draba, o typie cygańskim i głębokiem, zagadkowem spojrzeniu.

Pozorny to, a niekosztowny w gruncie zbytek — pożywienie i zasługi tej służby są bajecznie małe, zastosowane do jej niedołęztwa.

Major Lennox jest wysoko urodzony i ubogi, jak Szkot prawdziwy. Pochodzi od Karola Lennox, księcia Richmondu, syna króla angielskiego Karola II i Ludwiki de Keronalle. Miałby prawo zajmować fotel w Izbie lordów, ale ubóztwo stało mu na przeszkodzie.

Obecnie Karol-Edward Lennox, ostatni książe Richmondu z linji szkockiej, jest sobie zwyczajnym majorem w pułku Garden-Highlanders i odbywa kampanję w Indjach przeciw zbuntowanym Afrydom. Utrzymuje się z pensji oficerskiej, wynoszącej na pieniądze francuzkie około dwudziestu tysięcy

franków, co zaledwie wystarcza jemu i jego rodzinie. Poślubił panienkę, równie dobrze urodzoną, jak on i nie mniej ubogą. Obdarzyła go dwojgiem dzieci: Patrycym i Marją, oboje są ich radością i chlubą. Rodzina ta była pomimo szczupłych środków zupełnie szczęśliwa, wzajemne przywiązanie starczyło jej za bogactwa; zdrowie i humor dopisywały niezmiennie; nawet zabójczy klimat Indji oszczędzał tę kochającą się gromadkę.

Powoli, ze wzruszeniem, pani Lennox rozłamała pieczęć koperty i wyjęła z niej kilkanaście arkusików drobnego pisma; na jednym narysowany był plan z uwagami i odsyłaczami. U góry znajdowało się kilka słów naglącej przestrogi, które żonę majora zdziwiły bardzo:

„Schowaj ten szkic w miejscu pewnem, strzeż go bacznie i nie pozbywaj go się za żadną cenę. W nim przyszłość i fortuna naszych dzieci".

— Patrzcie, co nam przysyła ojciec — rzekła pani Lennox.

Lecz wszyscy troje mało się przejęli tą zapowiedzią zmiany losu, myśląc tylko o liście od ukochanego wojownika.

— Czytaj, mateczko, czytaj prędzej — prosiły dzieci.

Powoli, ze wzruszeniem zaczęła odczytywać to pismo, które miało wywrzeć na ich przyszłe losy wpływ tak tragiczny.

Obóz pod Chakdara, 1-go września 1897 r.

„Ukochana żono i drogie dzieci!"

„Nie zastanowiliście się nigdy, dlaczego jesteśmy tak ubodzy i dlaczego los pozbawia was prerogatyw, do których urodzenie daje wam prawo. Nie potrącaliście nigdy o ten przedmiot przez wrodzoną wam delikatność uczuć, by mi oszczędzić bezowocnych żalów. Cierpiałem srodze nad tem ubóstwem, prześladującem mnie od dzieciństwa. Zasępiło ono moją młodość i zatruło wiele chwil życia, rozjaśnionego waszem uczuciem.

„Dziś wreszcie mogę przemówić, mogę potrącić o ten przedmiot bolesny, mogę po raz pierwszy powiedzieć: Odwagi! Nadziei! — Moi najdrożsi! Skończyła się już pozłacana nędza, zamykająca rodzinę księcia Rochmond w skromnym

domku, odpowiednim dla jakiego podoficera. O tak, przecierpiałem wiele i to od lat najmłodszych. Jak wam wiadomo, moi rodzice zginęli podczas rzezi w Cawnpour.

„Było to w roku 1857. Mój ojciec miał wówczas lat czterdzieści, jest to wiek fatalny dla naszej rodziny. Miał majątek iście królewski, był pułkownikiem w 84-ym pułku królowej i wiódł życie wystawne, skupiając około siebie mnóstwo przyjaciół. Ja wówczas byłem jeszcze w kolebce.

„Pułk stał załogą w Cawnpour; miasto było oblegane przez zbuntowanych Cipayów. Mój ojciec zaraz na początku wszystko przewidział: i niedołęstwo głównodowodzącego i zdradę Nana Sahiba, a nawet spóźnione przybycie Halvelocka.

„Chcąc być przygotowanym na najgorsze, spieniężył większą część swojej fortuny i nabył za nią drogie kamienie; dostarczył mu ich pewien bogaty kupiec, Pars, któremu ojciec uratował życie.

„Wartość tych kamieni wynosiła przeszło miljon funtów szterlingów. Zamknięto je w ciężkiej drewnianej skrzyni i tę skrzynię ukryto w miejscu bezpiecznem. Pars, człowiek uczciwy i wierny, obiecał dochować tajemnicy i mój ojciec, uspokojony wreszcie, mógł powrócić na swoje stanowisko."

„W tydzień potem radża Bithur zdradził Anglię i wydał miasto Dusicielom. Ojciec zginął, broniąc mojej kolebki. Matka, przeszyta sztyletami, runęła na jego zwłoki, ja tylko, bezbronne niemowlę w powijakach, zdołałem uniknąć śmierci"...

Dzieci, przygnębione, ze łzami w oczach słuchały tej tragicznej opowieści. Matka tłumiąc łkanie, głosem urywawanym czytała dalej:

„Wydobyto mnie z pod rumowisk naszego pałacu. Przez długie lata nie wiedziałem kim jestem: w jaki sposób mnie ocalono.

„A teraz pozostaje mi już tylko opowiedzieć wam, jakim cudownym trafem odnalezioną została fortuna mego ojca; w jaki sposób tutaj, w kraju dzikim, wśród zbuntowanych czered, doszły mnie dokumenty niewątpliwie prawdziwe".

„Traf, a raczej Opatrzność tak pokierowała wypadkami, że ubóstwo odegnane na zawsze i rodzina Lennoxów odzyskuje dawne swe stanowisko".

„Znajdziecie wszystkie te dokumenty w załączeniu. Polecam je waszej opiece i staraniom".

Matka i dzieci nie chciały wierzyć własnym oczom i uszom. List kończył się spisem przedmiotów niezbędnych z obozie. Prosił żony, aby je kupiła i wyprawiła natychmiast.

— Jedźmy zaraz do Kalkuty!—zaproponował Patrycy.

— Tak, pojedziemy natychmiast.

Marja zadzwoniła i kazała zaprzęgać. W kwadrans potem pędzili co koń wyskoczy po Circular — Road i niebawem wjechali do Kalkuty.

Była szósta wieczorem. Życie, zamarłe w ciągu dnia, poczynało się już budzić. Powozy i tramwaje krążyły po ulicach zakurzonych, rojących się od przechodniów w płaszczach białych i o twarzach brunatnych.

Chodniki należą tu wyłącznie do krajowców. Europejczycy nie ukazują się nigdy inaczej jak w powozach lub konno.

W tem mieście wschodniem Europa, a właściwie Anglja, styka się co krok z Azją; cywilizacja zachodnia zlewa się ze wschodnim przepychem. Obok marmurowych pałaców, portyków z kolumnami, złocistych okratowań wśród tropikalnej roślinności, wznoszą się kościoły, rostaczają się skwery, krążą tramwaje, popisują się wystawy sklepowe, różnorodne afisze pstrzą się na murach. Chodniki roją się tłumem ruchliwych, krzykliwych Bengalisów. Po szosie pędzą setki powozów, a wszystko oblane potokami oślepiającego słońca.

Pojazd, zaprzężony w parę koni, wiózł lady Lennox i jej dzieci, wymijając inne ekwipaże. Stangret na przejściach i rogach ulic tratował ciżbę krajowców. Pomimo wrodzonej dobroci, żona majora zarówno jak Patrycy i Marja nie troszczyli się wcale o to „plugastwo," które dawało się miażdżyć w milczeniu, bez skargi ani jęku; albowiem Indjanie uważani są przez Europejczyków za bezduszne bydło. Pojazd zajechał przed olbrzymi bazar. Ciekawe tłumy krajowców krążyły dokoła, przyglądając się dziwom zachodu.

Matka wysiadła pierwsza, Patrycy podał rękę siostrze. Bengalisowie rozstąpili się z szacunkiem przed tą wytworną trójką, pozostawiając jej wolne przejście.

W mgnieniu oka dobył z za pasa krandżar, nasadzony drogiemi kamieniami i zatopił go w piersi nieszczęśliwej kobiety. (pat. st. 152).

Lady Lennox chciała wejść do sklepu. Jednocześnie wychodził z niego Hindus. Nie widział on Angielki, która nie myślała usunąć mu się z drogi, więc, odwracając się, potrącił ją.

Zaznaczyliśmy już powyżej, iż Anglicy, nawet najlitościwsi, najbardziej przejęci zasadami ludzkości, żywią dla krajowców swoich kolonij pogardę, graniczącą ze wstrętem. Dla nich te istoty o skórze czarnej lub brunatnej, nie są ludźmi, i stoją o wiele niżej od ulubionych zwierząt — psów i koni rasowych. Słowem, Hindus — to stworzenie plugawe, które na każdym kroku powinno ustępować białemu. Angielki są jeszcze drażliwsze i bardziej jeszcze brzydzą się krajowców. Jestto potworne, niedorzeczne, ale tak jest.

Potrącona niechcący lady Lennox, pomimo swej łagodności wydała okrzyki gniewu i wstrętu. Z ust jej padło słowo obelżywe, którem Anglicy szafują wobec Hindusów:

— Sura! (prosię).

Zazwyczaj znieważony w ten sposób krajowiec spuszcza głowę i ucieka w obawie, by mu się co gorszego nie oberwało, jeżeli zwłaszcza ma przed sobą gentlemana o silnych pięściach.

Ale wbrew temu obyczajowi, obrażony Hindus podniósł dumnie głowę i rzucił nieopatrznej kobiecie spojrzenie straszne, jak tygrys drażniącemu go dziecku. Nozdrza orlego nosa drgnęły, zęby zazgrzytały, na usta wystąpiła piana.

W mgnieniu oka dobył z za pasa k r a n d ż a r, nasadzony drogiemi kamieniami i zatopił go w piersi nieszczęśliwej kobiety.

Runęła na ziemię, szepcząc głosem zamierającym:

— Zabił mnie... Boże zlituj się....*).

---

*) Fakty tu podane są wzięte wprost z życia i ściśle prawdziwe.

II.

Biedna matka! Biedne dzieci! — Morderca. — Bramin. — Pierwsza pomoc. — W szpitalu wojskowym. — Nauka i poświęcenie. — Przed sądem. — Skazanie. — Gorsze od śmierci. — Znieważenie zwłok. — Wściekłość. — Fanatyzm. — Uduszona!

Nieopisane przerażenie ogarnęło Patrycego i Marję, gdy usłyszeli ten okrzyk matki i ujrzeli ją padającą na ziemię.

Podbiegli, wyciągając ręce, aby ją podtrzymać.

— Mamo! Mateczko najdroższa!—wołali z rozpaczą.

Krew płynęła strumieniem z rany. Oczy nieszczęśliwej poczęły mgłą się zasuwać, z ust, rozchylonych przed chwilą uśmiechem, toczyła się piana.

— Ratunku! Ratunku!... Zamordowali nam mamę!—wołały dzieci zrozpaczone.

Wszystko to stało się w przeciągu paru minut długich jak wieczność. Biedne dzieci nie widziały mordercy, nie myślały nawet go szukać, tak były pogrążone w boleści, zbyt wielkiej na ich młode serca.

A tymczasem zbrodniarz przyglądał się chłodno swojemu dziełu, nie próbował uciekać, doznawał jakby potwornej rozkoszy na widok tej krwi i tej dziecięcej niedoli.

Po szkarłatnym sznurze, zwisającym od ramienia, można było poznać, że to bramin, jeden z wybrańców sekty religijnej, która, mimo jarzma angielskiego, wciąż nowe wznieca bunty, rozporządzając całą armią fanatyków.

Mnóstwo ludzi rzuciło się, by nieść ratunek nieszczęśliwej, wreszcie przeniesiono ją do magazynu.

Morderca pozostał na miejscu. Hindusi obszarpani, o groźnych twarzach fakirowie, zapewne chcieli go pociągnąć za sobą. Już biegli z nim, aby go ustrzedz od kary, gdy nagle na tę gwardję zbrodniarza napadł olbrzymi żołnierz z królewskiej marynarki w białym kasku za głowie, roztrącił ją pięściami, chwycił mordercę za kark, wołając głosem potężnym:

— Koledzy, do mnie, tutaj!

Z pół tuzina szeregowców, gapiących się przed sklepami, zbiegło się na to wezwanie, rozpędziło i resztę Hindusów. Po chwili morderca miał już ręce spętane. Uprowadzono go wśród okrzyków białej ludności, domagającej się śmierci na zbrodniarza.

Przechodził właśnie lekarz wojskowy. Dostrzegłszy przez otwarte drzwi lady Lennox, leżącą na fotelu i bladą śmiertelnie, podszedł do niej, wziął ją za puls i obejrzał ranę.

Patrycy i Marja, klęcząc przy matce, wpatrywali się w niego z śmiertelną obawą. Puls jeszcze uderzał. Doktór wyjął sztylet bardzo ostrożnie, raniona kobieta jęknęła i z trudem poczęła chwytać powietrze.

— Zrobimy, co tylko w mocy ludzkiej — rzekł lekarz, któremu opowiedziano już tę tragiczną przygodę.

— Pan ją wyratuje, prawda? Pan nam wróci naszą matkę — błagały dzieci.

Niepodobna było udzielić pomocy skutecznej w tym sklepie. Doktór kazał przenieść ranną do blizkiego, na szczęście, szpitala wojskowego. Złożono ją bardzo ostrożnie na szeslongu, rozpięto parasol nad głową i niesiono powoli. Dzieci szły jak za pogrzebem.

Wieść o zamachu rozeszła się po ulicach przyległych. Powtarzano sobie z ust do ust, że Hindus zamordował białą damę. Europejczycy oburzali się i odgrażali okrutnie. Ktoś w tłumie poznał Patrycego i Marję... A więc ofiarą padła lady Lennox, żona księcia! Obawa i wściekłość jeszcze się wzmogły. Jakto! Zbrodniarz poważył się targnąć na jedną z najwybitniejszych przedstawicielek arystokracji!

Tymczasem żałobny orszak doszedł do szpitala. Złożono nieszczęśliwą w apartamencie naczelnego oficera. Syn i córka pozostali przy niej. Tutaj lekarz mógł ją otoczyć staraniem i walczyć ze śmiercią. Czynił to z niesłychanem poświęceniem, można rzec, z zaciekłością. Chcąc przeszkodzić omdleniu, które mogło być śmiertelnem, zastrzyknął eter, a wkrótce potem kofeinę.

Puls wzmocnił się, na policzki wystąpiło lekkie zabarwienie. Ponieważ nieszczęśliwa utraciła już bardzo dużo krwi, należało jak najprędzej powetować tę utratę.

Przy pomocy zręcznego asystenta chirurg wstrzyknął surowicę. Działanie było natychmiastowe. Wlewając wciąż sztuczne życie w to bezwładne ciało, zdołał przedłużyć istnienie o całą dobę.

Dzieci, umieszczone w przyległym pokoju, od czasu do czasu wsuwały główki przezedrzwi i podchodziły do łóżka na palcach, a wiedząc, że matka jeszcze żyje, rzucały lekarzowi wdzięczne spojrzenia i odchodziły z nadzieją w serduszkach.

Tymczasem morderca został stawiony przed sąd.

Formalności trwały nie o wiele dłużej, niż w sądach wojennych, albowiem schwytanie zbrodniarza na gorącym uczynku usuwało konieczność śledztwa. Podsądny był na swój los obojętnym. Zachowywał się z niezamąconym spokojem.

Olbrzymia sala posiedzeń sądowych była przepełniona. I tu objawiał się duch kastowości Anglików. Publiczność dzieliła się na trzy odrębne kategorje—arystokrację, kupiectwo i Hindusów. Pierwsza kategorja zasiadała w trybunach, druga na ławach, trzecia musiała stać.

Dwóch żandarmów przyprowadziło mordercę, który milczał dumnie, wzgardliwie.

Wreszcie, gdy przewodniczący spytał go o nazwisko, wiek, pochodzenie, głosem donośnym odpowiedział:

— Chcecie poznać moje nazwisko. A więc nazywam się „Wróg." Tak, Wróg, przekonacie się o tem.

Te słowa, wypowiedziane tonem nienawiści, wznieciły okrzyki w tłumie czarnym, cuchnącym, przychylnym dla podsądnego.

Przewodniczący ciągnął dalej, wskazując narzędzie mordercze:

— Przyznajesz, żeś godził tą bronią w lady Lennox, księżnę Richmond.

— Jestem Nahrindra, bramin czwartego stopnia, po czterykroć święty i nietykalny. Otóż księga Manon powiada wyraźnie: ktobądź w gniewie ciśnie w bramina, bodaj źdźbłem trawy, powinien zginąć natychmiast, aby odżyć po razy dwadzieścia w brzuchu nieczystego stworzenia. Ta, którą nazywacie księżną Richmond mnie zelżyła... bramina; za-

bijając ją byłem posłuszny rozkazowi boskiego Manon, Waiwaswaty, syna Słońca.

— Przyznajesz się do morderstwa?

— Tak i szczycę się niem.

— Czy wiesz, że czeka cię za to śmierć?

— Księga Manon powiada jeszcze... dziwię się, że tego nie wiecie: „Niech król strzeże się zabić bramina, choćby nawet ten dopuścił się zbrodni wszelkich; niech go wygoni ze swego państwa, pozostawiając mu wszystkie jego dobra i nieczyniąc mu żadnej krzywdy.” Takim jest święty przepis.

— Nie uznajemy ani przepisów Manon ani władzy braminów. Jesteś zwykłym poddanym Jej Cesarskiej Mości cesarzowej i królowej i zasłużyłeś na śmierć.

Bramin ramionami wzruszył i rzekł głosem, dzwięczącym, jako mosiądz:

— Nie ośmielicie się zabić mnie.

— Dlatego skazujemy cię na powieszenie, aż dopóki własną śmiercią nie umrzesz. Ten wyrok, ze wszechmiar słuszny i sprawiedliwy, zostanie wykonany nie dalej jak dzisiaj przed zachodem słońca.

Bramin słuchał spokojnie tego wyroku, a gdy go przewodniczący zapytał, czy nie może nic powiedzieć na swoją obronę, wyprostował się dumnie i, spoglądając na tłum Hindusów, rzekł?

— Wy fakirzy pomścicie śmierć moją. Wy, oprawcy, róbcie ze mną co wam się podoba.

Wśród fakirów rozległ się głośny pomruk, stłumiony potrójnym rzędem bagnetów. Kilka głośnych przekleństw zaświadczyło, że ten dziki rozkaz zostanie spełniony.

Dotychczas nie można było nic zarzucić procedurze, stosującej prawo odwetu. Lecz, pragnąc wzbudzić postrach i poszanowanie dla Europejczyków, sąd wpadł na niefortunny pomysł obostrzenia kary środkami, które odniosły skutek wręcz przeciwny.

Gdy bramin wymówił słowo „zemsta,” przewodniczący głosem ostrym dodał:

— Skoro ducha wyzioniesz, kat utnie ci głowę i, ogoliwszy, zaszyje ją w skrwawioną skórę świni, a tułów w drugą

skórę tego nieczystego stworzenia. Głowa i tułów zostaną wrzucone oddzielnie i nie będą mogły być pogrzebane wedle waszego obrządku. Kara podobna dosięgnie tych wszystkich, którzy ośmielą się podnieść rękę na poddanego cesarzowej i królowej, bez względu czy tym zuchwalcem będzie bramin czy parias.'

Kto zna wstręt Hindusów do zwierząt, zwanych nie czystemi, oraz ich cześć dla zmarłych, ten zrozumie, jak zostali dotknięci tą podwójną profanacją. Nawet bramin zbladł i rzekł do przewodniczącego głosem drżącym:

— Nie dopuścicie się takiej zbrodni.

Sędzia miczał wzgardliwie.

— Daję okup, by zawieziono moje zwłoki na stos poświęcony.

Milczenie było znowu odpowiedzią.

— Dam dziesięć tysięcy funtów! Pięćdziesiąt tysięcy! Sto tysięcy!

— Odprowadźcie podsądnego — zawołał przewodniczący.

Dozorcy porwali bramina, który wbrew dotychczasowej obojętności, na samą myśl o zniewadze, mającej spotkać jego zwłoki, szamotał się i wrzeszczał przeraźliwie.

O naznaczonej godzinie wyrok został wykonany, pomimo próśb i pogróżek. Spełniano go nie wewnątrz murów więziennych, jak zwykle w posiadłościach angielskich, lecz na placu publicznym, wobec tłumów. Rząd chciał, by to służyło za przykład odstraszający i nie byłby za nic ustąpił.

Tłum krajowców, utrzymywany w karbach przez konnicę, piechotę i artylerję, patrzył z odrętwiającem przerażeniem na te przygotowania złowieszcze.

U stóp szubienicy uwiązano dwie ogromne maciory, rzeźnicy zarznęli je i wyjęli z nich wnętrzności, poczem wyprowadzono więźnia, boso, ze związanemi rękoma, z kajdanami u nóg.

Chciał się odezwać, zagłuszył go huk bębna.

Widzowie oburzeni, wyli poprostu z bezsilnej wściekłości i rozpaczy. Po chwili delikwent zawisł na sznurze.

Krajowcy, utrzymywani w rygorze za pomocą karabinów, pik i armat, musieli patrzeć na tę profanację niebywałą.

Śmierć dopełniła już swego dzieła. Morderca był trupem. Wówczas kat uciął mu głowę, pomocnik ogolił ją i zawinął w okrwawioną skórę maciory. Drugi porwał tułów zaszył go w świńską skórę i oba te krwawe szczątki złożono na wozie. Otoczył go szwadron ułanów; wóz ruszył galopem w stronę rzeki.

Tłuszcza biegła za wozem, aby rozżalić się i roznamiętnić jeszcze bardziej widokiem ostatniej sceny tego okrutnego dramatu, w nadziei przytem, że zdoła ocalić szczątki od tej profanacji ostatecznej.

Europejczycy rozeszli się, wynosząc różnorodne wrażenia. Znający lepiej Hindusów, szeptali między sobą:

— Sąd źle postąpił. Wzniecił tylko zemstę. Oby się na nas nie skrupiła.

. . . . . .

Trzy doby upływały już od zamachu, a lady Lennox jeszcze żyła, choć jej życie wisiało zaledwie na włosku. Lekarz, który dokazał tego cudu, był teraz pełen otuchy.

Patrycy i Marja, znużeni czuwaniem i wyczerpani boleścią, przez cały ten czas nie zmrużyli oka, nie wzięli nic do ust.

Biedne dzieci zaczynały żyć nanowo: blady uśmiech wykwitnął już na usta ich matki, wyszeptała ich imiona.

Na ten słaby dźwięk serduszka zabiły w nich żywiej i łzy popłynęły obficie.

Zdało im się, że matka już ocalona. Wdzięczność dla lekarza nie miała granic. Skłonił ich wreszcie do przyjęcia posiłku; wieczorem usnęli oboje snem twardym, pokrzepiającym. Doktór, wyczerpany zupełnie, powrócił do swoich apartamentów, oddając chorą opiece wiernej dozorczyni. Rzucił się ubrany na łóżko, by każdej chwili módz przybyć na pomoc.

Nad ranem obudziły go krzyki przeraźliwie dochodzące z apartamentu lady Lennox. Zrywa się, pędzi przez korytarz, który go dzielił od tych pokojów, otwiera drzwi. Oczom jego przedstawia się widok straszny.

Na ziemi leży dozorczyni spętana, z zakneblowanemi ustami, obok niej Marja płacze przeraźliwie. Nad łóżkiem stoi Patrycy.

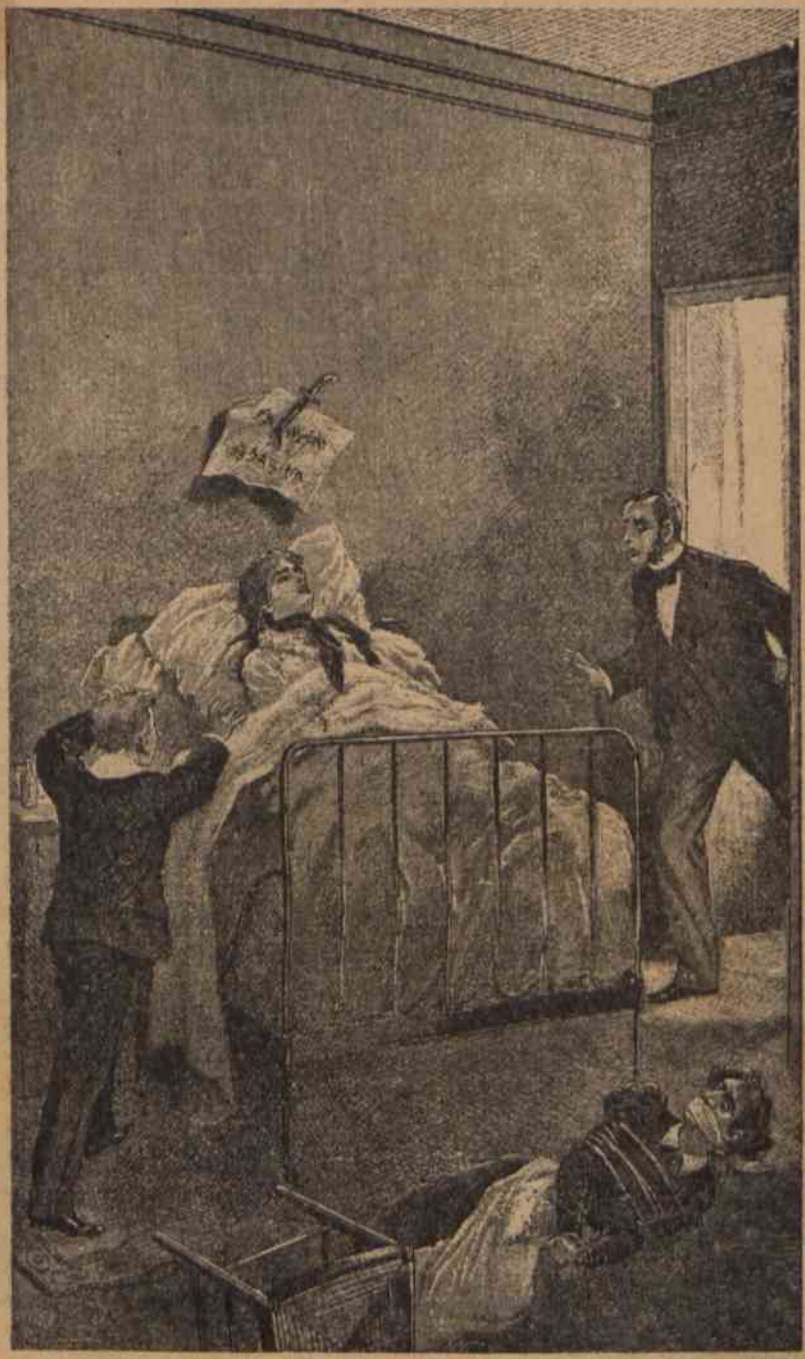

Uduszono ją we śnie ze zdumiewającą zręcznością i siłą. (pat. st .160)

— Mamo! — woła głosem ochrypłym.

Księżna Richmond nie mogła odpowiedzieć na to wezwanie. Już nie żyła. Twarz jej skamieniała, oddech nie poruszał piersi, z ust nawpółotwartych sączyła się krew spieczona.

Dokoła szyi zaciśnięty był czarny jedwabny fular.

Uduszono ją we śnie ze zdumiewającą zręcznością i siłą. Lekarz zbladł i nie mógł powstrzymać i stłumić okrzyku zgrozy. Dojrzał nad łóżkiem arkusz papieru, przybity sztyletem do ściany cedrowej.

Na papierze wypisane były dwa słowa aż nazbyt wymowne: *Zemsta braminów!*

ROZDZIAŁ III.

„Pennyless". — Dawni znajomi. — Na Hongli. — Krokodyle. — Żerowisko z ludzkiego mięsa. — Skuteczna pomoc. — Spuścizna po braminie. — Noc na rzece. — W Kalkucie. — „W imieniu królowej"...

Piękny jacht pod flagą amerykańską płynął powoli w górę rzeki Hongli, podążając do Kalkuty.

Kształty jego były lekkie, a pomimo to wytrzymałość duża; był tak zbudowany, że mógł z łatwością opierać się morskim szturmom. Pudło statku było białe, pokryte siatką złocistą, wszystkie przyrządy niklowane, całość robiła wrażenie miłe i świadczyła o bogactwie.

Załoga złożona z trzydziestu majtków, nie licząc maszynistów, wyległa na pokład, albowiem miano zarzucić kotwicę.

Ów piękny statek, jakby na drwiny nosił nazwę „Pennyless." („Bez szeląga"). Na pomoście stała piękna para. Młodzieniec rosły i urodziwy w eleganckim kostjumie yachtsmana i młoda kobieta w szlafroczku jedwabnym, uwydatniającym jej kształty i urodę.

On był brunet, miał brodę kędzierzawą, krótko przystrzyżoną, oczy płowe; twarz jego wyrażała energję, połączoną z dobrocią.

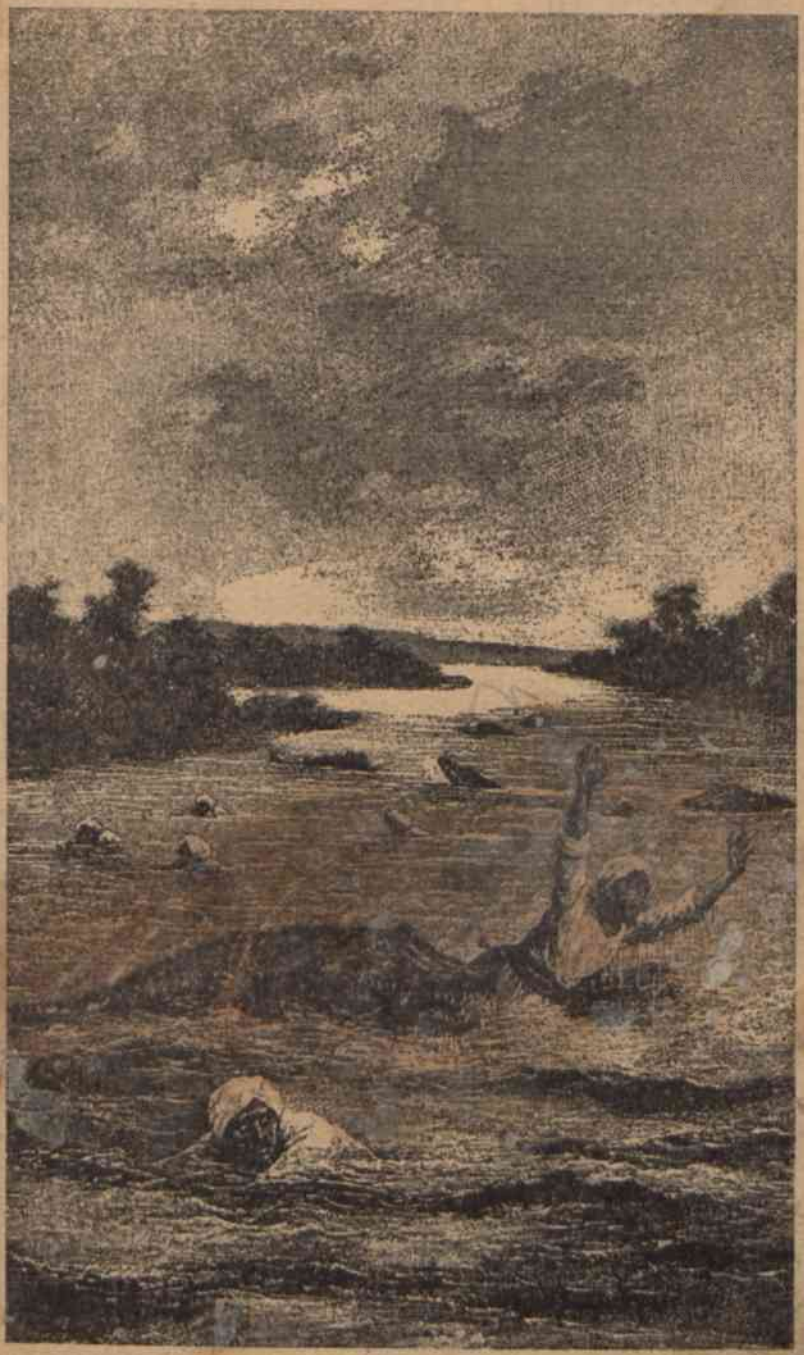

Tam u licha! To krokodyle! (Patrz str. 162).

Ona jasna blondynka, różowa, z błękitnemi oczyma, perłowemi ząbkami i ustami jak korale, tchnęła wdziękiem niezrównanym; znać było jednak, że ta piękna wiotka kobieta ma w sobie dużo siły i woli.

Po za tą parą stał mężczyzna atletycznej budowy, zarośnięty po same oczy, śniady, jakby wygarbowany na słońcu, brwi miał krzaczaste jak zdrajca w melodramatach, ręce i nogi. olbrzymie.

Kaszkiet ze złotym galonem i kurtka zapinana na guziki z kotwicami pozwalały przypuszczać, że jest naczelnikiem załogi.

Sterem kierował rudy kolos, Amerykanin czystej krwi, jak to można było poznać od pierwszego rzutu oka.

Pomimo, że słońce chyliło się już ku zachodowi, upał był straszny.

— Tam do licha! Johnny — zawołał czarny olbrzym do sternika—z wybitnym akcentem prowansalskim—zieje ogromnie, jak z piekielnego pieca! — Możnaby sądzić, że się jest w Tulonie.

— W Tulonie... tam teraz śnieg pada! — zaprzeczył Yankes z całą powagą.

— Śnieg! Widać, że nie masz pojęcia o naszym kraju, Johnny! — podchwycił południowiec oburzony. — Tam nawet śnieg gorący [illegible] je suszy, jak piec.

Johnny roześmiał się z tej przechwałki. Nagle statek stanął. Yachtsmann przez tubę dał rozkaz, którego sternik usłuchał odrazu.

— Co się stało! — pytał Prowansalczyk, spoglądając przed siebie.

Woda, zorana była w liczne bruzdy, z których wyłaniały się jakieś czarne punkciki.

— Hallo! Marjusz — zawołał Johnny — ty masz lepsze oczy, zobacz, co to takiego?

— P e c a i r e! Toż to ludzie...

— A może bydło... H o d b l e s s m e.

— A może jaki ładunek.

— Tam u licha! To krokodyle!

— Ludzie, bydło, ładunki, krokodyle — wszystko to kłębi się razem.

— Biedacy! Te bestje ich pożrą.

Jacht stał już na miejscu, prąd rzeki niósł ku niemu jakieś czarne przedmioty. Zbliżały się coraz szybciej.

Prawansalczyk miał istotnie dobre oczy. Ludzie płynęli wśród okrzyków rozpaczy i wściekłości, osaczeni zewsząd przez krokodyle, rojące się w wodach Gangesu.

Od czasu do czasu olbrzymia paszcza chwytała człowieka za rękę lub nogę, czasem za głowę — nieszczęśliwy znikał w tych czeluściach. Liczba białych turbanów wciąż się zmniejszała. Jednak niejeden z tych ludzi mógł był się łatwo ocalić, płynąc ku brzegowi; lecz oni wszyscy trzymali się środka rzeki, skupiali dokoła jakichś szczątków, jak dziesiątkowani żołnierze dokoła sztandaru.

Młoda kobieta przyglądała się strasznym zapasom.

— Mój Jerzy — zawołała wreszcie błagalnie — czyż nie możemy przyjść w pomoc tym biedakom?

— Uprzedziłaś właśnie moje chęci — odparł właściciel jachtu.

I zakomenderował głosem doniosłym:

— Spuścić łódź z sześciu ludźmi.

Marjusz zagwizdał. W tejże chwili spuszczono łódź ratunkową z pół tuzinem majtków. Podpłynęła szybko do Hindusów, nad którymi pastwiły się krokodyle.

Rzecz jednak dziwna, te straszne potwory nie wylękły się i nie zaniechały pościgu.

Już zaledwie kilkunastu ludzi, wyczerpanych, zziajanych, utrzymywało się na wód powierzchni.

Widząc, że przybywa im ratunek, przedewszystkiem wrzucili do łodzi przedmioty bronione kosztem życia. Poczem, na wezwanie starszego majtka, gramolili się do łodzi, i padali na jej ławki, jak martwi.

Wściekłość krokodylów jeszcze się wzmogła. Otoczyły łódź zwartą ławicą, wydając dźwięki przeraźliwe, podnosząc się wpół, czepiając zębami brzegów statku, rozdziawiając paszcze, ziejące zgnilizną. Było ich ze sto z górą.

Łódź szarpana na wszystkie strony, podrzucana w górę,

bliska była zatonięcia. Majtkowie bezbronni, opędzali się wiosłami, bronili jak mogli, drżąc ze strachu przed temi paszczami, gotowemi pożreć ich lada chwila.

Yachtsman, widząc niebezpieczeństwo, krzyknął maszyniście przez tubę:

— Naprzód, powoli!

— Marjuszu, karabiny! — dodał.

Szybki, jak strzała Prowansalczyk wpadł do kajuty, zdjął trzy winchestery i, wygramoliwszy się na pomost, podał jeden kapitanowi, drugi młodej damie, trzeci zachował dla siebie.

Jacht ruszył, a jednocześnie padły trzy wystrzały, potem trzy drugie, i tak dalej, a po każdym — trzy cielska zanurzały się w wodę i ginęły w jej nurtach.

Kule rozbryzgiwały łuskę, przeszywały mięso, druzgotały kości.

W trzydzieści sekund niespełna, ze dwanaście potworów poszło na dno.

Ogień nie ustawał, mniej szybki, lecz zawsze morderczy, torując drogę łodzi. Jacht przypłynął do niej w parę minut; zdziesiątkowane krokodyle odpadły od łodzi. Wciągnięto ją na statek i okrwawieni, znękani Hindusi runęli na pokład.

Załoga przyglądała im się z wielką ciekawością. Właściciele jachtu, oddawszy Prowansalczykowi dymiące jeszcze karabiny, zeszli z pomostu.

Na widok swych wybawicieli, młodzieńca i jego towarzyszki, rozbitkowie padli na kolana i wznieśli ręce do góry.

Jeden, widocznie przywódca, łamaną angielszczyzną wybełkotał:

— Dzięki ci, Sahib, któryś wyrwał sługi Brahmy z paszczy potworów i dozwolił im wyciągnąć z nurtów trzykroć święte szczątki ich wodza. Dzięki ci, o biała niewiasto, niemniej piękna od bogini Laki, a tak biała, jak kwiat poświęconego lotosu.

Yachtsman i jego towarzyszka patrzyli ze zdziwieniem na krasomówcę, nie rozumiejąc tych słów znaczenia.

Byłto człowiek lat średnich, wyniosłej postawy i przerażającej chudości, oczy miał błyszczące jak węgle, z twarzy ascetycznej biła energia i siła woli.

Młodzieniec odpowiedział mu po angielsku:

— Cieszę się, że zdołałem przyjść z pomocą tak dzielnym ludziom i żałuję tylko, żem nie zdołał wyratować was wszystkich.

— Zechciej, o Sahib, wymienić twe nazwisko, abyśmy wiedzieli komu dochować wdzięczność dozgonną.

— Jestem kapitan Pennyles (Bez Szeląga).

— Pennyles! Odtąd imię to będzie świętem dla naszych czterech kast. Ale wypełnij, Sahib, miarę twej wspaniałomyślnej dobroci i każ nam dać białego płótna.

— Dostaniesz je zaraz — rzekł kapitan — ale wpierw musicie się pokrzepić, ty i twoi towarzysze.

Serce twe jest miłościwe jak ręka dzielną. Lecz zanim pomyślimy o sobie, musimy spełnić święty obowiązek. Widzisz, panie, te dwie sakwy. Dla wyłowienia ich pięciuset naszych zginęło w wodzie, w paszczach potworów i od kul morderczych... Otóż te krwawe skóry stworzeń nieczystych zawierają zwłoki świętego, porąbane i zbezczeszczone przez Anglików. Oto głowa, a to jest tułów, potworne katy wrzuciły je w wodę. Zdołaliśmy wyłowić te szczątki, ale jak wielkim kosztem.

Kapitan i jego towarzyszka słuchali w milczeniu tej dziwnej historji, opowiadanej głosem tłumionym, ziejącym piekielną nienawiścią.

Hindus ciągnął dalej:

— A teraz, szlachetny panie, zechciej nam udzielić kącika na swoim statku, abyśmy mogli wydobyć naszego mistrza z tej niemej powłoki i owinąć go w płótno, któreś nam obiecał.

Tymczasem słońce zapadało już za nieboskłon, zbliżała się noc, nie poprzedzana zmierzchem, jak zwykle w strefach podzwrotnikowych.

Niepodobna już było wpłynąć do portu w Kalkucie.

Kapitan kazał spuścić kotwice, zapalić latarnie i sygnały, gotując się do przenocowania na rzece.

Z jego rozkazu Marjusz zaprowadził Hindusów na przód statku i osłonił ich płótnem, rozpiętem naprędce, aby mogli spełnić swe obrządki.

Trwało to dobrą godzinę, poczem kapitan, nie mogąc ich trzymać dłużej na swoim jachcie, zaproponował, że ich odwiezie nad brzeg Hongli i tam wysadzi. Przyjęli z radością ten wniosek, który spełniał ich najgorętsze pragnienia.

Wysiedli na brzeg, niosąc na ramionach szczątki bramina i wpadli z niemi w dżunglę.

Nazajutrz wczesnym rankiem jacht popłynął ku portowi. Minął wspaniały rząd ogrodów, willi i pałaców tworzących przedmieście Garden — Reach, następnie linię doków i basenów nad kanałem Tolly-Nollah. Dalej, wzdłuż arsenału, fortu William, Cytadeli podążał ku mostowi pontonowemu, łączącemu Kalkutę z nowem miastem, zwanem Haurah. Wreszcie jacht stanął, zarzucił kotwicę. Natychmiast zeszła rewizja urzędu sanitarnego.

Kapitan, zabrawszy papiery, schodził już do portu, gdy nagle wtargnął na jacht oddział żołnierzy europejskich pod wodzą oficera.

— Pan jesteś kapitanem tego statku? — spytał oficer.

— Kapitanem i właścicielem — brzmiała wyniosła odpowiedź!

— W takim razie aresztuję pana w imieniu jej cesarskiej i królewskiej mości.

ROZDZIAŁ IV.

Grom z jasnego nieba. — Pożegnania. — Żałobny orszak lady Lennox. — W więzieniu. — Wobec sędziego. — Dzieje „Bez Szeląga". — Śledztwo. — Sprawa się psuje. — Oszczerstwo. — Tajemniczy bilet. — „Wypuścić więźnia". — Pod karą śmierci.

Kapitan jachtu nie wierzył własnym oczom i uszom.

— Aresztujesz mnie pan? I za co? — pytał angielskiego oficera.

— Działam na mocy formalnych rozkazów. Muszę im być posłuszny, nie pytając o przyczynę.

— Protestuję w imię praw obywatelskich, pogwałconych

w mojej osobie,—i odwołam się do amerykańskiego konsula.

— Nie wolno mi przyjmować pańskich protestów. Proszę iść za mną, i to natychmiast i dobrowolnie; inaczej będę musiał użyć siły.

— Czy nie mógłbym pożegnać się z moją żoną i wytłomaczyć jej...

— Nie wolno mi nikogo do pana dopuścić—odparł oficer ostro.

— Więc jestem traktowany jako więzień stanu.

Młoda kobieta zaniepokojona odgłosem tej rozmowy, wyszła ze swego apartamentu, a widząc męża pośród żołnierzy i bagnetów, podbiegła ku niemu.

— Jerzy? Co to znaczy?—wołała strwożona.

— To znaczy, Klaudjo, że gościnna Anglia zaopiekowała się mną w chwili, gdym po raz pierwszy miał postawić nogę na ziemi indyjskiej. Jestem aresztowany. Prowadzą mnie podobno do więzienia.

— Ależ ja cię nie opuszczę, pójdę z tobą... Niech mi pan pozwoli towarzyszyć mężowi!

— Żałuję bardzo, ale nie mogę uczynić zadość tej prośbie. Otrzymałem także rozkazy co do pani. Zostanie pani na tym jachcie pod nadzorem aż do chwili, gdy najwyższy sąd orzeknie w sprawie was obojga. A teraz, zechciej pan iść z nami.

— To jakieś nieporozumienie, droga Klaudjo. Wyjaśni się niebawem. Odwagi, jedyna, przeszliśmy już gorsze próby. Bądź spokojna, wiesz, że nic mnie zastraszyć nie zdoła.

Wobec żołnierzy, dzielna kobieta wstrzymała się od łez i wybuchów rozpaczy.

— Wszelki opór jest nie możliwy,—rzekła—poddajemy się przemocy. Dowidzenia, Jerzy, dowidzenia, kochany mężu... myśl moja biegnie za tobą.

Naprzeciw jachtu stało duże lando. Przednie siedzenie zajmował podoficer. Oficer wskazał jachtsmanowi miejsce w tyle i usiadł obok niego. Zatrzaśnięto drzwiczki i powóz ruszył, otoczony tłumem krajowców.

Wojskowa załoga opanowała statek. Nieszczęśliwa kobieta schodziła do swojego apartamentu, aby módz puścić wodzę łzom, które ją dławiły.

Na schodach stał Prowansalczyk z głową odsłoniętą, za nim reszta załogi. Na wszystkich twarzach był smutek; przygnębienie. Ci wierni towarzysze nie stawiali oporu, rozumiejąc, że byłby płonnym, ale w razie potrzeby gotowi byli pójść w ogień za swego pryncypała.

— My teraz jesteśmy pod rozkazem pani. Proszę rozporządzać naszemi osobami i życiem, — mówił Marjusz. Sternik Johnny zbliżył się, miętosząc czapkę.

— Należymy do pani ciałem i duszą—oświadczył—załoga Pennylesa jest na jej rozkazy.

— Dziękuję wam, dziękuję, przyjaciele — odparła wzruszona.

Gdy już jasna jej postać znikła, Prowansalczyk zacisnął pięści.

— To dopiero awantura,—mruknął.—Ale zadamy jeszcze bobu czerwonym kurtkom!

Tymczasem powóz wjechał wśrodek miasta, konie musiały zwolnić kroku z powodu licznego zbiegowiska.

Ulice przepełnione były tłumem cichym, uroczystym; złożonym z samych tylko Europejczyków: żołnierzy, marynarzy, urzędników, kupców, za tymi jechali w powozach przedstawiciele administracyjnej i wojskowej arystokracji.

Tłum ten postępował za trumną, usianą kwiatami. Tuż przy niej szło dwoje dzieci, zmiażdżonych boleścią.

Kapitan „Bez Szeląga“ odsłonił głowę, oficer salutował.

— To żałobny orszak lady Lennox, księżnej Richmond zamordowanej przez Hindusa — rzekł do swego więźnia, rzucając mu spojrzenie z ukosa.

— Tych dwoje małych, to zapewne dzieci ofiary?—pytał kapitan.

— Tak, ojciec ich, major Lennox, książe Richmondu, walczy w tej chwili z Afrydami, zbuntowanymi przez tajnych agentów.

— Biedne dzieci!.. Biedny ojciec!—szepnął yachtsman, nie dostrzegając ironicznego spojrzenia swojego towarzysza.

Żałobny orszak płynął powoli, odpłynął w boczną ulicę;— powóz potoczył się dalej i niebawem stanął przed więzieniem.

Oficer oddał więźnia w ręce dozorców; ci odebrali mu papiery i wszelkie dokumenty, jakie miał przy sobie i zaprowadzili go do celi, zaopatrzonej w kraty olbrzymie.

Kapitan „Bez Szeląga“ był człowiekiem dzielnym; to też, zostawszy sam, nie pogrążył się w rozpaczy. Usiadł na stołku, przytwierdzonym żelaznym łańcuchem do podłogi i zastanowił się trzeźwo nad sytuacją. Ogarnął ją odrazu.

— Trzeba brać rzeczy poważnie, ale nie tragicznie,— tłomaczył sobie—padłem ofiarą pomyłki lub też intrygi. Czekajmy cierpliwie rozwiązania. Człowiek taki, jak ja, nie może zniknąć niepostrzeżenie. Co zaś do mojej drogiej Klaudji, wiem że ma duszę odważną i nieprzystępną próżnej rozpaczy. Zniesie dzielnie ten cios, który w nas ugodził w chwili największego szczęścia, ale ani ugiąć, ani powalić nas nie zdoła.

Po upływie dwóch godzin posługacz hinduski pod kontrolą białego dozorcy przyniósł mu posiłek bardzo skromny, lecz obfity.

Kapitan zjadł i czekał dalej, uzbrajając się w spokój. Dzień miał się już ku wieczorowi, gdy otworzyły się drzwi, i do celi weszło z pół tuzina żołnierzy pod dowództwem sierżanta.

— Proszę za nami!—rzekł podoficer.

Więzień usłuchał rozkazu w milczeniu, pełnem godności.

Przez szereg korytarzy sklepionych przyprowadzono go do małego przedpokoiku, w którym stał woźny.

Kapitan musiał tu czekać dobry kwadrans, stając wśród żołnierzy, wyciągniętych jak struny. Wreszcie odezwał się dzwonek i woźny wprowadził go do obszernej sali. Były w niej tylko trzy osoby: pisarz sądowy, adwokat, prezes najwyższego sądu, ten sam, który dnia poprzedniego wydał okrutny wyrok na bramina Narindrę.

Kapitan zajął wskazane sobie miejsce na wysokim stołku naprzeciw biurka, przy którem siedział prezes.

— Zechciej pan wymienić swe nazwisko?—rzekł tenże z grzecznością lodowatą.

— Mógłbym pana zapytać, jakiem prawem stawia mi pan to pytanie, jakiem prawem zgwałcono moją wolność obywatelską? Ale przez szacunek dla sprawiedliwości sądowej potężnego kraju udzielę odpowiedzi, choć nie jestem do niej obowiązany.

Wszyscy trzej sądownicy wlepili w mówiącego oczy zdumione. On prezentował się w te słowa:

— Jestem hrabia Jerzy de Solignac szlachcic francuski, bardziej znany w Ameryce pod przezwaniem kapitana „Bez Szeląga". „Wart jestem", jak mówią w mojej przybranej ojczyznie, sto miljonów dolarów.

Mam lat dwadzieścia dziewięć. Przybyłem do Indji z moją żoną na własnym jachcie. Podróżuję dla przyjemności.

Kontrast pomiędzy przezwiskiem: Bez Szeląga a fortuną, wynoszącą sto miljonów, zrobił wielkie wrażenie na Anglikach, wzbudził też widocznie jakieś wspomnienie w sędzim, gdyż ten podchwycił:

— Więc to pan jesteś owym ekscentrycznym gentlemanem, którym prasa obu półkuli zajmowała się przed dwoma laty? Byłeś pan, o ile pamiętam, zupełnie ubogim, gdy przyszło panu na myśl objechać świat do koła bez szeląga przy duszy. Stanął zakład. Stawiałeś pan na kartę swoje życie, z drugiej zaś strony, w razie wygranej, miałeś pan otrzymać znaczną sumę.

Puściłeś się pan w drogę, owinięty w dzienniki, nie mając nawet ubrania. W ten sposób wygrałeś pan tę olbrzymią fortunę.

— I mam zamiar ją podwoić — przerwał kapitan „Bez Szeląga".

— Winszuję panu tego zamiaru i życzę, by się spełnił— rzekł sędzia, z natury swej ekscentryczny, a więc ujęty ekscentrycznością młodzieńca. Nagle jednak, przypominając sobie swe obowiązki, dodał chłodno, wskazując na adwokata.

— Oto jest czcigodny Adam Smith, pański obrońca z urzędu.

Adwokat i podsądny ukłonili się sobie sztywno.

— A teraz do rzeczy — mówił prezes—oto akta pańskiej sprawy.

— To niepodobna! — zawołał „Bez Szeląga“ w najwyższem zdumieniu.

— Proszę mi nie przerywać. — Te akta przedstawiają pana jako wroga wszelkiej władzy i subordynacji prawom. Zakłóciłeś pan już porządek społeczny w Ameryce, podniecałeś niskie instynkty, burzyłeś całe miasta. Potem na Kubie brałeś w opiekę powstańców, dopuszczałeś się rozbojów na morzu.

— To nieprawda! — zawołał „Bez Szeląga“. — Udzielałem pomocy słabym, walczyłem z uciskiem. Szedłem za głosem sumienia. Zresztą nie jesteśmy ani na Antylach ani w Stanach Zjednoczonych i nie masz pan prawa sądzić mnie za to, com czynił w krajach obcych.

— Wytaczam panu sprawę o to, czegoś się już dopuścił na naszym gruncie. Jesteś pan oskarżony formalnie o stosunki z Afrydami, zbuntowanymi przeciw Anglii, o dostarczanie im broni, pieniędzy, amunicji.

— Jestto oszczerstwo niegodne.

— Dalej stwierdzono, że utrzymujesz pan konszachty z mordercami hinduskimi, z całą tą czernią fanatyków.

— Przybyłem tu wczoraj, nie znam nikogo, nawet przedstawiciela mego rządu. Daję na to słowo honoru.

Adwokat przerwał podsądnemu i, zwracając się do prezesa, rzekł.

— Mam zaszczyt nadmienić Waszej Ekscelencji, że to są tylko przypuszczenia i że prawo angielskie nie pozwala aresztować wolnych obywateli na mocy poszlak. Dlatego to proszę o wypuszczenie na wolność podsądnego.

— Nie są to poszlaki. Złapano go na gorącym uczynku — odparł sędzia.

— Kiedy? Gdzie? zawołał „Bez Szeląga“.

— Wczoraj rano — ciągnął dalej prezes — przeszkodziłeś pan wykonaniu wyroku najwyższego sądu, udzielając pomocy buntownikom.

— Widziałem biedaków, dziesiątkowanych przez potwory. Dostrzegłem wprawdzie, że usiłują coś wyłowić, alem nie wiedział, że to zwłoki skazańca; dowiedziałem się potem dopiero a nie mogłem przypuścić, że rząd angielski pastwi

się nad szczątkami nieszczęśliwego, który już dług swój spłacił.

— Łożysko rzeki — mówił sędzia służy tu za grób wspólny dla zbrodniarzy, gdy chcemy ich wspólnikom odjąć możność owacji. Dzięki panu, braminowie zdołali dzisiejszej nocy oddać część boską nędznemu mordercy. Dzięki panu bezpieczeństwo Europejczyków zostało zagrożone. Bandyci podnieśli głowy. Towarzystwa tajne wydały rozporządzenia, utworzyło się nowe ognisko buntu, które może ogarnąć całą prowincję... Już pańscy wspólnicy działają...

— Upewniam pana raz jeszcze słowem honoru, że nie znam tu nikogo — przerwał mu podsądny. — Ratując ludzi od śmierci, szedłem jedynie za głosem współczucia, i nie wiedziałem dlaczego na śmierć się narażają.

W chwili tej wszedł woźny i wręczył prezesowi mały pakiecik.

— Bardzo pilne, Wasza Ekscelencjo — oznajmił.

Prezes rozwinął paczkę i wyjął z niej czarny fular i sztylet. Zbladł nieznacznie, czytając parę słów, skreślonych po angielsku na skrawku papieru i rzekł do kapitana głosem zmienionym:

— Twierdzisz pan zatem, że nie masz tu żadnych stosunków, że nie znasz żywej duszy?

— Przysięgam, że tak jest.

— W takim razie zechciej odczytać ten papier. Zadaje on krwawy kłam pańskim słowom.

„Bez Szeląga“ wziął do rąk kartkę, rzucił na nią okiem i z piersi jego wydobył się okrzyk zdziwienia.

— Proszę przeczytać głośno — rzekł sędzia.

„Pod karą śmierci — czytał kapitan, rozkazujemy prezesowi najwyższego sądu wypuścić na wolność, i to bezzwłocznie, kapitana Pennyles".

Sędzia dodał chłodno:

— Ten fular jest podobnym jota w jotę do fularu, którym uduszono księżnę Richmond. Ten sztylet jest identyczny z tym, który został wbity w ścianę nad jej łóżkiem. Życie moje zagrożone. Ale urzędnik angielski nie zwykł się lękać groźby, najstraszniejszej nawet. Spełnię mój obowiązek.

Nacisnął guzik od dzwonka.
Weszli żołnierze i podoficerowie.
— Odprowadźcie więźnia do celi — rozkazał.

ROZDZIAŁ V.

Pogrzeb. — Ostatnie pożegnanie. — Szkocka duma. — Klęska. — Ani domu, ani służby. — Głód i pragnienie. — Bob. — Trochę wody. — Więksi jeszcze biedacy. — Ofiary głodu. — Kwiaty — pożywieniem pod palmą.

Dzieci nieszczęśliwej księżnej Richmond, pozbawione opieki matki ukochanej czuły się zupełnie osamotnione i bezbronne pomimo litościwego tłumu, który je otaczał na pogrzebie.

Nie było już łez w ich oczach roziskrzonych od płaczu i gorączki po ukończonej ceremonii. Współczujący ludzie, chcieli uprowadzić je zdala od grobu, ale Patrycy oparł się temu.

— Pozostaniemy jeszcze, prawda Mary? — rzekł.

— Tak, braciszku, pożegnamy jeszcze mamę.

Gdy tłum się rozproszył, dzieci uklękły i modliły się długo, przeplatając pacierze wybuchami rozpaczy. Wreszcie zostali złamani, dotknęli ręką wilgotnej ziemi, przeżegnali się pobożnie i wyszli z przybytku zmarłych. Chcieli powracać do domu. Wprawdzie przyjaciele ich rodziny, zaraz po śmierci lady Lennox ofiarowali im gościnę u siebie, ale duma szkocka nie pozwoliła dzieciom przyjąć tych zaprosin.

Wychowani byli w przesadnem niemal poczuciu godności, a jako ubodzy uważaliby sobie za upokorzenie przyjmować gościnność u obcych. Postanowili sami o sobie radzić i wyruszyć do ojca, aż na sam kres posiadłości indo-angielskich. Gdy matka ich została zamordowana przed międzynarodowym bazarem, zapomnieli, ma się rozumieć, o stangrecie malabarskim, który popędził z wózkiem, zaprzężonym w kucyki. Od tego czasu upłynęły dwie doby. Teraz, myśląc

o tem byli pewni, że Malabarczyk powrócił do domu, a choć willa przy Garden-Reach była odległa, postanowili iść pieszo.

Nakoniec zmęczeni, spragnieni, dotarli do alei, wiodącej do parku. I nagle, na ostatnim zakręcie, z piersi ich padł okrzyk zdumienia i rozpaczy.

Piękna willa znikła. Pozostał stos gruzów i dymiących popiołów. Zniszczenie pochłonęło ludzi i zwierzęta. Nawet ptaki w olbrzymiej klatce były poduszone. W stajniach leżały poćwiartowane konie; powozy, uprzęże były pokrajane na kawałki. Ale najboleśniejszym dla Patrycego i Marji był widok szczątków domu, pełnego drogich wspomnień. Cóż stało się z portretem ojca? matki? ze staremi klejnotami! Wszystko pochłonęły płomienie. Cała służba znikła, nawet Ketty, wierna pokojówka europejska opuściła te zgliszcza, a może padła ofiarą fanatyków, który zburzyli tę miłą siedzibię.

Tak, to Hindusi są mściwymi sprawcami tej katastrofy. Dzieci rozumieją to dobrze.

— Niegodziwi! — szepce Marya.

— Dzikie zwierzęta!—woła Patrycy, zaciskając pięści. Pomszczę się na całej rasie.

Oboje byli wyczerpani żalem i niewywczasem. Ogarniało ich okropne zmęczenie. Dziewczynka słabsza fizycznie, uległa mu szybciej.

— Już mi sił braknie—rzekła, czepiając się ramienia brata.

Podtrzymał omdlewającą, a chcąc ją uchronić przed promieniami słońca, chwycił ją wpół i zaniósł pod olbrzymią palmę.

— Odwagi, Mary—mówił—odwagi, siostrzyczko.

— Pić! pić!—szepnęła ustami spieczonemi.

Studnia pełna była gruzów. Nigdzie kropli wody.

— Co począć? Mój Boże, co począć?—wołał nieszczęśliwy chłopak, widząc śmiertelną bladość siostry.

Nagle Patrycy krzyknął z radości. Ujrzał opodal drzewka dziwnego kształtu, zasadzone tu niegdyś przez majora. Liście tych drzewek, okrągłe, podwinięte do góry i zwarte szczelnie tworzą jakby zamknięte kielichy, wysokości dziesięciu do dwunastu centymetrów. Te kielichy pełne są czystej, świe-

żej wody, którą roślina z siebie wydaje, a że są osadzone prostopadle na łodydze, więc woda przechowuje się w nich i wyparować nie może. Ten liść podobny do porcelanowej fajeczki, wewnątrz ma piękną barwę niebieską. Drzewko nazywa się Nepenthes.

Ojciec w pogadance przyrodniczej mówił kiedyś Patrycemu o właściwościach tego krzewu, więc chłopiec, ujrzawszy go, wielce się ucieszył, złamał łodygę i podał siostrze te kielichy. Dziewczę piło chciwie i odrazu uczuło się wzmocnione.

— Dziękuję, braciszku, dziękuję — szepnęła Mary, — i ty się napij.

W teże chwili rozległo się szczekanie radosne.

— To Bob! — zawołał Patrycy.

Duży kwadratowy łeb buldoga ukazał się na ścieżce. Pies pędził co tchu, wywijając szczątkiem ogona.

Poczciwe zwierzę nie chciało opuścić domu, w którem wzrósło wśród pieszczot i starań. Byłby zapewne zginął w tych gruzach, lecz znane mu głosy dzieci obudziły go znowu do życia.

Mary ujęła obierącz jego głowę i tuliła ją do siebie.

— Bob, kochany Bob — szeptała ze łzami.

On jeden ocalał z tego rozkosznego gniazdka, w którym było im tak dobrze razem.

Pies patrzył na dzieci rozumnemi oczyma, jakby im chciał powiedzieć:

— Jesteśmy znowu razem. Bardzo się cieszę, ale mam żołądek pusty.

Istotnie wszyscy troje umierali z głodu. Natura nieubłagana domagała się o swe prawa.

Trzeba było coś zjeść, koniecznie. Miejscowa flora, która przed chwilą zaspokoiła pragnienie Maryi, miała znowu przyjść im z pomocą.

W ogrodzie mnóstwo było bananów i palm kokosowych, ale wszystkie kwitły dopiero lub miały owoc w zarodku. Patrycy rozglądał się dokoła i nie dostrzegał nic do zjedzenia. Pozostawił Marję w cieniu drzewa, a sam błądził po alejach. Bob biegł za nim. Nagle stanął i warknął.

Z pół tuzina nieszczęśliwych Hindusów, trapionych od wielu miesięcy głodem, szukało także pożywienia w tej opustoszałej siedzibie.

Jednaka nędza złączyła przedstawicieli rasy zwycięskiej i zwyciężonej. Było tam dwu mężczyzn, dwie kobiety i dwoje dzieci; nadzy, wychudli, zaledwie zdołali utrzymać się na nogach i podobni byli do szkieletów.

Mały Anglik, który przed chwilą poprzysięgał zemstę całej rasie, czuł się teraz wzruszony i pełen litości wbec tej tragicznej niedoli.

Uspokoił psa jednem słowem. Nieszczęśliwi chcieli uciekać, ale im sił zbrakło; jedna z kobiet, ośmielona przyjaznym wyrazem twarzy chłopczyka, zbliżyła się do niego i łamaną angielszczyzną rzekła.

— Niech master pozwoli biednym głodnym Hindusom, zjeść kwiat Illupi.

— Jedźcie, jeźcie, ile chcecie — rzekł dobrotliwie.

Kobieta podziękowała i odeszła, wiodąc gromadkę za sobą.

— A więc są kwiaty, zwane Illupi, któremi można się pożywić — myślał Patrycy i szedł za zgłodniałymi w pewnej odległości.

Opodal była kępka drzew, o liściach grubych, twardych, ciemno-zielonej barwy; drzewa były osypane kwiatem żółtym; który opodal właśnie,—pokrywając ziemię gęstym kobiercem. Patrycy widział, jak Hindusi rzucają się na te kwiaty i pochłaniają je łapczywie.

Uczta trwała z godzinę; ale Patrycy nie czekał końca. Pobiegł do Marji, opowiedział jej o tem odkryciu i oboje, nie chcąc przeszkadzać Hindusom, wyszukali inne drzewa podobne i zasiedli przed tą manną kwiecistą. Grube soczyste listki przypominały smakiem poziomki. Dzieci najadły się ich do syta, wreszcie ogarnął ich sen dobroczynny.

Rozłożyli się na miękkiej murawie pod osłoną palmy, Bob czuwał nad nimi.

Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

Jak powstają mody? To pytanie zastanawiało niejedną ich hołdowniczkę. Twórcami mód są nietylko modniarki, krawcy, ale i fabrykanci. Przy każdej francuskiej fabryce tkanin pracują rysownicy, łamiąc sobie głowę, by wynaleźć jaką nową kombinację barw i linij. Nie każdy wyrób znajduje uznanie, to jest pokup wśród publiczności, która jest kapryśniejszą, niż można sądzić z pozoru. Fabrykanci jednak nie zrażają się niepowodzeniem: wycofawszy daną tkaninę na czas pewien, znowu ją puszczają w świat jako „nowość“ i często się zdarza, że to, co pierwszym razem wydawało się brzydkiem, za lat parę jest ślicznem w oczach dam kupujących.

Każda nowość, tak samo w zakresie tkanin jak i fasonów, musi przejść przez ogniową próbę. Pokaźne panny sklepowe lub modelki płatne są za „obnoszenie“ nowych strojów po ulicach, teatrach i widowiskach. Czasami o modzie stanowi ułomność lub choroba osób, stojących na widowni. I tak, harcapy weszły w użycie dlatego, że Ludwik XIII miał guz na karku i chciał go ukryć pod warkoczem. Moda noszenia w ręku chusteczek do nosa wprowadzona została przez Józefinę, małżonkę Napoleona I-go, która miała zęby popsute i, nie chcąc ich pokazywać, trzymała zwykle chusteczkę przy ustach. Cesarzowa Eugenja wprowadziła krynolinę, aby pod nią ukryć chwilową zmianę swej pięknej figury. Dałoby się jeszcze opowiedzieć wiele faktów, świadczących o przypadkowości mody.

Ma ona swoich niewolników, ma też i oszczerców, wiecznie niezadowolnionych z jej pomysłów, wiecznie sarkających na nowe fasony. Ci ostatni mieli obfite pole do wyszydzań i utyskiwań, gdy kobiety „spowijały się“ i „oblepiały“ w wąskie spódnice futerałowe. Dziś przesada już ustąpiła, spódnicom przybyło objętości, fałdów i zmarszczek, można im uczynić jeden tylko zarzut, a mianowicie, że są za długie dokoła, co utrudnia chodzenie po ulicy, zwłaszcza przy błocie, zaś podczas mrozów ręka marznie od ciągłego unoszenia sukni. Są wprawdzie sznury elastyczne do podnoszenia spódnic, ale elegantki ich nie używają, bo to wygląda niełądnie. Osoby skromnych środków, nie jeżdżące nigdy powozami, a nawet rzadko dorożkami, powinny wziąć stanowczy rozbrat z taką modą ani ładną, ani praktyczną: po co szargać i niszczyć suknie, po co sobie ręce męczyć lub odmrażać, kiedy spódnica krótsza o parę cali może nam tego oszczędzić. Wogóle trzymanie się mody niewolniczo jest śmiesznem nawet dla bogatych, a już wprost niedorzecznem i karygodnem dla kobiet pracujących lub żyjących z ciężkiej pracy męża albo ojca. Tak samo jak osoba uboga nie może pozwalać sobie na loże w teatrze, na ekwipaż, tak też nie powinna ubierać się w sposób odpowiedni do loży i powozu. Wszystko powinno być zawsze zastosowane do... objętości kieszeni. Kto szuka pozornego blichtru, popada zawsze w śmieszność. I tak, naprzykład, zabawnie wygląda rękawiczka biała — przybrudzona, kapelusz tandentnego gatunku, ale ekscentryczny, zwracający uwagę, sukienka za jasna do codziennego użytku, zrobiona fasonem pretensjonalnym, a to wszystko obok przydeptanego trzewika. Każda z pań średniej możności, wybierając materjał, powinna mieć na względzie dobry gatunek, bo wobec drogich cen, które płacimy modniarkom, oszczędniej jest zapłacić trochę więcej za materjał, który przetrwa lat parę, nie zrudzieje, nie wytrze się, niż brać towar lichy a efektowny, nie wytrzymały na deszcze, płowiejący od promieni słonecznych. Kto nie może sobie sprawiać sukien częściej, jak raz lub parę razy do roku, przy obieraniu fasonu winien się kierować względami praktycznemi, poszukiwać takich, które niełatwo wyjdą z mody, bo są spokojne, proste, nie pragną zwracać ludzkich oczu. Skromność i prostota są bez porównania dystyngowańsze od ekscentryczności, dobrej dla pań, zmieniających toaletę po parę razy na dzień. Fasony angielskie, gładkie, nie wychodzące nigdy z mody, są jakby stworzone dla osób niezamożnych, choć noszą je z upodobaniem bogate. Wogóle nie sądźmy, że zbytek spotyka się tylko u ludzi możnych, i owszem (pomijając już wzgląd, że przedmiot kosztowny, który dla czło-

wieka ubogiego jest zbytkiem, dla bogatego nim nie jest), widzimy nieraz więcej oszczędności w sferach wysokich i najwyższych, niż w średniej klasie: cesarzowa niemiecka każe sobie robić suknie codzienne w domu, ze znoszonych toalet dworskich sporządza portjery, pokrycia na fortepjany, poduszki, sama szyje ubranie dla swej córeczki, sama prowadzi rachunki gospodarskie, we wszystko wgląda. Matka jej męża, cesarzowa Fryderykowa wdowa nawet za młodu ubierała się skromnie, sumy „zaoszczędzone“ na toaletach rozdawała ubogim. Piękna cesarzowa austrjacka, Elżbieta, po za koniecznemi strojami dworskiemi, lubiła zawsze prostotę w ubraniu; królowa regentka hiszpańska nie znosi paradnych strojów; matka królowej holenderskiej ma upodobanie do kostiumów angielskich. Jakże śmiesznie wobec tego wyglądają córki urzędników, szeleszczące jedwabiem podszewek! Za dużo u nas wogóle blichtru, za dużo próżności! Zwraca to nawet uwagę cudzoziemców: powiadacie, żeście ubodzy — mówią — a w żadnem mieście na ulicy, w teatrach, nie widać tyle kobiet strojnych, spacerujących od rana do wieczora: musicie mieć dużo czasu i pieniędzy. Czy taki sąd nie jest wyrokiem potępienia? W Paryżu, w tym eleganckim, wytwornym Paryżu, kobiety średnich klas wydają daleko mniej na stroje, niż u nas, naprzód dlatego, że materjały i robota są tańsze, a powtóre, że każdy liczy się ze swemi środkami. To też obowiązkiem sprawozdawczyń z dziedziny mody powinno być nie wskazywanie zbytkownych strojów, lecz wyszukiwanie takich fasonów, które są ładne i nie drogie i nie opatrujące się łatwo. Kto przy małych funduszach pragnie zawsze być modnym, najlepiej zrobi, kupując — mało sukien, żeby nie wychodziły z mody. Wystarczy po dwie codzienne na rok, po za tem jedna czarna wykwintniejsza, bo czarną zawsze i wszędzie można włożyć, i biała wełniana do większych zebrań, stanowiąca jakby damski garnitur frakowy. Praktycznie jest kupić parę łokci więcej materjału, aby w razie danym można zrobić stanik dekoltowany. W nadziei, że czytelniczki darują mi to marudzenie, ze względu na intencję, przechodzę do głównego celu tych pogadanek. Posłuchajcie, moje panie, jakie są ostatnie wyniki mody... rozsądnej.

Przedewszystkiem należy zauważyć, że spódnica ulega obecnie przekształceniu, a to na naszą korzyść; nowe modele daleko szersze i zgrabniejsze, dzięki fałdom: okrągłym, płaskim, podwójnym, symetrycznym lub nieregularnym, fałdom rozmaitego rodzaju i rozmiaru. Dziś każda z pań może stosować fason do swej figury, wówczas gdy moda poprzednio sprzyjała tylko wyjątkowym kształtom. Oto spódnice,

cieszące się największem powodzeniem. A więc naprzód: zafałdowana w drobne plisy podłużne z odstępami na 4 cale, te odstępy tworzą jakby kontrafałdy; następnie spódnica w fałdy szerokości 8 centymetrów u dołu, z przodu dochodzące tylko do kolan, powyżej naszyte na podszewce gładko, z tyłu idące do stracenia. Drugi model: fałdy niezaplisowa-

Suknia balowa dla młodej panienki

Suknia wizytowa.

ne, okrągłe, tak samo zwężające się u góry. Trzeci fason: spódnica złożona z pięciu fałd szerokich: jedna z przodu, dwie po bokach i dwie stłu; ozdobę stanowi stębnówka, odznaczająca się na tle spódnicy inną barwą jedwabiu i biegnąca od góry do dołu. Czwarty fason: spódnica dokoła pa-

ska z przodu i z tyłu gładka, u dołu falbana zaprasowana, zeszycie falbany ukryte pod pasmanterją, na każdej fałdzie u dołu po kilka guzików w kształcie gwoździ. Można łatwo przerobić spódnice gładkie, jeśli się zachowało parę łokci materjału. W takim razie rozpruwa się szew z tyłu i wstawia się fałdę bądź okrągłą, bądź zaprasowaną, pod spodem podtrzymuje się ją tasiemką o 15 centymetrów poniżej paska, ku dołowi fałda spada swobodnie. Wchodzą także w modę spódnice marszczone dokoła, tak zwane *paysannes* lub *bonne femme*, lecz stosowne są tylko dla młodych panienek.

Staniki noszą się i zupełnie gładkie—te zawsze są modne, i zaplisowane w podłużne fałdeczki i fantazyjne, naprzykład takie: u góry karczek jaśniejszy, spływający poniżej ramion, kołnierz wysoki z różkami przy uszach, od karczka idzie draperya, zmarszczana ku górze i ujęta w klamrę. Drugi model: przód kamizelkowy w fałdeczki, bolero z szerokiemi klapami z przodu, z pod bolera wygląda pasek bardzo wąziutki. Takie fasony są praktyczne z tego względu, że można je stosować, przerabiając dawne staniki, przez dodanie karczka, klap lub kamizelki. Z rękawami sprawa jeszcze

Nowe rękawy.

łatwiejsza, bo były szerokie, teraz są bardzo obcisłe, więc chodzi tylko o zwężenie; natomiast zyskały na długości; że góry przy ramieniu bywają zastębnowane lub zaplisowane okrągło, osoby szczupłe i wąskie w ramionach noszą także epoletki. Zaczynają wchodzić w modę, zwłaszcza do sukien codziennych, staniki z malutką baskiną okrągłą, wogóle sta-

niki nie noszą się już pod spódnicę, ale nawierzch, a jeśli fason wymaga paska, to robi się go bardzo wąziutkim, tak, by stanowił jakby całość ze spódnicą. Noszone są także, zwłaszcza do większego ubrania, suknie jednolite—*princesse*. Zdobią je wyłogi okrągłe, idące do koła ramion przy jaśniejszym karczku; u dołu falbana lub oszycie. Do ozdoby toalet służą dżety, paciorki, taśmy, a także skromniejsza, a bardzo efektowna stębnówka; zakreśla ona na spódnicach i stanikach koła, biegnie w zęby, floresy. Modnemi są barwy: lila, popielata, ciemno-zielona, a zawsze czarna i biała, oraz obie w połączeniu. I tak naprzykład na tle białym przybierają spódnice i staniki haftami czarnemi, wygląda to trochę żałobnie, ale dystyngowanie. W kapeluszach przeważa fason

Nowe kapelusze zimowe.

toczkowy, noszone są także skromne filcowe z okrągłą główką i podwiniętem rondem, wstążka i pióro zatknięte z boku stanowi całą ich ozdobę. Wogóle piórka, skrzydła, są bardzo modne, łączą się z gazą i kwiatami, których nie odstrasza już zima. Ładnem przybraniem kapeluszów są: węzły i kokardy z zastębnowanej materji. Czapeczki z baranka prawdziwego lub sztucznego, z małpich skórek, opasane kolorową aksamitką lub materją, powiewają u boku piórem pelikaniem, i ładnie wyglądają na młodych główkach. Futra ogromnie modne, jako przybranie nawet sukien balowych. Boa szersze, niż je przywykliśmy widywać dotychczas, nie okrągłe, ale płaskie i spięte na przodzie główką zwierzątka. Noszone są także futrzane peleryny, ale są bardzo drogie i nie dla wszystkich dostępne. Palta sakowe, luźne z przodu i z tyłu, pół-długie wprowadzone już w jesieni, obecnie nadały swój fason futrom. Jest on wygodny ze względu, że sięga poniżej kolan, i zabezpiecza od mrozu, że

zaś nie dochodzi do ziemi, więc w dni odwilży także futro się nie szarga. Mniej praktyczne, ale ładniejsze są pół-długie peleryny futrzane, obcisłe na ramionach. Tym samym fasonem noszone są rotundy bez fałd z przodu i z tyłu, bez żadnych przybrań, peleryn, tylko z wysokim kołnierzem; ale rotundy nadają się bardziej do powozów niż do chodzenia pieszo, są za długie i za ciężkie, przy wchodzeniu do sklepów, na schody, rozchylają się, sprzyjając zaziębieniom; a jak tu nieść sprawunki w takiem okryciu?

Na zakończenie muszę wspomnieć jeszcze słów parę o toaletach balowych. Wszak to sprawa aktualna wobec karnawału? Gazy, tiule, skromniejsze, a niemniej ładne mu-

Płaszczyk dla dziewczynki od lat 5—7.

Płaszczyk dla chłopca od lat 2—4.

Sukienka dla dziewczynki od 1 roku do 2 lat.

Kostjum aksamitny dla chłopczyka od lat 4 — 5.

śliny używane są do tych pomienionych strojów, rozpanoszyły się grochy duże, wypukłe, koloru odrębnego, a więc na muślinie białym — niebieskie lub żółte, na żółtym—białe. Blade kolory przeważają: zielony, różowy, kremowy w jasnych bardzo odcieniach. Spódnice lekkie plisuje się od dołu do góry w zakładeczki, lub też marszczy się je i oszywa falbaną. Staniki wracają do dawnego wycięcia, okrągłego, za ramię; przydłużyły się też, na szczęście rękawy, nieistniejące w roku zeszłym. Stanik marszczony bluzkowo oszywa się przy gorsie lekką falbanką w rodzaju berty, i ujęty

jest w pasie wstążką z długiemi końcami. Do przybrania sukien balowych służą także wąziutkie aksamitki, naszywane wzdłuż stanika i spódnicy. Toalety z tkanin cieniuchnych, jak pajęczyny, przy swoim wdzięcznym, powiewnym wyglądzie przedstawiają tę niedogodność, że stosunkowo są drogie i drą się łatwo. Kto chce się zabawić tańszym kosztem, zamiast gazy może muślinem przykryć jaką starą spódniczkę jedwabną, a jeśli takiej niema, to zamiast muślinowej, niech kupi lekką sukienkę z woalu, która nie wymaga jedwabnego spodu, i w takiej można tańczyć do upadłego i bawić się—po królewsku.

E. Żmijewska.

Ciastka śmietankowe.

Pół funta masła młodego utrzeć na śmietanę, wsypać ćwierć funta cukru miałkiego, wbić dwa całe jaja i wsypać 3 ćwierci najlepszej mąki i wyrobić to ręką na massę. Ponieważ ciasto takie jest bardzo kruche, aby się dało wałkować, rękami na stolnicy robić cienkie placuszki i temi placuszkami wyłożyć poprzednio wysmarowane foremki blaszane karbowane. Osobno rozbić dwa żółtka z łyżką miałkiego cukru, zmieszać z półkwaterką dobrej śmietanki, wsypać trochę tłuczonej wanilji, włożyć w mały rondelek i ogrzewać na wolnym ogniu, ciągle mieszając łyżką, dopóki nie zgęstnieje, wtedy odstawić na chłodne miejsce, a gdy zastygnie krem, nałożyć nim, kładąc po łyżce, foremki, pokryć płaskim kawałkiem ciasta, oberwać co wystawać będzie za brzegi i wstawić do miernie gorącego pieca na 20 minut.

L. Ćwierczakiewicz.

Utrzymanie kwiatów w stanie świeżości.

Francuski przyrodnik Dr. Miergues zaleca następujący środek: Każdy kwiat oddzielnie, trzymając za koniec łodygi, zanurzyć na chwilę w naczyniu napełnionem olejem parafinowym, poczem szybko w powietrzu zatoczyć kwiatem kilka kręgów, ażeby

w ten sposób otrząsnąć go lekko ze zbytecznego płynu Bukiet tak zabezpieczony może stać w pokoju kilka miesięcy i będzie wyglądał jak świeży. Czy tylko kwiaty nie zatrzymają przez ten czas nieprzyjemnej woni od oleju parafinowego, o tem dr. M. nie wspomina.

Jeszcze inny sposób podaje ogrodnik indyjski Burvenich. Napełnia się czystą wodą głęboką miskę lub wielką wazę, na której dnie pomieszcza się spodek lub talerz. Następnie zanurza się bukiet otoczony liśćmi, a pozbawiony wszelkiej powłoki, bądź to papierowej lub koronkowej, i nakrywa go szklanym kloszem lub słojem w ten sposób, aby klosz całkowicie wypełnił się wodą, to jest, aby nie zawierał w zupełności powietrza. Pozostaje teraz tylko talerz wraz z bukietem i kloszem wyjąć z wody i pomieścić w oznaczonem miejscu. Woda na talerzu powinna pozostać w dostatecznej ilości, aby nie dopuszczać przystępu powietrza do klosza.

Burvenich zapewnia, że bukiet po pewnym czasie przybiera prześliczny wygląd, wszystkie części wydają się być zrobionemi z wosku lub najdelikatniejszej porcelany. Parowanie liści sprawia, że tysiące pęcherzyków powietrznych osiada na kwiatach i sprawia efekt, jak gdyby były pokryte kroplami rosy. Sposób nie wymaga wiele zachodu, warto więc go spróbować. Oprócz tych sposobów, można do wody, w której stoją kwiaty wsypać parę szczypt saletrzanu sody (natrum nitricum) lub taką samą ilość węglanu amonii.

Naturalnie, że mowa jest tylko o kwiatach ciętych, nie zaś o osadzonych na drutach.

L. Ćwierczakiewicz.

Znakomitym środkiem **czyszczenia powietrza** w pokojach, szczególnie, gdy w nich leżą chorzy, jest kawa mielona, której kilka szczypt rzuca się na żarzące węgle. Kawa mielona jest także skutecznym środkiem zachowawczym dla mięsa. Mięso mające się trzymać kilka dni, posypuje się taką kawą.

Użycie jabłek do robienia kawy. Jabłka kraje się w kawałki, nie wycinając ziarn, suszy się je, a następnie miele na mąkę. Jeśli do robienia kawy użyje się w połowie mąki z jabłek a w połowie ziarn kawy, to tylko wytrawny smakosz zdoła ją rozróżnić od prawdziwej. Można nawet brać kawę w mniejszej ilości, a nawet wcale nie używać, tylko z mąki z jabłek i z cykorji zrobić kawę, i to wcale smaczną. Mąkę z jabłek można przechowywać w puszkach blaszanych lub garnkach.

ROZMAITOŚCI.

Szczury w Paryżu. Od dłuższego już czasu szczury stały się w Paryżu formalną plagą, a odkąd odkryto, że szczury są przenośnikami dżumy, zarząd miejski nie szczędzi starań, aby zapobiedz przypływowi z zewnątrz, a wytępić szczury miejscowe. Zbadanie środków wytępienia tej plagi powierzono dr. Henrykowi Thiery, dyrektorowi miejskiego urzędu zdrowia. Z wyczerpującego sprawozdania tego uczonego dowiadujemy się, że szczury przywieziono przed mniej więcej dwustu laty z Indji do Europy, gdzie się one niebawem zagniezdziły we wszystkich wszelkich miastach. Plaga szczurów stała się w Paryżu w ostatnich czasach nadzwyczaj dotkliwą a to wskutek zburzenia starych dzielnic miasta, zaprowadzenia kanalizacji, urządzanie wielkich hal targowych i t. p. Kanały służą szczurom za wygodny przytułek, a hale dostarczają im pożywienia. Skoro się rozpoczęły roboty ziemne na placu wystawowym, nastąpił formalny najazd szczurów na sąsiednie ulice, a nawet w nowych domach, np. w pobliżu mostu Zgody roi się do tego stopnia od szczurów, że mieszkańcy obawiają się pozostawiać dzieci bez dozoru na podwórzu lub w ogrodzie. W halach targowych szczury rozmnożyły się tak bardzo, że w poczuciu swej bezsilności zaniechano ich tępienia. Po zamknięciu wieczorem hal, należą one do szczurów, które, aby się dostać do nagromadzonych zapasów, przegryzają najgrubsze skrzynie i najsilniejsze mury, a nawet niszczą rury gazowe i wodociągowe. Proponowano najrozmaitsze środki wytępienia tej plagi: truciznę, łapki koty i psy. Środki te posiadają nierówną wartość. Z pomocy kotów należy zrezygnować w zupełności. Kot bowiem miejski wskutek wybornej paszy i starannego pielęgnowania zniedołężniał do tego stopnia, że bawi się jeszcze od czasu do czasu myszą, szczurowi jednak schodzi ostrożnie z drogi,

jeźli nie czyni czegoś gorszego. W halach bowiem, których służba trzymała wiele kotów celem tępienia szczurów, stwierdzono, że koty ze szczurami zawarły braterstwo broni i w nocy w największej zgodzie wspólne robią wyprawy na zapasy żywności. Podobne spostrzeżenie zrobiono w magazynach ministerjum wojny. W następstwie tego odkrycia komisja budżetowa usunęła, w roku zeszłym kredyt wyznaczony na utrzymanie kotów; urzędowe koty istnieją obecnie tylko jeszcze w ministerjum skarbu i w radzie stanu. Skuteczniejsza jest trucizna. Przed niedawnym czasem odkryto środek chemiczny, po którego spożyciu szczur zdycha i natychmiast zasycha; w ten sposób unika się niebezpieczeństwa, mogącego wyniknąć z rozkładu zdechłych szczurów. Dzięki temu środkowi oczyszczono już ze szczurów Bibljotekę narodową, Pałac Luksenburski, Kasę oszczędności i znaczną liczbę gmachów szkolnych. Ogólnemu jednak zastosowaniu i skuteczności tego środka stoi na przeszkodzie, że szczur hardzo jest wybredny co do swego pożywienia i lubi zmianę, tak iż niebawem nabiera nieufności i pogardza preparatem, pojawiającym się w wielkich masach. Łapka jest w dalszym ciągu skuteczna nie nadaje się jednak do tępienia masowego. Dokonano też rozmaitych prób z zaszczepianiem szczurom zarazka choroby, którą rozszerzają one następnie same pomiędzy sobą i na którą giną. Próby te nie wydały jednak dotychczas skutku upragnionego, a mogą się one stać niebezpieczne, ponieważ nie jest wyłączona możliwość, że choroba przenieść się może ze szczurów na zwierzęta domowe a nawet na ludzi. Pozostaje pies, którego rozmaite gatunki energicznie i skutecznie tępią szczury; groźnymi wrogami szczurów są mianowicie buldogi, bulteriary i forterjary. Przy pomocy tych ostatnich p Girard, dyrektor paryskiego laboratorjum miejskiego wytępił olbrzymie masy szczurów w gmachu prefektury. Posiadał on tylko cztery sztuki, lecz polowały one dzień i noc, a były tak gorliwe w swej pracy, że rozszerzały swe łowy aż do Bercy, odległego dwie wiorsty od prefektury policji; dotarły one tam przez kanały, w których pozostawiły po za sobą masy zagryzionych szczurów. Każdy z psów był w stanie w oka mgnieniu zagryźć największego szczura. Prawdopodobnie nabyte będą teraz takie psy do hal targowych oraz do plantacji cukrowych w Achères i Saint-Germain (pod Paryżem). Plantacje te nawiedzone są przez szczury, których liczba wynosić ma przeszło 10,000 na hektar (2 morgi).

— Od pewnego czasu odczuwać się daje znaczny **ubytek grzybów** w naszych lasach. Przyczyny należy szukać w tem, że grzybów nie wyrzynają nożem (jak dawniej), lecz wyrywają *z korzeniem*, przez co niszczą niezmiernie dalsze rozmnażanie się grzybów. Grzyb wyrznięty, *a nie wyrwany z korzeniem*, ponownie

odrasta. Należy o tem pouczać kobiety wiejskie i dzieci, zajmujące się zbieraniem grzybów po lasach i to w ich własnym interesie, aby dochód ze zbierania grzybów się nie zmniejszał. Grzyby trujące najłatwiej poznać po tem, że przekrajane surowo nabierają barwy sinej lub ciemnej, a roztarte w palcach wydzielają woń niemiłą. Grzyb dobry, jadalny, po przerznięciu pozostaje białym i posiada naturalny miły zapach grzybowy.

Upadam do nóżek! A co to takiego?

Kalejdoskop.

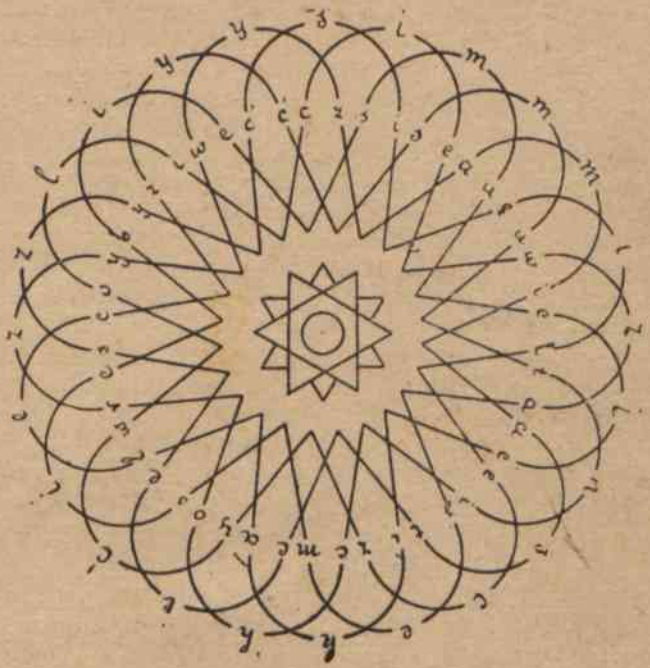

Jakie zdanie utworzy się z liter, zamieszczonych w powyższej figurze?

Brakuje dziesiątki

zadanie arytmetyczne.

Zgłosiły się do nas dwie przekupki z prośbą o roztrzygnięcie sporu następującego:

Udały się one obie na targ, każda miała 30 jabłek w koszu. Pierwsza sprzedawała *2 jabłka za dziesiątkę*, druga *3 jabłka za dziesiątkę* (jabłka teraz drogie). Jeszcze nie utargowały nic, gdy drugą przekupkę za zbyt gwałtowne przemówienie poproszono do cyrkułu.

— Moja pani — rzekła do pierwszej — sprzedawaj też i moje jabłka razem ze swojemi.

— Dobrze, ale przecie pani jabłka kosztują mniej, więc jak to będzie?

— A no tak, pani sprzedaje 2 jabłka za dziesiątkę, a ja 3 jabłka za dziesiątkę, więc sprzedawaj pani 5 jabłek za dwudziestkę, wyjdzie na jedno.

— Dobrze.

I druga przekupka udała się w spokoju do cyrkułu. Wró-

ciła z tamtąd po godzinie. Była jakby wzruszona, ale za to sąsiadka sprzedała wszystkie jabłka. Zaczął się obrachunek.

— Rachujmy tak — zaproponowała pierwsza.—Sprzedałam 60 jabłek, 5 po dwie dziesiątki, więc mam 24 dziesiątki. Moich jabłek było 30, para po dziesiątce, więc moich jest 5 dziesiątek, a tu ma kochana pani 9 dziesiątek za swoje jabłka.

— Jakto? Moich jabłek było 30-ci, trzy za dziesiątkę, więc mi się należy 10 dziesiątek. Oddawaj pani!

Druga przekupka powiedziała to głosem tak doniosłym, że aż stójkowy po raz drugi popatrzył na nią w sposób niepokojący.

Ale jakże mogła biedaczka przystać na 9 dziesiątek? Miała 30 jabłek, czyli 10 razy po trzy sztuki, trzy sztuki kosztowały dziesiątkę, więc święcie dostać powinna 10 dziesiątek. Ba, kiedy i druga powiada, że tracić nie może: miała piętnaście par jabłek po dziesiątce para, więc musi wziąć 15 dziesiątek. A tu razem jest tylko 24 dziesiątki i tyle być powinno.

Zmiartwione przekupki proszą, aby im wytłomaczyć, gdzie się podziała 25 ta dziesiątka. Może który z czytelników to zrobi?

Układanka

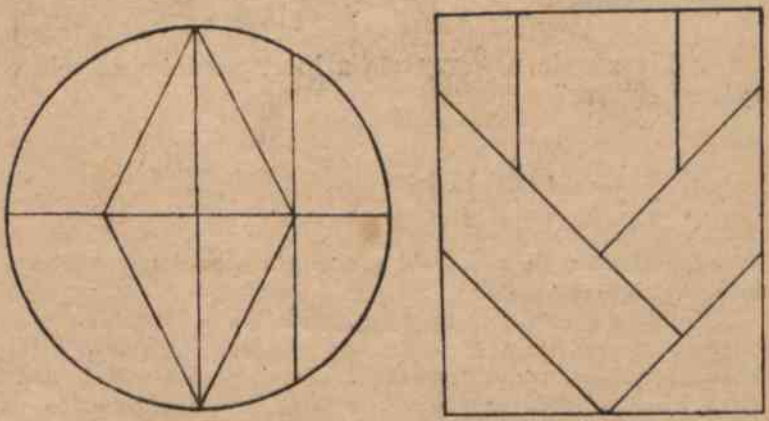

Z kawałków, tworzących prostokąt i koło, ułożyć figurę jak niżej:

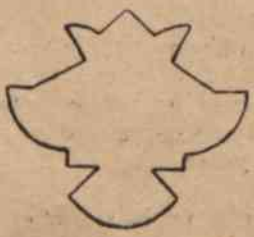

KRYPTOGRAM.

Zamiast znaków zapytania, postawić brakujące samogłoski, cyfry zaś zamienić odpowiedniemi spółgłoskami. Kryptogram utworzy złotą myśl Adama Mickiewicza.

Ułożył Lucjan Rzecznik.

4 rb. w roku bieżącym, 4 rb.

rocznie w Warszawie. **1900-ym** rocznie na prowincji.

„Kurjer Polski"

wychodzi na warunkach dotychczasowych pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Stałem dążeniem redakcji jest pismo ulepszać i urozmaicać tak, aby czytelnicy zawsze w niem znaleźć mogli to wszystko, co ich obchodzi lub najbardziej obchodzić powinno.

Kurjer Polski zamieszcza codziennie **artykuły wstępne** w sprawach dla nas najżywotniejszych i najpilniejszych; obfite **wiadomości z kraju i zagranicy.** W numerach i w dodatkach zamieszczone bywają liczne ilustracje z chwili bieżącej. **Dział telegramów własnych** z rozmaitych stron świata rozszerza się i udoskonala bezustannie.

Oprócz mniejszych nowell w dodatkach, „Kurjer" stale drukuje w odcinku utwory polskich i cudzoziemskich autorów.

Cena **„Kurjera Polskiego"** w Warszawie i na prowincji rocz. rb. 4, kw. rb. 1.

Przy „Kurjerze Polskim" od Nowego Roku wychodzi:

„MIESIĘCZNIK"

ILLUSTROWANY,

który prenumerować mogą wyłącznie abonenci „Kurjera".

Miesięcznik w formie **grubych tomów, złożonych z 12 dużych arkuszy druku (192 stronnic) z licznemi ilustracjami,** stanowi poniekąd dopełnienie „Kurjera" i zawiera, artykuły i prace, które z powodu rozmiarów swych umieścić było by trudno. Czytelnik znajdzie w nim: 1) **Artykuły wstępne.** 2) **Artykuły treści społecznej.** 3) **Artykuły popularne ze wszystkich dziedzin wiedzy i nowiny naukowe.** 4) **Kronikę bieżącą.** 5) **Przeglądy: polityczne, literackie, historyczne, naukowe i przeglądy prasy.** Dział beletrystyczny, oprócz poezji zawierać będzie **trzy powieści,** z których **główne** będzie można po ukończeniu oprawić oddzielnie. W miesięczniku znajdą się także **rady praktyczne** z zakresu życia domowego, mody wraz z odpowiedniemi wzorami i rycinami, a **dział rozrywek umysłowych** obejmie: zadania matematyczne, szachy, zagadki, logogryfy i t. d.

Cena miesięcznika zarówno w Warszawie jak i na prowincji dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego" (ci bowiem wyłącznie miesięcznik prenumerować mogą) wynosi **rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.**

4 rb. rocznie na prowincji.

WARSZAWA

Marszałkowska № 141.

4 rb. rocznie w Warszawie.

Дозволено Цензурою Варшава 14 Января 1900 года.

Redaktor i Wydawca **Ludwik Straszewicz.**